

ARCYDZIEŁA POLSKICH
◦ I OBCYCH PISARZY. ◦

TOM. 15.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

BUDNIK.

OBRAZEK.

CENA 60 HAL.

BRODY. 1903. NAKŁADEM I DRUKIEM
FELIKSA WESTA. ◯◯◯◯◯◯◯◯◯◯

OPRACOWAŁ DLA UŻYTKU SZKOLNEGO

D-R PIOTR CHMIEŁOWSKI.

ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY
TOMIK 15.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

BUDNIK.

OBRAZEK.

OPRACOWAŁ DLA UŻYTKU SZKOLNEGO

D-R PIOTR CHMIEŁOWSKI.

D. E. FRIEDLEIN
KSIĘGARNIA
W KRAKOWIE.

BRODY © NAKŁADEM I DRUKIEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA © 1902



106310

J. I. Kraszewski do roku 1850.

Istotny twórca naszej nowożytnej powieści, Józef Ignacy Kraszewski, już od najwcześniejszych lat młodzieńczych przewidywał świetną dla siebie przyszłość w pracy nieustannej, którą następnie wszystkich wprawił w zdumienie. Prawdziwie fonomenalny ten człowiek, mając lat zaledwie dwadzieścia, pisał do matki: „Ach, mamó! doprawdy że miło jest pracować, jak kto może!.. Będzie czas odpocząć wówczas, kiedy ręce nie będą mogły trzymać pióra, czy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usuje myśli; wówczas, kiedy wydam ze dwieście tomów, kiedy będę sławny, ślepy, sparaliżowany i bogaty, wówczas odpocznę!..“ Słowa te, które wtedy mogły się osobom postronnym wydawać dziecinną, ale pełną zarozumiałości fanfaronadą, dzisiaj gdy wiemy, że działalność tego młodzieńca przeciągnęła się lat 57, i że nie dwieście, ale trzy razy tyle wytworzyła tomów, — są wyrazem nader trafnego, widocznie na poznaniu własnej siły ugruntowanego przeczucia.

Sam zbiór dzieł Kraszewskiego osobno wydanych, jako też pomieszczonych w czasopismach, wypełniłby pokaźną bibliotekę, z której dałby się zaczerpnąć doskonały pokarm umysłowy, starczący na potrzeby życia duchowego dla przeciętnego członka społeczeństwa. A gdy dodamy jeszcze fakt, iż przykład Kraszewskiego podziałał silnie na wielu innych pisarzy, którzy w tym samym co i on duchu piórem narodowi służyli; że w skutek tego, zarówno pod względem jakości jak ilości, piśmiennictwo nasze się wzmogło i chociaż w części uczyniło potrzebę posługiwania się dziełami obcemi, mianowicie francuskimi, nie tak niezbędną, jak dawniej: to znaczenie i zasługa, bądź literacka, bądź narodowa tego znakomitego autora uwydatni się wyraźnie i niemal dotykałnie, nawet gdybyśmy na bok usunęli wartość jego utworów artystyczną i naukową, czego zresztą czynić oczywiście nie mo-

żemy i nie powinniśmy. Człowiek taki, choćby popełniał błędy czy w życiu czy w twórczości, musi w każdym obywatelu, oceniającym całość działalności, nie zaś poszczególne tylko jej stadya i chwile, obudzać i wdzięczność i uznanie głębokie, zwłaszcza że niechęci stronnicze po jego zgonie ustaćby już były powinny, lubo, na nieszczęście, nie ustały...

Kraszewski urodził się 28 lipca 1812 roku w Warszawie, gdzie matka jego czasowo, tak dla bezpieczeństwa w owej wojennej dobie, jak i dla stosunków rodzinnych przemieszkiwała. W pierwszym roku niemowlęstwa liczne odbywał wraz z matką i innymi członkami rodziny podróże; potem chował się już to w Dołhem, wsi dziedzicznej, położonej w gubernii grodzieńskiej, w okolicach Prużany (na Litwie), już to w Romanowie (na Podlasiu, w Królestwie Polskiem), pod opieką babki Malskiej i prababki Nowomiejskiej. Prababka nauczyła go czytać na kalendarzu. Dom Malskich żywo się zajmował tem, co się na świecie działo, pisało, roiło i dokonywało. Nie mogło to nie czynić wrażenia na umyśle dziecięcym. Wieczorem babka czytywała na głos. Książek w domu było pełno. Członkowie rodziny lubili literaturę i sztukę. Sąsiedztwo Romanowa celowało liczbą i ożywieniem. Ponieważ język francuski wówczas miał nadzwyczajne rozpowszechnienie wśród cokolwiek zamożniejszej szlachty; ponieważ cała rodzina Malskich przeważnie w tym języku z sobą listowała; — musiał się już i młodzieńcy Józef dobrze z nim zapoznać; książki jednak polskie, szczególnie stare, wywiebrały nań urok niezmierny.

Przygotowany w domu, bez pomocy nauczycieli, wszedł r. 1822 wprost do drugiej klasy szkół w Białej (na Podlasiu), mających tradycyjny tytuł „akademii“, ponieważ były niegdyś jedną z „kolonij“, założonych przez Akademię Krakowską. Nadzwyczajną pilnością jako uczeń nie odznaczał się; miał zwyczaj uczyć się zawsze nie tego, co było narzuconem, ale ku czemu ciągnęła go fantazja i nienasycona ciekawość. Skończywszy cztery klasy w Białej — więcej ich ta „akademia“ nie liczyła — mając cały zeszyt bajek tłumaczonych wierszem z Lafontaine'a, jedną balladę i rozpoczętą powiastkę, udał się do Lublina, gdzie spędził rok, niezbyt przyjemny. Dla dokończenia nauk przeniesiono go do Świsłoczy (na Litwie). Świadectwo dojrzałości gimnazjalnej otrzymał w roku 1829.

Tegoż roku, przepędziwszy wakacje w Dołhem, wyruszył 15 września do Wilna, ażeby w tamecznym uniwersytecie zapisać się na tak zwany oddział „literatury i nauk wyzwolonych“. Nie były to już, niestety, świetne czasy tej najwyższej instytucji naukowej na Litwie i Rusi; studentów wprawdzie zbierało się tam więcej niż kiedykolwiek; ale najlepsi niegdys profesorowie albo powymierali albo pousuwali się. Właściwie z nauk uniwersyteckich mógł Kraszewski korzystać zaledwie półtora roku, gdyż powstanie listopadowe oderwało go od studyów, a sam uniwersytet wraz z końcem r. 1831 został zamknięty przez rząd rosyjski.

Półtoraroczny ten pobyt zaznaczył się pierwszymi próbami literackimi młodzieńca, wyszłymi z druku. W „Bałamucie Petersburskim“ r. 1830 pomieścił Kraszewski drobny obrazek p. t. „Kotlety“. W „Noworoczniku litewskim na r. 1831“, drukowanym oczywiście w r. 1830, dał króciutką „Biografię sokalskiego organisty“ i wyjątek z powieści, zatytułowany: „Przygody peruki“. Prócz tego w tymże r. 1830 ogłosił prospekt na szereg utworów pod ogólnym napisem: „Kilka obrazów towarzyskich“, mających zawrzeć powieści następne: „Pan Walery“, „Wielki świat małego miasteczka“, „Dwa a dwa cztery“. Pierwsza tylko z nich wyszła istotnie zaraz z datą r. 1831; druga zaś w 1832/3, a trzecia dopiero w 1837.

W powstaniu listopadowem udziału czynnego wziąć nie mógł; aresztowany, już miał pójść w dalekie strony jako prosty żołnierz („sōłdat“), ale z powodu nadwątlonego zdrowia, poszedł do szpitala; w początkach r. 1832 wypuszczono go na wolność z obowiązkiem mieszkania w Wilnie. Nie stanowiło to dla niego przykrości. Oddał się całkowicie pracy literackiej i poszukiwaniom historycznym w archiwach wileńskich. W ciągu 1833 i 1834 r. ogłosił dwie powieści historyczne (na tle wieku XVII): „Kościół Ś-to Michalski“ i „Ostatni rok panowania Zygmunta III“, oraz szkice obyczajowe: „Pan Karol“, „Improwizacye dla moich przyjaciół“ i „Cztery wesela“. Ostra krytyka pism jego w „Tygodniku Petersburskim“ dotknęła go do żywego; sądził chwilowo, że jego zawód literacki już skończony. W pracy atoli nie ustawał; tylko nadał jej tymczasowo inny kierunek; przygotowywał historję Wilna, której tom pierwszy ogłosił w r. 1836. Znowu skrytykowany, zawiesił wydawanie dalszych tomów,

ażeby przerobiwszy zupełnie całość, w zmienionym kształcie wydrukować ją p. t. „Wilno od początków jego do r. 1750“ w czterech tomach (1840-42).

Zanim jednak do tego przyszło, oddał się Kraszewski publicystyce. Pracą i talentem otworzył sobie wstęp do tego właśnie czasopisma, które wydriwiwało jego utwory młodzieńcze; przez lat kilka (od 1837) stał się jednym z najczynniejszych i najpoczytniejszych współpracowników „Tygodnika Petersburskiego“, zdając sprawę ze wszystkich nowości literackich, oceniając pesymistycznie objawy społeczne („Asmodeusz w r. 1837“), wykrywając „Choroby wieku XIX“ i t. p. Oprócz publicystyki zajmował się poezją we wszystkich jej rodzajach: epicznym, lirycznym, dydaktycznym i dramatycznym. Ogłoszone w r. 1838 dwa tomiki „Poezj“ (drugie wyd. 1842, trzecie 1888) zjednały mu większe wśród ogółu uznanie, niż wszystkie poprzednie prace, nie wyłączając „Wędrówek literackich, fantastycznych i historycznych“. (3 tomy 1838—40).

Stanowcze atoli zwycięstwo nad umysłami społecznych odniósł powieścią: „Poeta i Świat“ z r. 1839, będącą wcieleniem poglądów, jakie co do wrogiego stosunku poezji i rzeczywistości wtedy wśród inteligencji najwięcej popłacały. Od tego czasu rozpoczyna się wziętość Kraszewskiego i jego sława; publiczność chwyta książki, przezeń pisane, a księgarze ubiegają się o nakład jego utworów, zarówno w Wilnie, jak w Warszawie. Przez lat 11 wszelako od powyższej daty działalność ta rozwijała się głównie na Litwie i Rusi; tu drukowano największą liczbę jego powieści; tu on redagował pismo zbiorowe „Athenaeum“ (od r. 1841—1851); stąd wreszcie w organach czasopiśmienniczych pomieszczał mnóstwo artykułów. Ożeniwszy się (z Zofią Woroniczówną) i osiadłszy w Gródku, wsi na Polesiu Wołyńskiem położonej, rozszerzał i pogłębiał coraz bardziej zakres swoich spostrzeżeń i wiadomości, potęgował swój talent, żywał się coraz więcej z życiem i potrzebami narodu.

Dzieła jego pomiędzy 1840 a 1850 r. odznaczały się nadzwyczajnem urozmaiceniem. Znajdowały się między nimi prace historyczne, jak: „Litwa, starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania“ (1847-50), „Litwa za Witolda“ (1850); — prace filozoficzne, jak: „System Trentowskiego“ (1847); — rozprawy estetyczno-krytyczne, jak: „Studia literackie“ (1842) i „Nowe studia lite-

rackie“ (1843); — podróżniczo-etnograficzne, jak: „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy“ (1840), „Obrazy z życia i podróży“ (1842), „Wspomnienia Odessy“ (1845/6); — ogromny poemat, dziejom Litwy pogańskiej poświęcony, p. t. „Anafielas“ (3 tomy 1840—45).

Najwięcej oczywiście tworzył powieści, już to historycznych i podanionych, takich, jak: „Mistrz Twardowski“ (1840), „Ostatnia z książąt słuckich“ (1841), „Stańczykowa kronika“ (1841), „Maleparta“ 1844), „Żacy Krakowscy“ (1845), „Zygmuntowskie czasy“ (1846); — już to obyczajowych, jak: „Całe życie biedna“ (1840), „Historya o bladej dziewczynie“ (1841), „Latarnia Czarnoksiężka“ (dwa oddziały czterotomowe: jeden z r. 1842; drugi z 1844); „Pod włoskiem niebem“ (1845), „Pamiętniki nieznanego“ (1846), „Milion posagu“ (1847), „Sfinks“ (1847), „Ostrożnie z ogniem“ (1849), „Pan i Szewc“ (1850).

Osobną grupę stanowią powieści wiejskie, pod względem społecznym niewątpliwie najważniejsze, lecz i co do literackiej wartości niepoślednie, a niekiedy mistrzowskie. Tu należą: „Historya Sawki“ (1842), „Ułana“ (1843), „Ostap Bondarczuk“ (1847), druga jego część p. t. „Jaryna“ (1850) i „Budnik“ (1848).

Geneza „Budnika“.

W malowaniu życia wieśniaków wyprzedzili u nas Kraszewskiego: Marya ks. Wirtemberska i Tomasz Massalski. Pierwsza w „Powieściach wiejskich“, dodanych do skreślonego przez jej matkę Izabellę Czartoryską „Pielgrzyma w Dobromilu“ (1819), przedstawiła sielankowo dobrobyt chłopów, częścią zapatrując się na zamożnych mieszkańców wsi z okolicy Puław, rezydencyi swoich rodziców, częścią zapożyczając rysów z powieści francuskich przeznaczonych dla młodzieży. Massalski w swoim „Panu Podstolicu“ (1831-33) odmalował nędzę chłopów białoruskich z całą prawdą, ale z bardzo szczupłym talentem artystycznym, i nie potrafił ściągnąć należytej uwagi na dzieło swoje, pełne myśli rozumnych.

Kraszewski znał „Pana Podstolica“, lecz nie z niego wziął pochop do swoich powieści ludowych. Nie oddziaływały też nań także obrazy niemieckiego autora, Alberta Bitziu-

sa (Jeremiasza Gotthelfa), które się od r. 1836 ukazywać zaczęły. Zupełnie inne warunki życia chłopów wolnych, a przytwardzonych do ziemi, odrabiających pańszczyznę, oddanych samowoli dziedziców na Litwie i Rusi, nie przedstawiały wybitniejszych analogij, by nasz autor mógł korzystać z pisarza niemieckiego, choćby go znał nawet. Nie mówię już naturalnie o Bertoldzie Auerbachu, którego pierwsze powieści wiejskie ze Szwarzwaldu drukowały się równocześnie (od 1843) z powieściami Kraszewskiego.

Życie tedy samo było jedynem źródłem a serce, spólczu-
jące niedoli, jedyną pobudką tej części twórczości autora „Ulany“. Ponieważ rząd w owych czasach zasadniczo utrzymywał chłopów w poddaństwie, nie podobna było pisać pod cenzurą, występować z projektem wyzwolenia; należało poprzestać na ujawnieniu stron ujemnych, jakie pod względem moralnym jaskrawo się w takim stanie rzeczy uwydatniały. Zrobił to Kraszewski w „Historji Sawki“, w „Ulanie“, w „Ostapie Bondarczuku“ i wywołał gorące słowa uznania od tych wszystkich, co boleli nad istniejącym, a tak smutnym „porządkiem“ społecznym.

W „Budniku“ dotknął autor warstwy, położeniem materialnem zbliżonej do chłopów, lecz co do pochodzenia i niektórych praw różnej od nich. Była to warstwa drobnoszlachecka, zbiedniała, przez rząd już nie za szlachtę, („dworzan“), tylko za „jednodorców“ poczytywana, lecz bądźco bądź nie skrupowana więzami poddaństwa i tradycyjnie stroniąca od chłopów, nie wchodząca z nimi w związki pokrewieństwa, choć nieraz od nich biedniejsza.

Jeden z odłamów tej warstwy, zajęty wypalaniem smoły i potażu, robieniem klepek, zwano na Polesiu „budnikami“ od nędznych chat (bud), w których się mieścili.

Kraszewski znał tych ludzi z własnej i to wieloletniej obserwacji, gdyż widział ich w swoich lasach, najprzód w Omelnie, potem w Gródku. Oto co sam pisze w tym względzie: „Autor we własnej wiosce miał budników i mógł się ich obyczajom przypatrzeć, a malował, jak zwykle, z natury. Leżało wogóle wówczas na sercu wprowadzenie naszego własnego, rzeczywistego świata do powieści w miejsce konwencyonalnych obrazków a nawet salonowych historyj, które barwy ani charakteru nie mają nigdy innej nad kosmopolityczną. Leżało też na sercu równouprawnienie wobec sztuki tych klas

społeczeństwa, które przedtem nie miały prawa ani do sceny, ani do romansu, ani do obrazu, chyba przeodziane w jakąś szatę, skrojoną przez urzędowego krawca... Budnik należy do tego szeregu co i inne powieści z życia ludu... Co było powieścią, stało się historią prawie“.

W tem objaśnieniu należy tylko sprostować jeden szczegół, jakoby lud aż do czasu powieści Kraszewskiego nie miał prawa ani do sceny, ani do romansu, chyba w jakimś przebraniu. Jest to prawdą względną. Ani „Cud“ Bogusławskiego (1794), ani „Zabobon“ Kamińskiego (1821), w dziedzinie dramatycznej, ani nawet „Wiesław“ Brodzińskiego (1820) na polu poezji powieściowej, nie malowały postaci ludowych realistycznie; było już w nich jednak sporo pierwiastków rzeczywistych, różnych od tych sielankowych składników, jakie jeszcze Karpiński w większości swoich utworów uwydatniał. Sceny zaś w „Panu Podstolicu“ Masalskiego są już realistyczne, tylko że trochę za ogólnikowe. Kraszewski wlał życie artystyczne w swoje postaci czysto chłopskie lub zbliżone do chłopskich; — i to stanowiło rzeczywistą nowość w powieści naszej.

Jedną z cech znamiennych budnika, poczucie szlacheckości, zaznaczył także autor w którymś ze swych listów. „Pamiętam — powiada — że niejaki Szadurski, gdy mu przychodziło kilka dni obowiązkowych w dodatku do czynszu odjąć na mojem polu, stawiał zawsze więcej snopów, niż chłopci. Pytam go raz, dlaczego się tak zмага? — Ano, niechaj znają, co szlachcic może — odpowiedział. Miłość własna była i w nim, a buta szlachecka“...

O ile sam wypadek, wynikły głównie ze stosunku rodziny budnika do dworu szlacheckiego, wzięty został wprost z rzeczywistości, nie wiemy na pewno; ale że takie wypadki zdarzały się w owych czasach, niestety, bardzo często, gdzie samowola w pewnym zakresie żadnego nie miała hamulca; więc nie dziw, że jeden z nich wziął Kraszewski za wiązadło główne swego utworu, unikając atoli umyślnie barw zbyt jaskrawych.

Nie uczynił tego przez lekliwość, bo w innych powieściach odważnie chłostał przywary szlacheckie, — ale powodował się trafnem poczuciem artystycznym, ażeby wykazać naocznie, że samowola „pana“, nawet bez użycia przemocy, zgubnie oddziaływała na „biedaków“.

Układ „Budnika“ i charakterystyka osób.

Kraszewski nazwał „Budnika“ prosto „obrazkiem“ i słusznie. Mianujemy bowiem obrazkami w różnicy od powieści takie utwory, w których nie tyle idzie o przedstawienie szczegółowe jakiegoś zajmującego lub ważnego zdarzenia, ile raczej o odmalowanie usposobienia, charakteru, trybu życia pewnej osobistości lub ich szeregu. Oczywiście bez zdarzenia, bez wypadku nie mogą się one obejść; w przeciwnym razie przybrałyby nazwę „charakterystyki“; ale owo zdarzenie, ów wypadek nie stanowią w nich głównego przedmiotu, lecz służą przeważnie do tem lepszego ukazania właściwości danej osoby, wystawiając, jak ona oddziaływała na wpływy zewnętrzne, jak się zabiera do czynu, jak go wykonywa. Autor, nie potrzebując się śpieszyć z opowiadaniem, może spokojnie i szeroko odtwarzać różne strony bytu w ich zwykłym, codziennym stanie, zanim przejdzie do skreślenia przygody, co ludzi z tego zwykłego stanu wrywa i w nowe położenie, przyjemne lub bolesne, wprowadza. Nie gwałtowne przejścia i zmiany, kłębiące się w ruchu gorączkowym, lecz mniej więcej jednostajnie płynące dni i miesiące wypełniają treść „obrazków“ powieściowych, — przed katastrofą.

Takim właśnie jest „Budnik“. Znajduje się w nim katastrofa i to katastrofa jedna z najsilniej wstrząsających, wynikała ze sponiewierania czci rodzinnej, uczucia ojca namiętnie kochającego swe dziecię a pałającego zemstą za jego zbezczeszczenie, obłąkanie, zgon wreszcie. Lecz katastrofa ta wraz z przyczynami, co ją sprowadziły, służy tu głównie do przedstawienia charakteru Bartosza w czynie, który musiał być zgodny z jego usposobieniem i przekonaniami, wyrobionemi w ciągu życia. Natomiast szczegóły zarówno zewnętrznego bytu jak i wewnętrznego stanu duszy i Bartosza i jego otoczenia stanowią najważniejszy przedmiot i wypełniają najwięcej miejsca w utworze. Powieściopisarz chciał nam przedstawić życie budników, kreśląc postać znamieną jednego z nich; i zadanie to spełnił znakomicie, umiejąc zająć i wyobraźnię i serce czytelnika.

W układzie „Budnika“ wyróżnić należy Wstęp tj. cały rozdział I-szy od reszty, tworzącej właściwy Obrazek.

Wstęp ma cechę zupełnie publicystyczną; jest przemową do społeczeństwa, wskazującą naprzód potrzebę i ważność wszechstronnego poznania własnego kraju, a potwóre znamienne rysy jednego odłamu ludności, zamieszkałego na Polesiu, pod nazwą „budników“.

Dawniejsi powieściopisarze, zarówno obcy jak nasi, lubili zagajać swoje opowiadania, a częstokroć i przeplatać je takimi osobistymi zwrotami do czytelników, ażeby zacieśnić niejako spójnię duchową między nimi a sobą, ażeby jakieś myśli i uczucia, które poczytywali w danej chwili za bardzo ważne, wpoić w umysły przy nadarzonej sposobności, kiedy bawili wyobraźnię. Stawali się w ten sposób nauczycielami, moralizatorami, albo ogólniej mówiąc, publicystami, mającymi na oku nie tylko zabawę publiczności, ale także rozszerzenie jej widnokregu myślowego, podniecenie jej sercaw pewnym kierunkiem, objaśnienie jakichś zjawisk społecznych.

Takie zwroty osobiste autorów w opowiadaniu, które skądinąd w całym ciągu prowadzono w trzeciej osobie, nie mogły się przyczyniać do zwiększenia zalet artystycznych utworu, gdyż psuły złudzenie, jakoby ludzie wraz z wypadkami przesuwali się niejako sami przed oczyma wyobraźni naszej; często ukazująca się postać autora, niby kierownika teatru maryonetek, zanadto uwidoczniała źródło, z którego płynęły owe postaci ludzkie i całe szeregi zdarzeń.

Zaprzeczyć jednak nie można, iż ten poufny stosunek autora do czytelnika, umiejętnie podtrzymywany, wynagradzał do pewnego stopnia owo uchybienie artystyczne, żywą jakby wymianą myśli; — a w czasach, kiedy powieść miała sama jedna przywilej dostawania się do rąk warstw społecznych szerszych, nauki, dawane przez autorów, mogły osiągnąć skutek zamierzony, mogły istotnie rozwidniać i pogłębiać zasoby umysłowe czytelników.

Dzisiaj takie bezpośrednie przemowy usunięto z powieści, chyba że całość ich prowadzona jest w pierwszej osobie, gdyż wtedy wystąpienia autora usprawiedliwiają się formą opowiadania, przezeń obraną.

Wstęp do „Budnika“ składa się, jak wspomniałem, z dwu części; w pierwszej, krótszej, mówi Kraszewski o niedozownej potrzebie zbadania kraju zwłaszcza pod względem

etnograficznym i historycznym, powołując się na wyniki, jakie dał jego własny w tej mierze przykład; — w drugiej określiła mało znaną ludność, zamieszkującą bory Polesia Wołyńskiego. Tej drugiej części Wstępu nie można poczytywać za trafnie dobraną, ponieważ autor nieprzychylnie ocenia niszczycielską czynność budników, a tym sposobem nie przygotowuje sympatycznego tła dla obrazka, który namalować zamierzył. Ładnie tu opisał puszcę, lecz za to budników wystawił jako jej najzaciętszych wrogów: „Gdzie przeszedł budnik z siekierą swoją na plecach, z sznurkami powiązana strzelbą na ramieniu, głucha po nim cisza i pnie tylko zostały a spróchniałe kłody..... Wkrótce przetrzebią się ostępy, spadną bez użytku najpiękniejsze drzewa, powypalają się gąszcze i zapusty, bo niema dla lasu nic szkodliwszego nad Mazura. Od rana z siekierą w lesie; dla gałęzi gotów zwalić najpiękniejsze drzewo, na drwa będzie rąbał najcenniejsze sztuki, a dla swoich chudych krów, których na wiosnę nie ma czem pożywić, powali, co napadnie, aby się choć młodymi wypustkami najadły“.

Otóż taka ogólna charakterystyka budnika nie przypada wcale do postaci Bartosza, mającej zająć główne miejsce w samym *Obrazku*, wcale nie zaznaczającej się rysem niszczycielstwa lasów. Ta niezgodność cech ogólnych budnika z cechami, znamionującymi szczegółowy przykład, jest niewątpliwie błędem artystycznym, bo chociaż łatwo zrozumieć, iż wśród ogółu znajdowały się wyjątki, niełatwo przecież pozbywamy się niekorzystnego dla budników wyobrażenia, jakie powzieliśmy na samym początku. Ażeby zatem jednolitość wrażenia otrzymać, potrzeba *Wstęp* usunąć na bok, a przypatrywać się samemu *Obrazkowi*, poczynając od rozdziału drugiego.

Tu autor rzadko kiedy występuje i to w krótkich jedynie słowach, w przejściach od jednego szeregu rozdziałów do drugiego. Przejścia te nie mogą się nazwać szczęśliwemi; wolelibyśmy wcale ich nie czytać; sama rzecz powinna mówić za siebie. Dzisiejsi powieściopisarze unikają ich z zasady. Ale w czasie kiedy „Budnik“ powstał, w powszechnem znajdowały się użyciu. Zresztą są one bardzo zwięzłe i nie przerywają rażąco toku zdarzeń. Gdyby jednak autor rozpatrzył się był dokładniej w sposobie powiązania scen poszczególnych, mógłby ich całkiem uniknąć.

Wywołała je potrzeba przedstawienia sytuacji, równocześnie zachodzących: w chacie budnika, we dworze szlacheckim, w puszczy, w więzieniu małomiasteczkowem. Bardzo spójnie, w sposób jak najnaturalniejszy łączą się ze sobą rozdziały od II-go do V-go włącznie, dając nam wyborny obraz i chaty budnika i wieczoru spędzonego przez rodzinę przy ognisku w oczekiwaniu nadejścia Bartosza i zawiązek katastrofy zarówno w napomknieniach Pawłowej o dworze pańskim w Sumaczej, jak i w zjawieniu się koniokradów; — a dalej świetnie zarysowując postać głównej w obrazku osoby w stosunku do żydów koniokradów, do Pawłowej, do córki i do syna. Te cztery rozdziały to najdoskonalsze ujęcia w całym utworze; przyłączy się do nich później kilka jeszcze scen wspianiałych.

Od rozdziału VI-go zaczynają się owe przejęcia, prowadzące nas kolejno do tego, co się odbywało społecznie; a więc dwór w Sumaczej, wzięcie Bartosza do więzienia, wędrowka głupowatego Macieja przez las (wybornie odmalowana), wstąpienie do karczmy, zabawa we dworze, odznaczenie się Macieja jako celnego strzelca, uwięzienie go, projekt sprowadzenia Pawłowej i Julusi do dworu i urzeczywistnienie tego zamiaru.

Teraz zajmuje się autor przeważnie smutnymi losami Julusi, przygotowując czytelników do sceny bolesnej, tragicznej, tak z powodu niezwykłego usposobienia dziewczyny, nie dającego się oszołomić błyskotkami, jak w skutek uwydatnionej w opowiadaniu Pawłowej gwałtowności charakteru Bartosza. Szczegóły śledztwa, zmiana zaszła w stosunkach urzędnika z żydem-koniokradem, poręczenie co do niewinności Bartosza, dane przez budników, którzy poczuli się wreszcie do obowiązków dopomożenia człowiekowi, przez siebie wielce szanowanemu, przedstawił Kraszewski krótko, o to mianowicie dbając, ażeby szlachetny charakter Bartosza zajaśniał w pełni.

Od chwili uwolnienia budnika podnosi się ton opowiadania; czujemy grozę zbliżającej się katastrofy; czujemy, że pod siermięgą bije serce namiętne, dbałe o cześć, nie umiejące wchodzić w żadne umowy z interesem poziomym. Podpalenie chaty, przypominającej zaloty panicza, odpedzenie Pawłowej, uprowadzenie napółobłąkanej Julusi w niedostępną głąb puszczy, postrzelenie panicza, zgon Julusi, po-

nowne więzienie, wzgarda okazana dla złota, którem chciano żał jego ułagodzić, i śmierć wreszcie na mogile córki — wszystko to następuje po sobie w przyśpieszonym tempie, jak tego natura napiętności i wywołanych przez nie czynów wymagała. Obrazek pod koniec nabiera potężnej siły dramatycznej, jakkolwiek zachowuje spokój artystyczny. Te sceny końcowe, lubo wykonane szkicowo, tchną prawdą uczucia i wywierają silne wrażenie; w innym rodzaju, niż rozdziały II—V, są one tak jak one w swoim, znakomite.

Czy Kraszewski obrobił przedmiot zupełnie realistycznie? Znał on twórców nowoczesnego realizmu artystycznego w powieści: Honoryusza Balzaca i Henryka Beyle'a (Stendhala); próbował nawet przez czas jakiś stylu niemal „naturalistycznego“; ale przejście się poezją romantyczną, pisanie wierszy odwiodło go niebawem od zaudanego niewolniczego trzymania się rzeczywistości; pewne technienie idealne znać w jego wszystkich utworach, poczynając zwłaszcza od r. 1843, kiedy do dawniejszego szyderczego lub ironicznego nastroju przyłączyła się nuta rzewna, coraz bardziej się potęgująca.

Pisząc „Budnika“, Kraszewski nie chciał dać „fotografii“ z życia tej klasy ludności; lecz odtwarzając wiernie jej obyczaje, charaktery, mowę, idealizował nieco odmalowane przez siebie postaci, a zwłaszcza uczucia szlachetne i sposób ich objawienia. Zachował atoli taką miarę artystyczną, że w żadnym kierunku — realistycznym czy idealistycznym — nie popadł w przesadę.

Jako stylista nie był Kraszewski bardzo starannym; pisał pośpiesznie, a lubo wysoko cenił piękną formę, nie zawsze stworzyć ją umiał. „Budnik“ należy stosunkowo do najlepiej opracowanych, jakkolwiek niepoprawności jest w nim sporo. Plastyka atoli postaci i scen, trafne porównania, niewyszukane przenośnie, żywość opowiadania i rozmowy wynagradzają hojnie pewne zaniedbanie w samym wysłowieniu. Prowincjonalizmów autor nie unikał, uważając je, zgodni z ówczesnym poglądem, za rzetelne wzbogacenie języka literackiego.

Bartosz, naczelną osobistość w obrazku, jest to człowiek nie uczony, lecz doświadczeniem, rozumem i szlachetnością serca wyższy od swojego otoczenia, które go też poważa, ceniąc jego zdanie, radząc się w ważniejszych wypadkach

i jakby za naczelnika swego uważając. Poważny, skupiony w sobie, słów skąpi, a jeśli się odezwie, to wypowiada je stanowczo, przejmując uczuciem, iż ich za nic już nie cofnie, i tego, co mówi, święcie dotrzyma. Ma wstręt do zysków nieprawych; nie można go skusić obietnicą pieniężnej nagrody, bo uczciwość ceni nadewszystko. Godność też stanu, z którego jest dumny, umie nosić wysoko, przestrzegając spółbraci, żeby do zhańbienia klejnotu szlacheckiego przywieść się nie dali. „Myśmy — powiadał im — garścią tu obcych wygnańców; powinniśmy być tem poczciwsi, pracowitsi i lepsi od drugih, bo my tu cudzy, a z nas sędzić będzie lud tutejszy o ojcach naszych i krwi całej i ziemi rodzinnej, z której nas czarna dola spędziła. Ubodzy-śmy; to i Chrystus ubogim był i Józef cieślą się nie wstydał nazywać; pracujmy. Biedni-śmy: cierpmy, a nie skarżmy się, jak baby, bo to i na nic się nie zdało i ludziom śmiech“. Często usiadłszy na ulu wywróconym, otoczony przez budników, opowiadał im dawne dzieje, stare podania; nazywał im pradziadów i dziadów dawno pomarłych, to tylko z ich życia przypominając, co potomkom mogło stać się chlubą i nauką. Nieraz sądził sprawy i godził waśnie sąsiedzkie. Umiejętność leczenia ziołami, zwłaszcza ran i wścieklizny, nie mała do niego ludu sprowadzała, dopóki mu tej praktyki rząd nie zabronił.

Powagę jego smutek przenikał; bo życie nie płynęło mu wesoło. Ożenił się z dziewczyną piękną a zalotną, która w dworze się chowała i hardości się nauczyła. Spostrzegłszy, że do jego żony zajeżdżał ukradkiem jakiś gach ze dworu, sposepniał, zaczął się potem i nieproszonemu gościowi rękę przestrzelił. Bartoszowa z przestachu zachorowała, a wydawszy na świat syna, Macieja, umarła. Budnik wyrzucił sobie, że nie przebaczył żonie po chrześcijańsku, że jej śmierć przyspieszył, ale swego gwałtownego usposobienia przemódz nie mógł.

Z syna pociechy nie miał; do córki, Julusi, przyłgwał całym sercem. I ta córka właśnie stała się powodem jego najsroższego cierpienia. Uwiedziona przez panicza, cierpiąc wyrzuty sumienia, wpadła w obłąkanie i obawiała się mocno powrotu ojca, który siedział w więzieniu, fałszywie oskarżony o kradzież koni. Wyszędłszy z więzienia, zestarzały nagle cierpieniem moralnem, wywołanem przez nikczemne posądze-

nie, dowiaduje się o losie córki, nie wini jej, lecz grozi zemstą uwodzicielowi. I spełnia groźbę, lecz rani tylko Jana. Schwytany, osadzony w więzieniu, zachował hart duszy niezłomny, a gdy go wypuszczono za wdaniem się samego Jana, ze wzdądaną i gniewem odrzucił ofiarowane sobie pieniądze i odszedł do lasu. W kilka miesięcy potem znaleziono go skrzepłego na żółtym usypie obok krzyżyka, który oznaczał grób córki.

Bartosz to charakter jednolity, konsekwentny od początku do końca, w słowach, zachowaniu się, radach i czynach. Zyskuje spólczenie czytelnika swoją szlachetnością, słałością, a nawet tym rysem zaciętości, jaki okazuje w więzieniu, a potem w postępowaniu względem Jana. Zraniony w najczulszą, najdotkliwszą stronę serca, niczem przebłagać się nie daje. Cztery pamiętne chwile z jego życia na zawsze utkwić muszą w umyśle czytelnika: zachowanie się względem koniokradów, uporcezywe milczenie w więzieniu, podpalenie chaty, pielęgnowanie chorej córki w ostępie leśnym i pogrzebanie jej własnymi rękoma.

Julusia, ukochana córka Bartosza, odziedziczyła po matce zalotność, jeszcze siebie nieswiadomą, bo to było dziewczę ledwo rozwinięte; po ojcu miała poczucie, prawości i charakter głębszy. Zachody Jana, jego uprzejmość, podarki, uwielbienie obudziły w końcu namiętność; po chwili szału jednak świadomość położenia, obawa gniewu ojca kochanego i czczonego, zwątpienie o stałości uczuć Jana wprawiają w obłęd duszę skołataną, a w tym obłędzie myślą uparcie snującą się po głowie jest pragnienie trwożne, żeby panicz z nią się ożenił. Niepodobieństwa w tem nie dostrzegała: „Chociaż jesteś bogaty — mówiła do Jana — ale ty się ze mną ożenisz tak, jak w bajce książę ożenił się z pastuszką. I poprowadzisz mnie do swojej matki, a ona pobłogosławi nas. Dasz mi sukienki szyte w słońca, księżyce i gwiazdy, włożysz na głowę moją koronę, na szyję perły, na nogi złote obuwie i poprowadzisz mnie do ołtarza... Ja jestem biedna dziewczyna, ale szlachecianka. O! nie chłopka, nie! Ty mnie kochasz, matka pozwoli. Wszak mówiłeś mi wczoraj, że mnie kochasz? Pamiętasz?... tam pod drzewami, na zielonej murawie; księżyc kapał się w strumieniu, ptaszki śpiewały na gałęziach, a mój ojciec patrzył na nas...”

W majaczeniu, podobnie jak Ofelia w „Hamlecie“, mówi

o wianku dziewiczym, bo ta myśl panuje w niej nad wszystkim innym. Kraszewski jednak samodzielnie tę scenę przedstawił. W kącie chaty na ziemi leży Julusia z czarnymi, rozpuszczonymi włosami; wśród nich blada jak marmur twarz jej i oczy płonące ogniem dzikim świeciły; ręce miała załamane, a nogi podkurczone. Jak dziecię senne chwiała się na wszystkie strony, zamysłona, z chmurnem czołem, zwisłą wargą, i mówiła do siedzącego obok Jana: „Jutro wesele, jutro! Wszystko gotowe we dworze i jam gotowa. Tak, nic mi nie brakuje, tylko wianeczka. A bez wianka ksiądz błogosławić nie zechce; pani matka wasza mnie odepchnie i ludzie śmiać się będą. Wianek powinien być koniecznie związany wstążką białą i kraśną. Biała wstążka to niewinność moja, a kraśna — to miłość, a zielone kwiatki — to moje nadzieje. Chodźmy, Jasińku, wiązać wianuszek na wesele; chodź, chodź!... O, dziw, dziwowisko! Co tu kwiecica! co tu kraśnego kwiecica! A co się po nie schylę, to mi od rąk ucieka. Pomóż-bom mi. Ty stoisz jak trup! Aleś ty żywy!..“ Lękała się ojca, by jej tak nie zabił, jak matkę, ale poszła za nim w puszcze, by tam pożegnać się wkrótce z życiem, co ją przelotnem w samym zaraniu oszukawszy upojeniem, samą potem goryczą karmiło. Julusia jest jedną z najwdzięczniejszych postaci niewieścich, jakie nakreślił Kraszewski.

Głupowaty brat jej **Maciej** w niczem zgoła nie jest do niej podobny. Brak mu zupełny rozgarnięcia umysłowego, brak poczucia uczciwości; całą jego troską — nasycenie się jadłem i napojem, jako też sen długi. Ma jeden przymiot, którym zadziwia i zawstydzają paniczów, wyśmiewających jego niezdarność: umie strzelać celnie, bo się wychowywał w lesie od dzieciństwa a polowanie stanowiło jego główne zajęcie. Bierność charakteru wydatnieje w więzieniu, kiedy zeznaje wszystko, czego od niego żądają, czy to jest zgodne z prawdą czy nie, czy dopomoże sprawie ojca czy jej zaszkodzi. Podobnie biernym tylko jest widzem wszystkiego, co się dzieje w chacie; zadowoleniem go przejmuje dostatek, jaki w niej za sprawą Jana zapanował... Po wyjściu z więzienia towarzyszy ojcu wszędzie, dopomaga mu do wykopania dołu dla Julusi; potem idzie z nim w puszcze; ale gdy ojciec umarł, przyjmuje od Jana urząd leśniczego. Co to jest godność osobista, nie rozumie.

Pawłowa, wdowa po bracie Bartosza, to kobieta poziomego sposobu myślenia; idzie jej tylko o dobry byt,

o wygody, jakimkolwiek zyskane sposobem. Ona to popycha Julusie w kierunku, obiecującym dostatek; ona to stara się w niej osłabić poczucie uczciwości i wstydu, a nie śmiejąc wobec surowego Bartosza głosić swoich myśli, tem bezczelniej je objawia, gdy jego w domu nie stało: „Stary Bartosz całe życie goły był i umrze bez koszuli na grzbiecie; bo coby miał ze szczęścia korzystać, to mu hardość a jakieś tam skrupuły tryndają po głowie... Wy-bo wszyscy poginiecie przez wasze głupstwo... Albo to nie wiecie, jak dziewczęta u dworu wychodzą. Napróżno mówiłam, że wiele było dziewcząt u jejmości, wszystkie za pisarzy, za gumiennych, za leśniczych, za ekonomów i z posagami powydawali... Co jemu! On swoje a swoje!..“ Sumienie zanikło w niej zupełnie i pozostały tylko popędy zwierzęce.

Dwór w Sumaczej, gniazdo próżniactwa i zepsucia, przedstawił Kraszewski dobitnie, lecz nie jaskrawo. Pani, pobożna wdowa, łagodna i dobroczynna, nazywana powszechnie: „Dobroć sama“, z powodu osłabienia nie mogąc się zajmować gospodarstwem, oddała je całkowicie synowi, Janowi, poczytywanemu przez siebie za wzór doskonałości. Na wszystko patrzyła oczyma ulubienicy swej, panny Tekli, obłudnej i przewrotnej, umiejącej wyzyskiwać uczynność i nieświadomość swojej dobrodziejki. Wszyscy okłamywali i oszukiwali poczciwą, naiwną, zaślepioną staruszkę; a najlepsze jej zamiary przestaczały się w źródła grzechu i upodlenia, w skutek wyuzdania otaczających.

Jan nie był młodzieńcem złym; główne jego nieszczęście, jak przeważnej części młodzieży szlacheckiej w ówczesnych czasach, stanowiło próżnowanie i możność robienia we wsi swojej, co się tylko podobało. Jego hulanki, wybryki — to następstwo bujnej natury młodzieńczej, chęć zużytkować ogromny zapas sił; ponieważ ten zapas po części w skutek położenia politycznego pod rządem rosyjskim, po części zaś w skutek braku wykształcenia, nie mógł być zużytkowany pożytecznie dla kraju, wylewał się więc w czynach samowoli. Mimo to Jan ma lepsze serce niż zwykli towarzysze jego bezmyślnych zabaw; nie przychodzi mu wprawdzie na myśl wynagrodzić krzywdę, Julusi wyrządzoną, przez odwołanie się z nią, ale jej nie porzuca, jakby to zrobiło tylu innych, zastanawia się nad swym postępkiem, traci humor; a potem, gdy go dosięgł postrzał Bartosza, uznał się widocznie win-

nym, bo sam zabiegał o to, aby budnika z więzienia wypuszczono, głupowatemu Maciejowi zapewnił utrzymanie, a sam hulanek zaprzestał. Czy weźmie się do jakiegokolwiek pracy, wie-dzieć niepodobna, ale nie byłoby to rzeczą niemożliwą.

Ogólny pogląd na powieści ludowe Kraszewskiego.

Stanowisko, zajmowane przez autora „Budnika“ w sprawie ludowej za czasów poddaństwa na Litwie i Rusi, trafnie przedstawił Kazimierz Kaszewski. Oto jego słowa: „To, co czytamy u niego o stanie ówczesnym ludu, stosuje się głównie do jednego tylko odłamu kraju; zakątek, któremu malowidło swe poświęcił, ma wprowadzić pewne rysy wspólne z całością, zwłaszcza podchodzącą pod tenże sam porządek polityczny — ale zachowuje i pewne różnice względnie do całości, tak co do wyników tegoż porządku, jak i co do od-cieni etnograficznych, barwiących jedność a przecież samo-istnie wydatnych... Są to uwagi i spostrzeżenia obywatela, rozumiejącego stan rzeczy i potrzeby kraju, poglądy myśliciela, znającego życie i wartość jego objawów, pisarza nie-podległego, który wszystkie te spostrzeżenia, uwagi i wraże-nia, kojarząc w wyobraźni płodnej, wyciska następnie na utworze... Dwór, w postaci pana, występuje zwykle ujemnie. Z ręką na sercu jednak oświadczyć możemy, że w tym kie-runku nie mieści się żadna doktryna demokratyzująca, ani gra na popularność, któraby wreszcie była zgola fałszywie obliczo-ną, powstając przeciw większości czytających...

„Są-to jedne z najwytworniejszych kart, jakie posiada lite-ratura nasza. Wszystko, ogólnie wzięwszy, pisane z prawdą a miłością wielką, przetkane złotą nicią fantazyi; słowem, małe poematy w prozie, elektryzujące mocą uczucia; typy, siłą i wdziękiem tryumfujące nad czasem, a przechowujące tym spo-sobem wieczną młodość... Nie chodzi o to, czy wszystkie wy-darzenia, czy wszystkie rysy, przytoczone w powieściach, są prawdziwe; zaleta ich polega na tem, że są prawdopodobne, a temu nie zaprzeczy nikt, ktokolwiek zna lud wogóle, w szcze-gółności zaś w tym zakątku etnograficznym, który autor obrał sobie za scenę do swoich przedstawień. To pogodze-nie prawdy z osobistem zapatrywaniem się i wrażeniem od przedmiotu; ta synteza szczegółów, doprowadzająca do wy-tworzenia obrazu konkretnego; to wypełnienie zadania sztuki

znajduje nader szczęśliwe rozwiązanie w powieściach ludowych Kraszewskiego, wziętych ryczałtem...

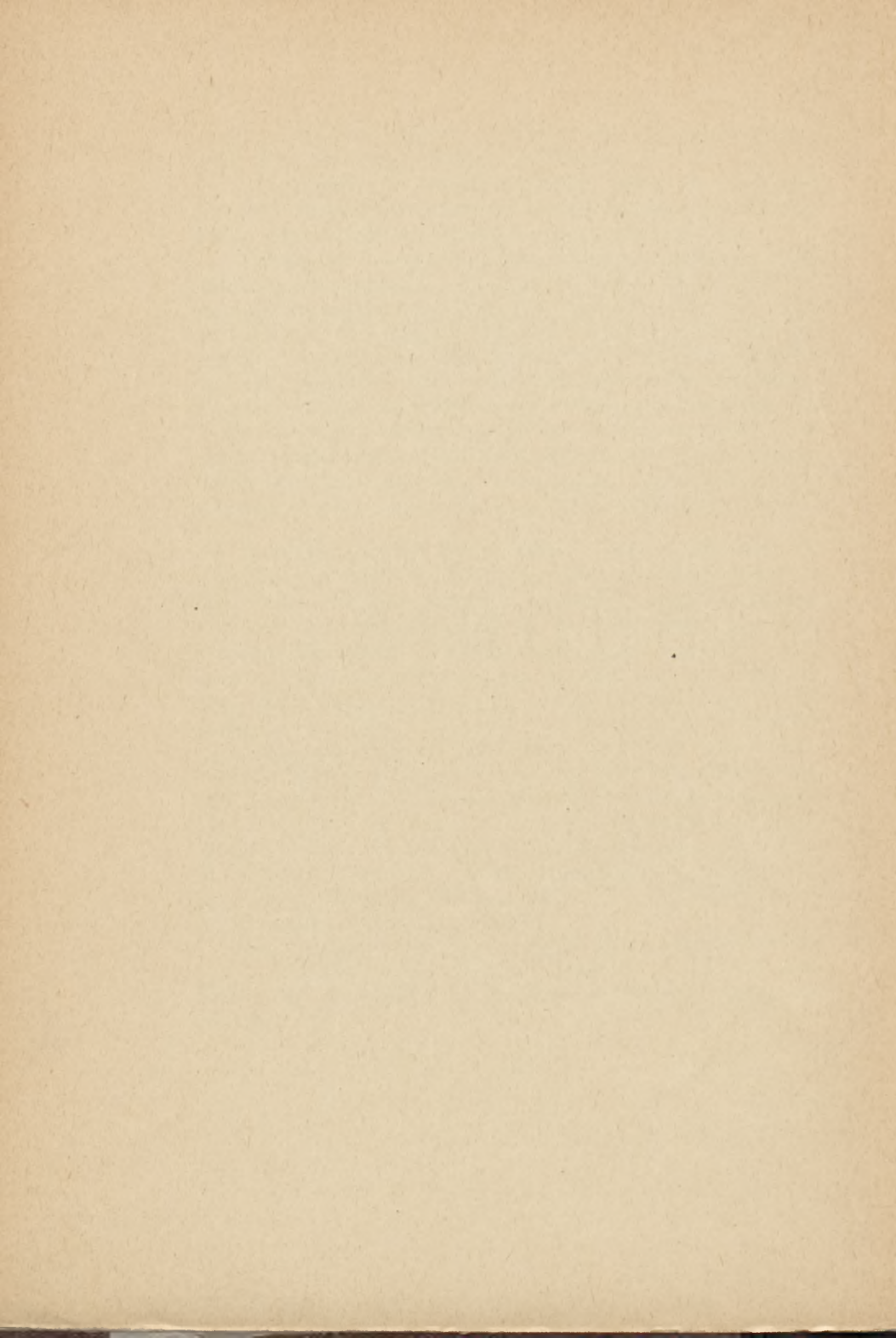
„Nieoceniona to wreszcie zasługa jego, że on jedyny jeszcze schwycił ten znikający, a dziś zapewne już całkiem znikły typ osobistości ludowej, zwany budnikiem.

„Gdyby nie on, po zupełnem zniknięciu możeby już nie miał kto go wskrzesić. Charakter Bartosza, nie przedstawiający nic szczególnie oryginalnego wpośród ludzi jego hartu, tu zdobywa sobie miejsce wydatne, najprzód położeniem bojownika, walczącego wśród okoliczności dziwnych, powtórnie dzielnym kolorytem scen, w których się szczególony charakter jego objawiają i na prawdziwego bohatera go wynoszą. Powieść zaś sama, oprócz tej postaci głównej, nadająca znamiona charakterystyczne każdej prawie bez wyjątku figurze, mniej lub więcej czynnej, do najartystyczniejszych kompozycji naszego autora bezwarunkowo należy“.

„Budnika“ napisał Kraszewski r. 1847 i drukował go z początkiem 1848 w „Bibliotece Warszawskiej“; tegoż roku wyszła książkowa odbitka; a później trzykrotnie jeszcze w druku obrazek ten się ukazał. Obecne wydanie jest piąte z rzędu. Tłomaczono „Budnika“ na język rosyjski i niemiecki. Ocen szczegółowych nie doczekał się; nie było nawet, o ile wiem, obszerniejszych jego recenzji w dobie ukazania się na świat. Natomiast we wszystkich życiorysach i studyach, przyznawano „Budnikowi“ pierwszorzędne miejsce wśród utworów Kraszewskiego. Pierwszą szczegółową krytykę „Budnika“, jak wogóle wszystkich powieści ludowych Kraszewskiego, dał Kazimierz Kaszewski w „Księdze jubileuszowej“, na cześć znakomitego powieściopisarza r. 1880 w Warszawie wydanej. Obecnie rozprawa ta znajduje się na czele I oddziału „Wyboru pism J. I. Kraszewskiego“ w 10 tomach (Warszawa, 1884).

Moja ocena mieści się w zarysie historyczno-literackim, p. t. „Józef Ignacy Kraszewski“, wydanym r. 1888 w Krakowie. Od tego czasu nic pod tym względem nowego nie przybyło.

BUDNIK.



I.

Chociaż od niejakiego czasu nie zbywa nam na pi-
sarzach, w kraju szukających przedmiotów i natchnienia
do swoich obrazów, wiele stron naszego życia, wiele okolic
kraju, wiele charakterów właściwych nam pozostały piórem
5 nietknięte, myślą jeszcze niedoścignione. Tak giną i za-
padają w przeszłość, bezpowrotnie może, liczne obrazy,
któreby dopełniły późno przedsięwziętą, pojętą późno hi-
storyą wewnętrzną; gdyż wkrótce i dziejopis nawet w za-
milkłych podaniach nie znajdzie śladu wielu stron prze-
10 radzającego się w nowe oblicze życia.

Dawniej wszystko, czego nie zapisały kroniki, krysta-
lizowało się w podaniu, idealizującym na swój sposób hi-
storyą; dziś wszystko się powoli zapomina, lub dziwacznie
ubogo, sucho, w kilku słowach, jak pogardliwa jałmużna,
15 rzuca się nadchodzącej przyszłości. Lecz kto wie? może
na mogiłach podań wyrosną dopiero poetyczne ich kwiaty.

To rzecz pewna, że rozmaite miejscowości zaledwie dziś,
nie mówię zbadywane, ale rozpatrywane być poczynają.
Ciekawość powierzchownym poglądem chce chwycić obraz,
20 który się wyciska na przelotnej podróźnego karcie, martwo
i płasko. Trzeba żyć w kraju, w kątku, który się ma o-
pisać żywo; trzeba, by między nim a nami był związek
nietylko przedmiotu obserwacyi z ciekawością postrzegacza,
ale związek żywotny, serdeczny; inaczej obraz da tylko po-
wierzchnią bez ducha. Wieleżto ciekawych pozostało o-
kolic, nietkniętych dotąd, pominionych, z którymi oswojeni
ci, którzy w nich życie wiedą, nie śmieją, nie umieją, nie
mogą przerzucić na papier, co widzą: bo nie czują znowu
25 ważności przedmiotu, który jest ich chlebem powszednim.

30 Dosyć już dawno czytając podróz jakiegoś angielskiego
turysty, który z nad brzegów Gangesu, przez Persyę i Kau-
kaz, potem przerzynając się częścią Wołynia, śpieszył do

Londynu, opisując po drodze Młynów i Torczyn bardzo
 powierzchownie i pocieszenie, pomyśleliśmy, że opis włas-
 nego, dobrze znajomego kraju, okolicy, mógłby przecież
 35 być zajmującym. Wydana próba wzbudziła naśladowców,
 którymi niech się nam będzie wolno poszczycić. Za Wspo-
 mnieniami Wołynia, poszły w ślad Wspomnienia Podola,
 Żmudzi i Wielkiejpolski. Lecz wszystkie, a naprzód próbka
 40 nasza, jakże są jeszcze dalekie od tego, czemby podróż
 po własnym kraju być mogła i powinna! Ile zajmujących
 tajemnic pozostało za szrankami tych książek, które szu-
 kały w miastach, pańskich dworach i pałacach, na gruzo-
 wiskach i ruinach zamczysk, przedmiotów do obrazów jedno-
 45 stronnych i niepełnych. Ileto razy przyszło nam żałować
 pośpiechu, myśląc, jakby go nową pracą wynagrodzić.

Dziś wszakże nie przychodzimy do was, miłośnicy czy-
 telnicy, ze wspomnieniem podobnem, ale z powieścią, której
 treścią prostą będzie obrazek żywota klasy ludu najmniej
 50 może znanej, zamieszkującej lasy Polesia wołyńskiego.

Ta odrębna obyczajami, językiem, wiarą i twarzą róż-
 niąca się wielce od otaczającego ją plemienia garść przy-
 chodniów, oddawna tu osiadłych, pospolicie zowie się *Bud-*
nikami lub *Mazurami*. Pierwsze z tych nazwań pospolitsze.
 55 Pochodzenie tych osadników — nazwisko Mazurów, mowa
 ich, dochowany nieco akcent i obyczaj, dostatecznie wy-
 świecają; lecz ani powód wędrówki, ani czas, kiedy tu przy-
 szli, nie jest nam wiadomy. Wszyscy prawie od bardzo
 dawna, lat dwóchset i więcej zamieszkali w tym kraju, lecz
 60 niejedna rodzina zmieniała kilkakrotnie chatę i przenosiła
 się z miejsca na miejsce. Prócz szlacheckich nazwisk ro-
 dowych, żadnych pamiątek pochodzenia swego, żadnych
 piśmiennych jego nie dochowali dowodów.

Osady te Mazurów nie są wsiami; nigdzie prawie kilku
 65 chat razem niewolniczo skupionych nie znajdziesz; wszystkie
 rozpieczętę po lasach i puszczech, najczęściej pojedynczo
 na wzgórzach, u ruczajów, nieopodal dróg siedzą. Lecz
 w jednej okolicy, rozległej puszczy, w jednym obrębie lasów
 zwykle kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt rodzin razem się
 70 mieści, choć oddzielonych od siebie znaczną niekiedy prze-
 strzenią. To rozstrzelenie ich nie wpłynęło bynajmniej na
 pomieszanie z ludem okolicznym, na zatarcie pochodzenia,
 zapomnienie mowy, a nawet nie zmusiło ich do zawierania

związków z Rusią otaczającą. Mazurowie pozostali po naj-
75 większej części sami sobą i wierni pamięci swego rodu,
który wysoko, choć bez żadnej przyczyny, wynoszą.

Odosobnienie ich, osamotnienie, rodzaj życia dzikiego,
zajęcia dziś znacznie zmienione po wyniszczeniu lasów,
które oni wprzódy wyrabiali na belki, klepki, smołę, dzie-
80 gieć i potaże, musiały przeważnie wpłynąć na ich obyczaje
i stan moralny. Tak się też stało. Ci ubodzy bud leśnych
mieszkańcy są dziś może najbiedniejszą i najsmutniejszą,
litość wzbudzającą klasą mieszkańców Polesia.

W początkach osadnicy ci, może dla swej zręczności
85 w pędzeniu smoły, wyrabianiu dziegciu i wygotowywaniu
z popiołów korytnego i kotłowego potażu sprowadzani,
zapewniony mieli dobry byt samym pracy dostatkim.
Później, gdy przenoszącym się z opustoszałej puszczy
jednej do drugiej nie stało zajęcia; gdy z robotników
90 dobrze płatnych, przeszli na nędznych leśnych tułaczy;
odwykli od roli, do której i ochoty im braknie, ledwie
mając za co kilka kóz i chudą kupić krowę, nie zawsze
szczęśliwi myśliwcy, zubożeli do ostatka. Długi pobyt na
tej ziemi zacierając pamięć okolic, z których wyszli, za-
95 braniał im powrotu, o którym i nie myślą nawet.

Ogromne tutejsze puszcze, których proste jak trzciny,
jak trzciny gładkie sosny masztowe wzrastały wieki, których
dęby potężne, wańczosów i klepki tak długo dostarczały do
Gdańska i Królewca, których gęstych zarośli tyle się w po-
100 piół popłatny zmieniło; dzisiaj stały się smutną pustynią,
gdzie zwierza spotkać, drzewa dorodnego znaleźć trudno.
Łosie, dziki i sarny i ptastwo nawet uciekło z gołych
borów na nieliczne gęstwiny, które trzęsawiska otaczające
lub dziwny przypadek od cheiwego wyrobku do szczętu
105 ochronił.

Gdzie przeszedł budnik z siekierą swoją na plecach,
z sznurkami powiazaną strzelbą na ramieniu, głucha po
nim cisza i pnie tylko po nim zostały a spróchniałe kłody.
Gdzie zaś sosnowe lasy wyrobiono aż do balów i mur-
110 łatów, tam w ostatku dziedzić i pnie nareszcie na łuczwo,
z którego się pędzi smoła, powydobywać kazał. Widok
lasu, zniszczonego w ten sposób, jest czemś dziwnie smut-
nem; jest ruiną, gorzej, bo wielkim zdaje się cmentarzem,
na którym śmiesznie byłoby zapłakać, a nie można się
115 oprzeć smutnemu wrażeniu.

Gdzież bowiem dzisiaj te puszcze nasze, szumiące wśród uroczystej ciszy wieczora?... Teraz odkryte bagniska i trzęsawy, które porasta szorstki wiszar i bobownik, gołe, smutne, obrosłe po brzegach choiną niską i krzywą, zdają się placem potyczek duchów, które zbiegły z przeredzonych puszc w gęste wysokie trawy i osoki. Gdzieniedzie kępina, gnidnikiem i mchem pokryta, zdaje się wyzywać nogi myśliwca, by je, zdradliwie usuwając się, w niezgruntowane trzęsawiska pogrążyć. Ówdzie woda na pozór czysta dłoń twą nęci, by zaczerpnąć; lecz po jej brzegach poznasz, że ruda przesiąkła, a barwa i woń do ust donieść nie pozwolą. U zgniłych palów, które starych łąk granice znaczyły, znajdziesz w próchnie wylegającego się węża; na każdej kałużce żabę z otwartymi oczyma wpatrującą się w ciebie; na każdym źdźble trawki uwieszonego komara, który cię nudzi piosnką i otacza chmurą żadeł nieodegnaną. Dziwnego kształtu muchy, koniki i jak pył drobne stworzenia, które na wiosnę wciągnięte z techniem zabijają bydło, unoszą się tu gromadami: to pojedynczo, to w słupach ogromnych, wirując w górę kołysane wiatrem wieczornym.

Lecz powróćmy do lasów. Tu niemniej dziś smutno i ciężko spojrzeć dokoła. Żadna sosna wyniosła, żaden dąb stary, zielonej głowy nie podnoszą w górę. Na polojowisku zostały tylko młode brzezinki, żółta wypalona i nieżywa sośnina, puszczone dla trawy pożarem zabita łoża, trzmielina, krzak olszyny z pniem czerwonym w pośrodku, białe trzaski osiczyny i sokoru, lub skrzywiona, wychylona, popalana zewsząd, na nic nieprzydatna już, a na tym cmentarzu sama jedna dogorywająca choina. Poniżej, łoże liści przegniłych przebijają pokorni lasów mieszkańcy, najdłużej pozostali, bo najmniej potrzebni: krzaczkę bagna, wrzосу, czernicy i kruszyny, wyglądające bojaźliwie i tulące się do pognitych pni dawnych swoich opiekunów. Natomiast bujne strzeliły roczne kwiaty, które zleciały się na żyzną ziemię jak na pastwę; ich jasne główki kołyszą się wesoło, jaśniejac mnóstwem barw, z tą żalobą lasów dziwnie sprzecznym. Lecz gdzież upadek jednych nie jest powstaniem drugich? Na cmentarzu tej arystokracji roślinnej lud wesoło porasta i śmieje się, rozsypując dokoła korzonki swe i nasionka.

Zgniłe kłody, obsypane trzaskami doły, z których

pnie smolne wyjęto, ogniska stare popiołami użyżnione,
 już zarasta zieloność nowa, już pokrywa życie młode.
 160 Szybko puściły się smukłe białe brzezinki na wyższych
 miejscach; gdzieniegdzie krzaczysto i karłowato próbuje
 dąb sił swoich, męcząc się, by wydobyć do żywota. Sosny po-
 deptane, poobjadane i pokoszlawione, skrzywione i skar-
 165 łałe wielkich rodziców potomki, rachityczne, biedne, wy-
 grzebały się także na piaskowatych wydmach gdzie, było
 mniej chodzi. Ale to już nie owa stara, nie wiekowa
 puszcza, która tu wprzód rośla!

Przechodząc te zgłiszcza i rumowiska, nie spłoszysz
 zwierza, nie zaszelepie ci ptak nad głową, nie posłyszysz
 170 głosu dawnych mieszkańców lasu, którzy daleko gdzieś
 poleciali słać nowe gniazda; tylko kaczka wędrowna kwaka,
 ciągnąc na wyżary, z żeru wracając tylko czarny bocian
 leśny zaszumi skrzydły lub czajka swą żałosną wyśpiewa
 piosenkę. Zarosłe jamy wilcze, rozwalone stare szałas
 175 myśliwych, pozieleniałe wały potażowych pieców, zgłiszcza
 uciekłych chałup, spotykasz tylko po drodze.

Gdzieniegdzie kopiec przebity dębowym kołem, lub
 strojny zasadzonym dębczakiem, przypomni, że i tu są
 granice; choć licha ziemia naga, nieprędko wartą będzie
 180 procesu i zwady.

Taki często obraz wyniszczonych lasów Polesia, chociaż
 nie wszystkie do tego stopnia zgładzone zostały. Miejscami,
 choć wyrabano sosny i dęby na belki, pozwolono żyć
 i podrastać młodzieży, zostawiono gąszcze, które bór ro-
 185 bią tajemniczym i ciemnym, stare barcie, które napróżno,
 ale oddawna pszczoł czekają, i brzozy, co je tylko dzieg-
 ciarz po pas z białych oberwał fartuszków. A choć kłody
 leżą i gniją wszędzie, bo nikt ich na opał ani na budowę,
 choćby były zdatne, nie ruszy, mając sobie za równo czy
 190 zdechłe podjąć zwierzę, czy zwalonego użyć drzewa; choć
 szramy żółtych trzasek znaczą gęsto miejsca, gdzie żydzi
 ostrogscy wyrabiali belki; przecież tam jeszcze i zwierz
 i budnik biedny żyć może. Miejscami nawet niedostępne
 ostrowy, błotami otoczone, zostały dotąd prawie nietknięte
 195 siekiera; tam bujają jeszcze łosie i stada sarn przelatują
 pierzchliwie, i dzik wylega się w świeżo wrytej ziemi na
 miękkim posłaniu.

Lecz nie daj tam Boże budnika! Wkrótce przetrzebia

się ostępy, spadną bez użytku najpiękniejsze drzewa, po-
 200 wypalają się gąszcze i zapusty, bo niema dla lasu nie
 szkodliwszego nad Mazura; nawet pan zrujnowany, co ty-
 siącami beczek smoły sprzedaje, gdzie ich stu wypędzić
 trudno, nie tak zniszczy jak budnik.

Od rana z siekierą w lesie; dla gałęzi gotów zwalić
 205 najpiękniejsze drzewo, na drwa będzie rąbał najcenniej-
 sze sztuki, a dla swoich chudych krów, których na wiosnę
 nie ma czem pożywić, powali, co napadnie, aby się choć
 młodymi wypustkami najadły.

II.

W jednej z puszczy poleskich niezupełnie jeszcze
 210 wyciętych daleko od wsi i dworów, a nawet i dróg w kilku
 kierunkach bory przecinających; na wytrzebionej mokrej
 łące, którą gnły przepływał ruczajek, brzegi mając si-
 towiem i łotocią zarosłe; stała chata budnika trochę na
 wyżynie, przyparta do ostępu, mało co jeszcze przetrze-
 215 bionego. Budnik wybiera zawsze, gdzieby najwięcej zro-
 bić mógł szkody.

Kilka ledwie dojrzanych drożynek ściągało się tutaj
 z różnych stron; jedne wydeptali ludzie, drugie bydło i kozy;
 a szersza nieco, głęboko wrytą kołami prostego wozu,
 220 zarosła, starą oznaczoną była koleją. Dokoła szumił las,
 niewiele jeszcze i ze szczętem nigdzie nie wycięty; stare
 sosny z barciami na barkach, kilka dębów rozłożystych
 na pagórku, dołem olchy kępami rosnące i gęsta leszczyna
 umajały to miejsce. Buda z bierwion sosnowych nieob-
 225 robionych, na mech zarzucona w zamkij jak chaty poleskie,
 trochę od nich wyższa, lecz bardzo podobna, wznosiła,
 się na podniesionym brzegu łąki w cieniu brzóz i sosen.
 Dach jej pokrywały w części nieforemne dranice przybite
 kołkami, w części ponad szopką i obórką, które z nią
 230 jedną całość stanowiły, narzucone kupy wiszaru i miętej
 słomy, przyciśnione kluczynami brzożowemi. W sposobie
 budowania tej chaty znać było, że się tu ani o trwałość,
 ani o wdzięk nie starano wcale; krzątano tylko pośpiesznie
 nie rachując na długie jutro — aby było. Okna nieco
 352 większe od zwykłych po chatach, drzwi zbite z tarciczek,
 wrota do obórki z dranic krzywych nieforemnie sklecone,

komin z płotu i gliny, czarny teraz i okopcony, dymnik z wyłobionego pniaka olchowego, wcale nie zdobiły budy Mazura. Nigdzie pobiały, którą chłopek na święta jak
 240 białą koszulą zdołał swoje mieszkanie, malując w dodatku przyzbę żółto lub brunatno; — nigdzie nie dla oka i serca. Za obórką z płotu, tuż płot drugi z gałęzi, z pniów wykarczowanych, z kłód poobcinanych, narzucony pośpiesznie otaczał ogródek, wśród zagonów którego licho
 245 uprawnych, sterczały resztki niedogorzałe czarnych korzeni drzew i krzewów.

Lecz wnijdźmy wewnątrz chaty, którą składały: sionka niechlujna i ciemna, izba z alkierzem i komora po drugiej stronie. W izbie wszystek sprzęt prawie cechowała po-
 250 śpieszna domowa robota: stoły i ławy chwiały się na cienkich, zaledwie z kory ostruganych nogach, zbite z deszczek łupanych, nierównych i nieogładzonych. Naczynia gospodarskie, które z konieczności szczelniejsze być musiały i pracowiciej wykonane, zdawały się kupne. Piec chlebowy
 255 z kominem i przyzbą, z gliny lepiony, wytarty plecami ogrzewających się przy nim, zajmował wielką część pierwszej izby; tuż bondur słomiany, omazany gliną, służył do oświetlania łuczyną w długie wieczory i ranki zimowe. Ściel nad izbą ułożona była z dylów sosnowych, potrząs-
 206 nionych wiszarem i oblepionych gliną, gdzieniegdzie otworami dobywającą się i na cienkich siana niciach wiszącą. Dym i kopeć uczyniły ją czarna, równie jak ściany. U drzwi jak w chatach stała rażka, ceber, wiadro, czerpak drewniany, łopata, kociuba tajemnicza, miotła do czyszcze-
 260 nia pieca na długim drażu i napleczki do noszenia wody.

Na kapturze komina i w piecu czarne garnki, na półce kilka faszek i misek dowodziły wielkiego ubóstwa. W głębi mizerne łóżko, zaledwie zbite, narzucone brudną po-
 265 ścielą i starymi szczątkami sukman dziurawych, pokrywało wyglądający bokiem zielony kuty kuferek. Nad niem w ramkach czarnych obrazek Najświętszej panny Częstochowskiej, Pan Jezus Boremelski, palma, żółta gromnica z wiankami dosyć już upalona, wisiały przy strzelbie i torbie. Na drugiej stronie, stare szablisko w żelaznej
 270 pochwie z rapciami skórzanymi, odosobnione, smutne, spoczywało opylone; dawno zapewne, dawno, bo i ściana pod niem była jaśniejszej barwy!

Zewsząd widna była wielka nędra, wypisując się na
 wszystkim. Smutno wpadało tu światelko okienkiem od
 275 łąki, smutno syczał ogień na kominie, a każdemu usię-
 dzeniu na ławie towarzyszyło dziwne skrzypienie i suche
 jakby łamanie się drzewa. Nagie ściany kopeć tylko o-
 czernił, a prócz opiekunki Matki Boskiej, starej nieu-
 żywanej szabli i strzelby, prócz prawie pustej półeczki
 280 wiszącej w kąci, oko przebiegając je, nie miało się na
 czem zatrzymać.

III.

W chwili, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, byłato
 młoda jeszcze, ledwie z pod śniegów wychylająca się wiosna,
 pora najstraszniejsza dla ubogich, bo stykająca się pra-
 285 wie z tym groźnym przednówkiem, który pocieszając na-
 dzieją nowego, starego już nie ma pokarmu. Bydło i
 ludzie, dożywszy do końca zapasów zimowych, oglądają
 się dokoła, prosząc Boga o zieloność i życie świata, które
 jest dla nich pokarmem.

290 Nic smutniejszego przytem nad tę w naszym klimacie
 często przykrą i długą porę roku, poprzedzającą rozbu-
 dzenie ziemi. Drzewa nagie, płachty śniegów czarnych,
 niedotopionych, zlodowaciałych leżące po dołach, kryjące
 się w cieniach; powietrze wilgotne i zimne; na niebie szare
 295 chmury dżdżyste i śnieżne; w stodołach i spiżarniach już
 pusto lub niewiele zostało.

Bydło budnika, przywykłe do pożywiania się nawet
 wśród zimy gałązkami młodeymi drzew, ich korą i odgrze-
 bywaniami z pod śniegu trawami, choć wychudłe, życie
 300 swe przecież utrzymać potrafi. Koza zwija się i spina ku
 smacznym pączkom, które ją dostatecznie nakarmią; ale
 człowiek!.. Człowiek już w tej porze czasem mrze głodem,
 mieszając do chleba, co tylko da się wmieszać na oszu-
 kanie żołądka i zyskanie czasu.

305 W chacie budnika późnym wieczorem, u bondura,
 w którym gorzała szczepa smolnej łuczyny, siedziała
 cała rodzina, prócz jednego jej członka. Stary Bartosz
 jeszcze był w lesie.

Wdowa Salomea, żona niegdy brata Bartoszewego,
 310 zwana panią Pawłową; syn Bartosza Maciej i córka Julia



oglądali się coraz na drzwi, nasłuchując, azali nie wraca ojciec. Ciemny i mokry wieczór szumiał i szalał w puszczy, której głos dla przywykłych uszu głuchem się wydawał milczeniem.

315 W kominie skwarzyło się coś w garnkach, na które niekiedy dość obojętnem okiem spoglądała Pawłowa. Była to kobieta lat pięćdziesięciu kilku, rysów twarzy pospolitych, cery właściwej budnikom żółtej i ciemnej, z twarzą pooraną marszczkami, w brudnej, dawniej białej chuście

320 na głowie, odartym kabaciku płóciennym i grubej szarej koszuli. W zgasłych oczach, zbladłych ustach, malowało się przybicie nędzą, spodlenie cierpieniem; bo cierpienie, które podnosi i uszlachetnia, przybija także słabych i upadła!

325 Widziałeś patrząc na nią, że nie wzdrygnęłaby się na nic, byleby z ciężkiego żywota przejść do swobodniejszej doli; uczucia poczciwsze jeżeli kiedy w niej żyły, zagasty, przywalone ciężarem codziennych trosk bez nadziei podźwignienia. Z podkurczonymi nogami, ręką pod brodę

330 wciśniętą, rozczochranymi włosy bez barwy i kształtu, siedziała zamyślona głęboko, zadumana, nieporuszony wzrok utkwiony w ścianę trzymając.

Przy niej, na przypiecku także, przędła Julusia, córka Bartosza.

335 Dziwneto było w chacie biednego budnika zjawisko: biała blada, wysmukła, z czarnym kruczym włosom czarnemi oczyma oémionemi długą rzęsą, pokrytami brwią kształtną, zdawała się ledwie dopiero z dzieciństwa do młodości przechodzić.

340 Pod grubą, ale czystą koszulą, poczynały się dopiero zarysowywać niewieście jej kształty. W czarnem oku, w ust zagięciu, mówiła przyszła, a jeszcze nierozwinięta namiętność. Ubogi strój nie był bez starania narzucony, ale ułożony widocznie z myślą, by przystrajał, by zdobył; gładko wyczesane prześliczne i ogromne włosy związywała maleńka chusteczka czarno-niebieska, której węzeł nie był bez uwagi spleatany, końce zdawały się spuszczone z rozmysłem. Na szyi trochę paciórek i krzyżyk żółty wyglądał z pod wywiniętego kołnierzyka koszuli.

350 Julusia (tak ją zwano) przędła, ale nie myśląc o kądzieli i wrzecie, ze wzrokiem błędnym, który zdra-

dzał zadumanie głębokie. Widać było, że myślami i nadziejami poszła kędyś za chatę i za lasy.

- Niedaleko od niej na wywróconym cebrze siedział
 355 Maciej, prawdziwy budnik, z tymi rysy twarzy bez wyrazu, którym nędza odjęła życie, barwę młodości, połysk żywota. Włos konopiasty, najeżony na głowie, zwieszał mu się nad oczy siwe, blade, bezmyślne. W rysach nie było szlachetnego, żadnego najdalszego nawet podobieństwa do siostry. Na policzku nie pozostał ślad rumieńca,
 360 a ogół twarzy, wcześniej zestarzałej, daleko więcej lat okazywał, niż Maciej miał ich wistocie. W tej chwili plótł łapcie milcząc; u nóg jego osmalony, z najeżoną sierścią, ostremi uszami, chudymi wyciągnionymi bokami,
 365 leżał stróż chaty, przyjaciel osobisty Macieja — stary, wierny Burek.

Trzask łuczywa, z którego dobywały się kłęby czarnego dymu, uciekające bondurem, przerywał tylko milczenie.

- 370 Nareszcie pani Pawłowa, westchnąwszy i poskrobawszy się w głowę, zawołała ostrym i niemiłym głosem:
 — A coto jest, że Bartosza niema?
 — Hę? — spytał Maciej głupawo, rzucając łapcie.
 — Dziwo, że Bartosz nie powraca.
 375 — Co za dziwo! Musieli gdzie zabłądzić, noc taka czarna! Burek nie trafiłby.
 — Gdzieby zaś Bartosz mogli zabłądzić!
 — Albo czemu?
 — Zna on przecie las, gdyby kieszeń swoją.
 380 — Ba! każdy go z nas zna, a każdemu się trafi zabłądzić, jak *złe* zechce wodzić.
 — Nie plótłbyś, Maćku! — przerwała Pawłowa.

Maciej ruszył ramionami, potrząsł głową, spojrzął na siostrę, która, obudzona rozmową, prząść zaczęła, i wrócił powoli do łapci.

- 385 — A mnieby się jeść chciało — rzekł po chwili do pani Pawłowej. — Czy będziecie czekali na tatula?
 — Zdaje się, niema o co i pytać!

Maciej wstał, wyciągnął się, poszedł do drzwi napić
 390 się wody, i rzucił się na ławę stękając, a poleżawszy chwilę, odezwał się chrapaniem.

Pawłowa posłyszawszy, że śpi, i upewniwszy się spojrzeniem, obróciła się do Julusi, która powoli przędła.

— Zaśpiewajcie bo co — rzekła — nudno! Wichrzy-
395 sko się zмага, a to taka puszcza głucha. A ten bałwan
śni! Ciarki przechodzą po skórze. Jeszcze pod taką noc
o złem wspominać!

— Niema bo ochoty śpiewać.

— Jakto? w twoim wieku? Mój Boże! Ja, kiedy by-
400 łam tak młoda, to mi pani matka, świeć jej. Boże, gęby
stulić nie mogła.

— Musieliście być w lepszym stanie, to wam i we-
selej było.

— Toć się rozumie! A bo teżto dawniej daleko inne
405 i lepsze były dla wszystkich czasy! W puszczy roboty
huk, aż miło, taki rwetes i życie. Stuk, puk, siekiery
brzęczą, w piecach trzeszczy, dziegieć kapie a Mazuro-
wie śpiewają. Tu belki złote leżą, tu się kleпка w stosy
sypie, tam łuczywo w szury stawia, tu korę brzożową
410 zwożą, dalej popioły palą, dalej potaż kipi. A trzeba
wiedzieć, że nieboszczyk Paweł nie miał sobie równego
do potażu, nietylko korytnego, ale nawet kotłowego. Spro-
wadzali go o dziesięć i dwadzieścia mil. I u niego zawsze
popiół lepiej wydawał się jak u drugich. Był dostatek,
415 niema co mówić, był grosz, było wszystko, czego dusza
chciała. A! a! gdyby nie to nieszczęście!

— Nieszczęście?

— Jużciż! że się pobili w karczmie z Krzywonosym
i mój dostał w głowę obuchem, co kawęczał dwa lata
420 w łóżku, zanim umarł. Oj! ta to przekłeta choróbsko
mnie zgubiła. Bo kiedy już Pan Bóg tak chciał, żebym była
sierotą, niechby był taki pochorowawszy trochę skończył;
ale to i on się nieboraczysko namęczył okrutnie, i my
się utracili do ostatniej koszuli, że za co go potem i po-
425 chować już nie było. A na starość przyszło cudze kąty
wycierać.

— Jakto cudze? — rzekła Julusia — taćmy przecież
swoi, pani Pawłowa.

— Swoi! tak, swoi — pokręciła głową i zamilkła.

430 Maciej spał, a Burek układłszy się przy nim na ła-
wie, patrząc w okno, uszy nastawił i sierść najeżył.

— Ale bo i wam ciężko! — dodała po chwili Pawłowa
wzdychając. Ja, co to lepszego kosztowałam i pamiętam
dawniejsze czasy, nie wiem już, jak dalej i wytrzymamy

435 Co dzień gorzej, co dzień nędza większa, roboty żadnej
leśnej niema krom tej lichej smoły, co i plunąć nie warto.
Chcieliby nas na chłopów przerobić i z wołami do roli
zaprządz, ale z tego nic nie będzie. Podobno rychlej
z głodu pomrzemy.

440 Julusia westchnęła.

— Co życie to życie! Męka, krótko mówiąc. W spiżar-
ni pustki, jak wymiółł, bydełko pozdychało. Jedna chu-
da krowina i dwie kozy całego dobytku, a kozłęta wilcy
podławili. Na chleb mąki do przyszłej niedzieli nie stanie.

445 — Ojciec pomyśli i postara się.

— A skąd on się postara? z palca wyłamie? Z fuzyą
chodząc, co zabije, to zjemy, ze skórki się nie z bogaci,
bo i zwierza nie bogato w lesie, roboty niema a panicz...

Na wspomnienie panicza Julusia nieznacznie się za-
450 czerwieniła. Stara Pawłowa niby tego nie widząc, dalej
kończyła:

— Panicz nie pomoże? jak myślicie?

— Alboż je wiem? albo ja wiem? — żywo odparła
dziewczyna — Ale zdaje się...

455 — A co ci się zdaje, kochanie?

— Sama nie wiem. Juściż on i stara pani bardzo do-
brzy dla ludzi biednych; to tylko rządca i ekonom, coby
z nich skórę zdarli, gdyby można.

— Oj tak, szczerza prawda! Tak, serdeńko! Panicz młó-
460 dy, serce dobre, śliczny chłopiec! A ty bo jemu w ocz-
ko wpadłaś.

— Kto? ja? — ruszając ramionami i rzucając się żywo
do kądzieli, zawołała dziewczyna. — Ja? dajcież pokój.

— No! no! Oczy mam nie dla proporcji. Nie udawaj!

465 Wiem ja wszystko, wiem.

— A co macie wiedzieć?

— Co? ciekawość!! Panicz często z polowania pod na-
szą chatę zbacza, a jak ciebie zastanie na podwórku, to
i zagada i zbliży się i pozartuje. A taki się robi słodki,

470 miły, jakby go kto miodem posmarował. Oj! oj gdybyś
ty miała rozum, gdyby to tak ze mną, wiedziałabym ja
co robić.

— Ale dajcież mi pokój! — porwała się Julusia cała
w płomieniach. — Ja nawet nie wiem, co wy sobie myś-
475 licie. Broń Boże, by ojciec posłyszał!

480 — No, no, cicho! cicho! niema nic! — szepnęła stara, ukośnem mierząc wejrzeniem Julusią najprzód, potem śpiącego Macieja.

Julusia tymczasem poszła ku piecowi zajrzeć do wieczery, na którą gotowały się kartofle i kasza, oboje bez
 485 omasty. Kartofle zatrzeć miano trochę sera wydając na stół, a kaszę tylko osolić i grzybem a cebulą podprawić; słonina była tu bajecznym przysmakiem dawno niewidzianym, a odrobina masła najczęściej się sprzedawała kwarterkami w miasteczku dla kupienia soli i pierwszych potrzeb do życia.
 490

IV.

Jeszcze u ognia stała dziewczyna, gdy stuk dał się słyszeć u drzwi. Porwała się Pawłowa i Maciej przebudzony chcąc poświęcić do sieni, myśląc, że Bartosz powraca, ale zarżenie konia zatrzymało ich oboje. O tej porze
 495 w głębi głuchego lasu konny podróżny był wypadkiem tak zadziwiającym, tak nadzwyczajnym, że wszyscy spojrzeli po sobie z przestachem i niemem zapytaniem — coby to być mogło?

— Hej! jest tam kto? Panie Bartłomiej!

500 — To znajomy! — rzekł Maciej ośmielony — ala dyabeł wie i kto i po co?

Pochwycił łuczywo, wychylił się za drzwi nieco i spytał:

— A kto tam?

Burek także stanawszy przedniemi łapami na wysokim
 505 progu, zadarłszy głowę do góry, sypał najrozmaitszemi głosami swoje zapytania przybyłemu.

— Nu! kto, swój. A weźcie sobakę.

— Jakiś żyd — szepnęła pani Pawłowa.

Maciej zaparł Burka do kąta za wiadro, na ktróe wier-
 510 ne psisko wydrapawszy się, ciągnęło dalej gderanie swoje.

— Nu! kto, swój! — odparł głos z sieni. — A jest pan Bartłomiej?

— Niema.

— A Maciej?

515 — Patrzcie i mnie zna! A toć ja jestem.

— Chodźcie tu. Jakieś konie koło waszej chaty się pasły. Połapałem je, pomóżcie mi je powiązać, bo się znowu rozbiegną.

— Konie! konie! czyje?

520 — Albo ja wiem.

— Ale cóżby tu konie cudze o północy robiły? —
kiwając głową szepnęła Pawłowa. — A wyż tu co tak
późno?

— Późno, niepóźno. Nu! to się dowiecie, po co ja tutaj,
525 a wyjdźcie i otwórzcie mi oborę.

Maciej ośmielony głosem żyda wyszedł nareszcie zacie-
kawiony do koni. Żyd Bramko, który się z nimi razem
zjawił, dobrze mu był znajomy.

Mieszkał on w pobliżkiem lichem miasteczku poleskiem,
530 położonem u rzeki spławnej, i z niej całe swe życie cią-
gnącem. Bindiuha drzewa towarne, skład materya-
łów leśnych, smoły i dziegiu z okolicy, mały handel zbo-
żowy, dawały tu zarobek wieśniakom, a niekiedy i bud-
nikom. Na mil kilka wkoło wszystko żyło tą mieścina,
535 począwszy od szlalcica, co w niej potrzebne do życia
zapasy na kredyt dostawał, aż do wieśniaka, który tu sól,
skóry wyprawne, czapkę na jarmarku i chustkę dla córki
mógł kupić, a furę zboża, siana i drew za lichą cenę
sprzedać. Wśród żydostwa, które jak mrowie pod drze-
540 wem z upadłych iglic wznosi mrowisko co dzień szersze
i większe, Bramko odznaczał się nie bogactwem, ale
nadmierzającą ruchawością. Nie było targu, nie było ro-
boty, nie było kontraktu bez niego. Gdzie nie czynił
sam dla siebie, faktorował; gdzie faktorować nie mógł,
545 przeszkadzał; gdzie przeszkodzić w początku nie potra-
fił, popsuł podstępnie choć później. Cheiwy, niezmordowany,
zapalczywy do zysku, najdrobniejszej jego okruszyny na
ziemię nie upuścił.

Podejrzewano go nie bez przyczyny o zyski tajemne
550 z handłów zakazanych, a nawet o związki z szajką złod-
ziejów końskich; ale tego nikt zręcznemu izraelicie do-
wieść nie potrafił. To pewna, że coraz inne i bardzo do-
bre konie pokazywały się w jego rękach; że często odda-
łał się nie wiedzieć dokąd, że do niego obdarci żydzi nie-
555 znajomi schodzili się nocami; ale prócz podejrzeń, dowo-
dów na niego żadnych nie było.

Bramko był słusznego wzrostu barczysty, silny, z ozna-
ką zdrowia na twarzy, z pejssem czarnym i wejrzeniem zu-
chwałem a kołacem. Minę miał hardą, mowę często szy-

560 derską, obejście prawie dumne, zwłaszcza z tymi, których
za niższych od siebie uważał.

— Nu! otwórzcie oborę! rzekł do Macieja, który wyszedł na podwórze i przypatrywał się z zagapieniem sobie właściwem czterem koniom płaczącym się na postronkach, wiedzionych przez jakiegoś obdartego żydziuka.

— A to na co?

— Konie postawim.

— Jakto postawim?

— Niechajby spoczęły.

570 — Myślicie tu nocować?

— Zobaczymy.

— Ale bo to u nas niema miejsca.

— Jakto? a obora, a stajnia.

— Stajni u nas i nie było nigdy, a w oborze drzewo schnie.

575 — A wasze bydło?

— Jakie bydło?

— Wasze. Albożto i bydła nie macie?

— Krowa stoi w sieni, a kozy pod przydaszkiem za oborą.

580 Żydzi poszwargotali z sobą po swojemu.

— Jakżeto będzie? — spytał Bramko — to nie znajdziemy gdzie tych koni postawić?

— A cóż! chyba na podwórku.

585 Żyd mruczał gniewnie i chodził bijąc się po bokach; zbliżył się ku wrotom obórki, zmierzył je okiem i powrócił do Macieja.

— Mam interes do ojca, muszę się tutaj zatrzymać i konie te do jutra postawić; uprzątnijcie mi obórkę.

Maciej się rozśmiał.

590 — Oj! oj! a toby było roboty na dwa dni, tyle tam kłód leży. A jeść-że cobyście dali tym koniom?

— Siano.

— Jakie siano? chyba go macie z sobą?

— A toć u was jest. A cóż jé krowa?

595 — Krowa? Konie tyle rozumu co krowa nie mają. Ona żyje liśćmi i gałązkami, zwyczajnie budniczka.

Tu już Bramko kłac zaczął w niebogłosy i szarpać niecierpliwie czapkę i jarmułkę.

600 — Nu! kiedy tak — zawołał — tem gorzej dla was; byliście mieli zarobek, byłbym ojcu nastreczył dobry inte-

605 res, ale kiedy i koni tych niema gdzie postawić i pokarmić,
to ruszę dalej.

— A jakbyście poczekali na ojca? On niebawem nadejdzie i da wam może radę. Tymczasem chodźcie i ogrzejcie się w izbie.

610 Żyd, poszwargotawszy z obdartym towarzyszem, posunął się do chaty i wszedł, nie zdejmując czapki, do izby, czarnemi bystreimi oczy mierząc panią Pawłową i Julusię ciekawie mu się też przypatrujące. Milcząc, pogardliwie rzucił się na ławę przeciw pieca, i zakasawszy poły, począł otrząsać z deszczu.

Jeszcze się był nie rozgospodarzył, gdy drzwi za nim skrzyły i stary Bartosz krokiem, po którym go wszyscy zdaleka poznali, przestąpił próg swojej budy.

620 Byłto podżyły już, siwiejący nieco, wysokiego wzrostu, olbrzymich ramion mężczyzna, ubrany, jak zwykle chodzą budnicy. Na nim szara, krótka kapota, pasem czerwonym ujęta, szarawary grube płócienne, łapcie ze skórzanymi sznurami, czapka mała bez daszka, torba borsucza i strzelba na ramieniu. U pasa w czarnej kaletce krzesiwo, przy
625 niem zwieszony wielki nóż i drut do przetykania zapalu w fuzyi. Piękne wyłysiałe czoło odsłonięne, ukazało w pełni twarz, nie idealną zapewne, ale pełną głębokiego wyrazu i energii; zdawała się wyciosana z kamienia i ożywiona myślą jakiejś niepocieszanej tęsknoty
630 niezwyčajonego smutku. Smutek ten w uśmiechu ust w spuszczonych powiekach, w zmarszczkach czoła się malował. Rzadka, ciemna, krótko przycięta broda dobrze odbijała przy nagiej prawie i błyszczącej głowie.

Spojrzał Bartosz na swoich, potem na żyda i mruknął
635 powitanie chrześcijańskie, które się tylko do domu i rodziny stosowało.

— Nu! jak się macie? — rzekł żyd sam zaczynając — dobrze, żeście przyszli, czekałem na was.

— A cóż mi tam powiecie? — trochę dumnie odparł
640 Bartosz — ciekawy jestem.

Żyd widąc się obraził obojętnością budnika, od którego pokornego i serdecznego spodziewał się przyjęcia, wiedząc, jak był ubogi. Stary zdejmował tymczasem z siebie torbę i strzelbę.

645 — Możeby wam naraił dobry interes, gdybyście mnie poprosili.

— A to wy nie wiecie — rzekł Bartosz — że ja nigdy nikogo o nic nie proszę, oprócz Pana Boga?

— Nu! aj! waj! Jaki wać dumny!

650 — Ale cóżto tam za dobry interes? Dacie mi robotę przy łuczywie u pana podsędka, czy dziegieć u pana Romualda? he?

— Tfu! to niema co gadać; znalazłoby się co lepszego, nie taka robota.

655 — Schowajże dla siebie! — rzekł mu Bartsz kiwając głową.

Żyd wargi zagryzał, plunął, ruszył ramionami.

— Nie gadajmy o tem.

— Nie gadajmy.

660 — Nie macie gdzie tych koni postawić, com je tu w lesie koło waszej budy niedaleko połapał?

— Koło budy! w lesie! Żartuj zdrów! kpisz z ludzi! A na cóż je tu masz stawić?

— Juściż przenocować, niechby odetchnęły, nim...

665 Maciej wplątał się tu w rozmowę, opowiadając ojcu, że już żydowi wytłómaczył, iż koni wcale nie było gdzie postawić. Stary potwierdził słowa syna.

Potem zbliżywszy się do żyda i uśmiechając się z politowaniem i szyderstwem razem, rzekł do Bramka:

670 — Czemu nie prowadzisz swojego towaru jak zawsze do Jakóba?

Na te słowa żyd poczerwieniał, pobladł, zerwał się z ławy i mrugnął na starca niespokojny. Ten uśmiechnął się tylko pogardliwie.

675 — Życzę wam właśnie poprowadzić do Jakóba; miejsca hukiem, bo dziś i Jakóba samego i konie jego zabrali w nocy do miasteczka przysłani dziesiętnicy.

— To nie może być! — zawarczał żyd, rwąc brodę.

— Dowiecie się! — odpowiedział obojętnie Bartosz.

680 Branko obejrzał się wkoło i żywo podstąpił do starca, poczynając go pocichu prosić, kusić, nalegać nań: do był nawet skórzanego worka, ale stary Mazur odepchnął go z zimną krwią i głośno tylko odpowiedział:

— Daj mi pokój!

685 — To wasze ostatnie słowo?

— U mnie niema pierwszego i ostatniego, tylko jedno słowo.

— Nu! dobrze! dobrze! — wściekle odezwał się żyd —
pożądajecie!

690 To mówiąc, rzucił się do drzwi i zniknął. Bartosz spoj-
rzał za nim z uśmiechem, ale Bramko już nie zawrócił
nawet. Nie słysząc tętentu koni, myślał, że zwyczajem
Izraelitów zawróci się jeszcze, usiadł spokojnie na ławie
i mokre obuwie zdejmować począł, gdy tymczasem Pawło-
695 wa przygotowywała wieczerzę. Żyd już się nie ukazał.
Wkrótce Maciej, wracający z podwórza z nieodstępnym
Burkiem, doniósł, że konie zostały przywiązane do płotu,
a żydzi znikli.

Stary podumał chwilę i nic nie odpowiedział, czoło
700 mu się tylko zmarszczyło.

Wieczór krótki przeszedł w posepnem milczeniu. Bar-
tosz z polowania i zwykłej przechadzki nic nie przyniósł,
prócz jednego cietrzewia na jutrzejszy obiad. Mąki na
chleb co chwila mogło zabraknąć, a Pawłowa nie śmiała
705 na dno bodni, w której zsypana była, zaglądać.

Widziała stara ofiarowane przez żyda pieniądze, domy-
ślała się bardzo, o co mu chodziło, i w duszy niecierpli-
wiła się na starego Bartosza; ale słowa wybąknąć nie
śmiała, bo budnik niczyjej rady nie przyjmował.

V.

710 Nazajutrz ranek był zimny, ale niebo wyjaśnione,
ptastwo, zbudzone słońcem, świegotało w lasach, skowro-
nek nad czarną jeszcze i obmokłą unosił się roją. Stary
Bartosz wyszedłszy przed świtem, zobaczył przywiązane
jeszcze konie u drzwi chaty, które żydzi porzucili tu.
715 Biedne szkapy pokładły się na gołej ziemi, skubały sło-
mę rozsypaną i drzemały spędzone. Stary ujrzawszy je,
wzruszył ramionami i zawołał syna.

— Weź te konie — rzekł — i ruszaj z nimi do miasteczka
oddasz je pomocnikowi na ręce; powiesz, że Bramko był
720 w nocy i zostawił tutaj.

Maciej spojrział ojcę w oczy, poskrobał się w głowę
i nic nie odpowiedział; widać jednak było, że wątpił o
swojej umiejtności znalezienia się wobec straszliwego po-
mocnika, którego znano w okolicy z opilstwa i złości.

725 — Albo nie! nie! — mruknął Bartosz sam do siebie —
pojadę z nimi lepiej.

— I pewnie! pewnie! — śpiesznie dodał Maciej — bo ja taki pewniusięnkobym tam języka w gębie zapomniał.

730 — A ty — przerwał — ojciec, ruszaj w las ze strzelbą i do dworu za chlebem, co się nam tam należy. Kwitek znajdziesz zatknięty za obrazkiem.

— Do dworu, to choć z biedą, ale rady sobie damy — rzekł Maciej -- Ale i tam jak mnie poczną odsyłać od kąta do kąta, od jednego do drugiego!

735 — Juściż czas, żebyś sobie rady dawać się nauczył — ofuknął groźnie stary Bartosz. — Wkrótce i mnie nie stanie, przyjdzie ci samemu i siostrą się opiekować i o chacie myśleć.

740 — Maciej zamilkł; weszli do chaty nazad, gdzie już pani Pawłowa pochwycawszy się z tapczaną, na którym spała, rozkładała ogień i przygrzewała trochę koziego mleka, na ranny służyć mającego posiłek.

745 Słońce już się podnosiło ponad lasy i przeświecało jaskrawo prez nagie jego gałęzie, gdy Maciej ubrawszy się w szarą szwitę, borsuczą torbę, nowe chodaki i przewiesiwszy strzelbę, ruszył pieszo ku dworowi. Stary tymczasem podeślawszy zgrzebny wór na konia, skoczył i poprowadził żydowskie szkapy do miasteczka. Machinalnie odmawiając ranne pacierze, Pawłowa krzątała się leniwo po izbie; Julusia czeesała długi swój warkocz czarny przed rozbitem lusterkiem.

750 Obie milczały, spozierając na siebie z ukosa. Julusia nie śmiała zacząć starej, stara nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, której pragnęła. Nareszcie, gdy obie siadły pod piecem, gryząc chleb czarny i suchy, zmoczony w troszce mleka, stara instynktowo obejrzawszy się po kątach i nie widząc nikogo, prócz chudego burego kota, poczęła:

— Ot! taki co bieda to bieda! A westchnąwszy — I będzie coraz gorzej a gorzej.

760 Julusia patrzała milcząc.

765 — Stary Bartosz całe życie goły był i umrze bez kuszuli na grzbiecie; bo coby miał ze szczęścia korzystać, to mu hardość, a jakieś tam skrupuły tryndają po głowie. Ot, albo i wczoraj! Żyd chciał tylko jaki dzień, dwa, konie przechować. Co jemu do tego, jakieto konie. Nie! taki potrzeba koniecznie odepchnąć grosz, kiedy grosz do kieszeni się sunie. Wy bo wszyscy poginiecie przez wasze głupstwo.

— Dajcież pokój! Ojciec lepiej wie, czemu się z tym
770 żydem zadawać nie chce.

— Bo tchórz a uparty! Panie Boże odpuść, ale mi ta-
ki prawda cięży i muszę ją wyśpiewać; bo co prawda,
to prawda. Nie takie to teraz czasy, żeby pocziwością żyć
775 na duszu, ne bude w duszy“.

— Ej pani Pani Pawłowa!

— Co tam! powiem taki prawdę całą! Ojciec stary
ma we łbie ćwieka, o Macieju to i gadać niema co, pro-
sto głupi. Ot ty, żebyś miała więcej od nich rozumu, to-
780 byś wszystkich poratowała.

— Ja! ja! a toż jak?

— Niby ty nie wiesz! Porzuć! porzuć! Coto nie ro-
zumiesz, że tybyś wszystko mogła u panicza.

— Co bo mówicie! wam się śni.

785 — A taki co prawda, to prawda!

— Ale bo to nieprawda.

— Jakto nie? Już ja tego z palca nie wyssałam. Kie-
dy mnie za język ciągniesz, no to ci powiem wszystko,
jak było.

790 — Cóż było? co?

I dziewczyna zarumieniła się, pokraśniała a oglądać
poczęła z przetrachem.

— Wiesz, że w przeszłą niedzielę byłam we dworze.

— A tak, byliście! — odpowiedziała Julusia głosem
795 drżącym.

— Ho! nie przerywajże, a słuchaj. We dworze jak
zwyczajnie u panów: szumno, wesoło, aż serce rośnie,
a ludno jak w mieście. Ja com-to dawniej dworsko służy-
wała, przypomniawszy sobie młode latka, małom nie płą-
800 kała z zazdrości. Nu! mniejsza o to. Gwar, śmiech, do-
statek. Na folwarku u klucznicy kielbasy smażą dla
gości; u ekonoma w karty grają, miód piją; w czelad-
nej izbie śmiechy i krzątania koło tłustych misek, z któ-
805 rych słonina po ziemi kapie. Co już mówić o pałacu! Za-
szłam najprzód do klucznicy z tą moją raną na nodze,
prosząc maści. Klucznica bo stara moja znajoma, ale od-
prawiła po lekarstwo do samej jejmości, która taki kuro-
wać i ratować lubi. Wszakże starą jejmość znacie?

810 — Widziałamci ją w kościele zdaleka.

— Święta osoba! dalipan święta! Powiadam wam, prosto ją Pan Bóg do nieba weźmie. Dla ludzi anioł, a po-
bożna, a dobroczynna, toć ja i przezwali w sąsiedztwie sły-
szę Dobroć-sam a, i dalibóg prawda. Cały pałac usta-
815 piła synowi, którego kocha zwyczajnie jak jedynaka; ca-
ły majątek swój oddała mu, sama mieszka w ogrodowej
oficynie i kontentuje się pensją. A zabawia się nieboracz-
ka leczeniem, wychowywaniem dziewcząt i nabożeństwem.
Święta pani! Idę ja tedy do niej. Przyjmuje mnie jak
820 zwyczajnie cukrowemi słówkami: kochaneczko, serce moje.
Kazała zaraz nogę pokazać, opatrzyła sama, dała maści,
nakarmiła, napoiła, a potem nuż pytać mnie: co ja za
jedna? skąd? jak?

— Pytała was?

825 — A jakże! Opowiedziałam jej wszystko, naszą biedę,
niedostatek, i licząc wiele nas jest, jakoś wspomniało się
i o tobie. Aż jejmość pocznie mnie pytać: a wiele to
jej lat? a umie ona co? A potem: możeby na służbę do
dworu przystała?

830 — Nie może być? — porywając się z ławy, zawołała
Julusia.

— Jak Boga Kocham! prawda.

— I cóż?

835 — A cóż ma być! mówiłam ja zaraz o tem staremu
Bartoszowi, ale ten mnie ofuknął. — Ja swego dziecka
na dworską służbę nie dam, wiem ja, co to jest.

— O! pewnie, że się na to nigdy nie zgodzi! — z żalem
trochę wyjąknęła Julusia.

— Trudno, trudno! bo taki mi i powiedział zaraz:
840 Albo to nie wiecie, jak dziewczęta u dworu wychodzą?
lepiej z głodu umierać niż ze wstydu. — At, dziwak sta-
ry. Napróżno mu mówiłam, że wiele było dziewcząt u
jejmości, wszystkie za pisarzy, za gumiennych, za leśni-
czych, za ekonomów i z posagami powydawali. Co jemu!
845 On swoje a swoje!

Julusia zamysliła się głęboko i opuściła głowę; Pawło-
wa szare swe, ale błyszczące w tej chwili oko skierowała
na nią, i uśmiech szatański przekrzywił jej usta na chwi-
lę. Westchnęła potem i poszła niby obojętna już do
850 ogniska nakładać trzaski mokre na przegasłe węgle.

VI.

My tymczasem dopowiedzmy, czego stara nie chciała i nie mogła wyspowiadać przed Julusią.

Dwór pański w Sumaczej (tak się zwała wieś i folwark, w którym młody dziedzic mieszkał) głośny był wistocie
 855 w okolicy wesołem życiem, które w nim wiodł świeżo ze szkół wypuszczony chłopiec. Matka jego, pani podkomorzyna, podżyła już wdowa, którą w okolicy zwano Dobroć-sama, ukochana od wszystkich, uwielbiana od
 860 biednych, święta w sercu niewiasta, była jedną z tych słabych istot, które dziwnym zbiegiem okoliczności, najlepszymi chęciami najgorszych dorabiają się skutków. Podkomorzyna była dobrą wistocie, do zbytku dobrą; ale dobroć ta i jej samej i otaczającym szkodliwą była i najnieszcześniejsze wiodła za sobą następstwa. Łatwo-
 865 wierna, bo poczciwa, stawiała się łupem oszukańców, którzy ją otaczali. Syn, wychowany w pieczyotach, któremu w niczem sprzeciwić się nie śmiała, popsuty pobłażaniem, stał się marnotrawcą i rozpustnikiem, posuwając się szybko po drodze, która go wiodła do ostatecznej zguby.
 870 Matka jednak w postępowaniu jego nic nie widziała, nie widzieć nie chciała zdrożnego; jedno złe poczytując małym, przypisywała wiekowi, drugie ludziom nie jemu, w inne nie wierzyła, reszty domyślać się nie mogła.

Dwór, otaczający ją, robił, co sam chciał, ludzie na-
 875 śmiewali się pokątnie z niedołęznej a poczciwej staruszki; i Sumacza stawiała się jaskinią łotrowską, w której owa święta niewiasta, nie wierząc w grzech i zepsucie, żyła w zupełnej niewiadomości szkarad, jakie ją otaczały. Dziwnym fenomenem, najgorsi z dworaków umieli zawsze pozorami pobożności, łagodności przybranej i umiejętnem odegrywaniem komedyi, wkraść się w łaski pani podkomorzynnej. Ci, raz uzyskawszy jej łaski, kierowali biedną, jak się im podobało, używając jak narzędzia często do
 880 największych niesprawiedliwości. Trochę słaba dla pochlebców, w ich miodowych słówkach widziała czułość, serdeczne przywiązanie i szczerłość. Nic nie mogło wyprowadzić jej z błędu. Najgrubsze udawanie niezgrabne, na którym poznawali się wszyscy, ona brała za szczerą prawdę.

Syn ukochany, uchodząc za najpoczciwszego chłopca,
 890 sposobił się na największego łotra. Słudzy bezwstydnie

kradli staruszkę, dwór pobożnej pani był serajem młodego panicza i mnogich jego przyjaciół; o trzy kroki od jej oficyny sceny najrozpasańszej rozpusty odbywały się bezkarnie. Staruszka, zatopiona w modlitwie, nic a nic nie
895 widziała. A gdy ją dochodziły krzyki, śmiechy, szaleni, mówiła sobie, kończąc koronkę: „Byleby uczciwie, niech się bawi! To się wyszumi. Zwyczajnie młodość. Byleby to zdrowiu Jaśka mego nie zaszkodziło!”

I posyłała w wielkich razach na zwiady faworytę swą
900 zaufaną, pannę Teklę, która, że była też dobrą przyjaciółką pana Jana oddawna, zawsze wracała z doniesieniem, że zabawa choć głośna, ale niewinna, i pan Jan zdrów dzięki Bogu!

Tak lata upływały w Sumaczej, a Jaś szybko tracił
905 piękną ojcowską i macierzystą fortunę, na którą jak krucy zlecieli się owi przyjaciele, co to ich wszędzie pełno, gdzie tylko półmiski dymią i butelki strzelają.

Dobroć - sama czasem robiła uwagi Jasiowi, ale łagodnie, głaszcząc go pod brodę i z uśmiechem macierzyńskim, potem zaraz odzywała się do panny Tekli:
910 „Zwyczajnie młody, ale najpocziwszy chłopiec. Co za serce! jaki charakter!”

Najpocziwszy ten chłopiec grał, pił, hulał i udając tylko jeszcze czasem przed matką resztę jakiegoś niedogasłego wstydu, dla świata wcale się z uczynkami swymi
915 nie taił. Dobroć - sama zawsze go umiała wytłómaczyć. „Karty — mówiła do panny Tekli — to prawda, że to nieszcześnie prawdziwe, ale on ich nie lubi; cóż, kiedy dla towarzystwa na świecie koniecznie potrzeba grać.
920 Nieboszczyk podkomorzy także ich nie lubił, a jednak raz, pamiętam, tysiąc czerwonych złotych za wieczór przegrał. Jaśko nigdy tyle nie stracił.

Staruszka nie wiedziała, że Jaś miał już kilkadziesiąt tysięcy długu zaciągniętego na karty.

925 — Ze tam czasem sobie pozwolą i nad miarę wina, mój Boże! jużto u nas narodowa wada staropolska. A nawet dawniej daleko straszniej pili. I zdaje mi się, moja Tekluniu, że więcej nikt nic nie zarzuci mojemu drogiemu. A! śmiejesz się? wiem, co myślisz. Nieprawda, nieprawda! Może tak, żartem coś, kiedyś, ale zaręczam za niego, że to skromne i niedoświadczone, jakby tylko co z pie-
930 luch.

Potrzeba było wytrawności panny Tekli, aby nie pęknąć ze śmiechu; ale ona spuszczała oczy i potakiwała.

935 Najzważniej strofowała podkomorzyna ulubienica swego za opuszczanie nabożeństwa i obowiązków religijnych; ale chłopak był dość sprytny i umiał się zawsze wytłómaczyć, składając winę niedbalstwa swego to na ludzi, to na okoliczności, to jej się zapierając. Ile razy był na

940 polowaniu w niedzielę, panna Tekla świadczyła, że go widziała w parafialnym kościółku, a podkomorzyna, zmuszona dla zdrowia modlić się tylko w kaplicy, wierzyła.

Pani Pawłowa opowiadając o swojej bytności we dworze, wiele rzeczy zamilczała; panicz bowiem, który oddawna na Julusie czyhał i myślał nieraz, jakby ją wciągnąć do dworu, był przytomny rozmowie starej budniczki z panią podkomorzyną, a udając serdeczne politowanie nad biednym stanem tych ludzi, sam matkę nakłaniał, aby Julusie wzięła do siebie i nią się opiekowała.

950 Matka pocałowała go za to w głowę.

— Co to za anielskie serce! — zawołała ze łzami prawie — jakie to pocziwe to moje Jasisko!

A pocziwe Jasisko myślał tylko, jak nową ofiarę ściągnąć dla siebie, jak sobie wesołe i tak życie nową

955 gałązką leśną umaić! Zaraz w ślad za Pawłową wyszedł od matki i wetknąwszy jej kilka złotych w rękę, za które go w kolano pocałowała, pocałował ją na swój rachunek rozpytywać. Stara dała mu z wielkim pośpiechem do zrozumienia, że gotowa wszelkimi siłami pomagać, za

960 co przyrzekł jej nagrodę sowitą, a naprzód polecił staranie, żeby Julusia do dworu sprowadzoną być mogła.

Z Pawłową i Julusią może poszłoby jak z płątka; Maciej całe życie mógłby nie wiedzieć o tem, czegoby mu z dziesięć razy raz po raz nie powtórzono; ale stary,

865 dumny i uczciwy Bartosz, stał im wszystkim na zawadzie.

Tego groźba, prośba, datek, podejście sprowadzić z drogi nie mogły. Znali go ludzie z tej strony. Nieulekniomy niczem, niezmiękczonej żadną modlitwą, jeśli ta do przekonania mu nie mówiła, gardzący darem, na któryby

970 nie zapracował lub wypłacić się nie mógł, przebiegły, że zdrady domacał się rychło, Bartosz dla bliższych i dalszych nie tylko zdawał się niepokonanym, ale strasznym. Szanowali go też ci nawet, co z drugimi jemu równymi zgóry się obchodzili.

975 Ale Pawłowa napróżno ten charakter nieugięty w nę-
dzy i spodleniu usiłowała wytłómaczyć Jasiowi i przed-
stawić go, czem był. Pan Jan nie pojmował nic podobne-
go w budniku, i znudzony wreszcie, że go jakimś bud-
nikiem jak wróble straszylem płoszą, rzekł, posadzając
980 o zmwę i rachunek starą:

— No, to mu zapłacę, co zechce.

Z tem odszedł.

— A tego nie wie — pomyślała licząc złotówki Pawłowa,
— że gdyby mu dał cały swój dwór i majątek, toby mu Bar-
985 tosz za podziękowanie w oczy plunął. Takito stary głupi!

Bardzo się chciało wdowie zyskać obiecaną jej za po-
średnictwo ohydne nagrodę; głowę jednak łamała, jakby
tego dokazać, nie mogąc ani się domyślić, jak wkrótce
okoliczności jej i Janowi w pomoc skutecznie przyjść miały.

VII.

990 Zrana więc jedną ze ścieżek leśnych posunął się ze
strzelbą na ramieniu Maciej, za którym dążył w tropy
Burek głodny, z podkulonym ogonem i jeszcze bardziej
wpadłymi boki, ale uszyna najeżonemi i głową do góry.
Drugą drożyną puścił się ku miasteczku, rezydentcy urzę-
995 dowej pana Pomocnika, stary Bartosz, wiodący konie ży-
dowskie.

Pomimo nędznej jego odzieży i zmęczonych rysów
twarzy, zastanawiająca to jeszcze była postać. Niepo-
chylony wiekiem, niezwalczony nędzą, nieupokorzony
1000 swym stanem, zdawał się raczej przebrany w sierak
dawnych lat wojakiem, nie ubogim puszczy poleskiej
mieszkańcem. Męstwo i siła malowały się na obliczu po-
godnem, którego czoło tylko przeciał na dwoje fałd po-
przezny, świadczący o długich myślach i głębokich cierpie-
1005 niach. Fałd ten, prawie zawsze ciemniejący na czole, jak
cięcie szabli malował się wśród łysej, połyskującej głowy:
ale szabłą tą nie ludzka władała ręka — prawica losu
nią raniła....

Ułamaną po drodze w pączkach i kwiecie leszczyny
1010 gałęzią, popędzane konie dość żwawe i młode, biegły
ściskając się i wyprzedzając, często zwięzając się bardzo
drożyną. On zadumany patrzył nie widząc przed siebie,
czasem tylko pogłodził wasa i westchnął ponuro, jakby
w przestankach ugniatającej go myśli.

1015 Dobrze znając wszystkie drożyny, machinalnie kierował się wśród nich, choć mnóstwo porośłych darnią, wykręcało się wśród zarośli; to szersze, to węższe, to prawie nieznanne, tak zawieszane młodemi przeszłorocznemi wypustkami bujno rosnących krzewów. Przebywszy gąszcze, otaczające chatę, łąkę, co je dzieliła od przerzedzonego już lasu i większej drogi, potem świeże trzebieże, borem małym zbliżał się już ku miasteczku, ukazującemu się w oddaleniu za długą grzązką i topielistą groblą.

1025 Wtem drogą ku niemu ujrzał pędzącą bryczkę ostawioną słomą, u której dyszla ogromny kołatał dzwonek, znak niechybny jadącego urzędnika. Za bryczką tą konno leciało dwóch ludzi, poprawiając w biegu to czapek spadających, to rozwianych pół sukmany.

1030 — Stój! stój! — rozległ się nagle krzyk, i przed Bartosza skoczył mały, czerwony jak rydz, trądem jak muchomor okryty, z oczkami drobnemi jak dwie atramentu krople, łysy jak arbus, ospowaty jak czerstwy chleba kawałek, pan Pomocnik, racząc swą własną ręką chwycić za cugle konia, na którym siedział budnik.

1035 — Trzymaj! łapaj! — dodał, zapalając się i przywołując ludzie, widząc, że koń zlekniiony do rowu się szarpnął.

Konni natychmiast zastąpili Batroszowi drogę. Stary nie mógł pojąć, coto się z nim działo.

1040 — Czego łapaj? albo uciekam? — odezwał się spokojnie, — czego chcecie?

— A! udajesz ty niewinnego! Nie nadmiesz (wyrażenie właściwe) nie! postój! Ja cię nauczę! — wrzeszczał pijany Pomocnik w paroksyzmie gniewu.

1045 Stary Bartosz zarumienił się, a raczej oblał krwią, tak, że białka oczu w jednej chwili nią zaszły.

— Słuchajno pan — zawołał — czy pan wiesz, co gadasz? za co mnie łajesz?

— Za co? ja ci pokażę pytać o przyczynę. Ciekawy? patrzajcie! Wiązać mi zaraz tego złodzieja.

1050 — Mnie! mnie! — I stary gwałtownie rzucił się na worku, na którym siedział — Mnie?

— Nu! tak, ciebie, złodzieju! Tak, nie rozprawiaj mi! Wiązać go!

— Ależ powiedz mi pan i wytłómacz, co to ma znaczyć?

1055 — Ja nie na to tu jestem, aby ci t o ł k o w a ć, trutniu!

Wytlumaczę ci inaczej w stanowej kwaterze. Hej wiązać go!

— Czegoż pan chcesz odemnie? — w rozpaczy wykrzyknął budnik. Panu się w oczach dwoi czy co? Pan
1060 nie wiesz, co robisz!

— Ach, ty psie jeden, będziesz mi jeszcze takie rzeczy gadał, ty! I tupiąc nogami, machając rękoma jak do uderzenia, począł wrzeszczeć z całej siły pan Pomocnik:

— Śmiesz mnie, mnie śmiesz mówić! Ty wiesz, ja
1065 cię w kajdany okuję!

Stary zamilkł, bo przeczuwał, że w tem wszystkim jest jakaś omyłka. Wzywając wszystkich sił swoich na pohamowanie oburzenia i gniewu, którym wrzał, spytał spokojniej:

1070 — Słowo tylko: za co mnie więzicie? co to znaczy?

— Co to znaczy? Ja ci powiem, hultaju! Oto ukradłeś konie i kradzione przeprowadzasz.

— Ja ukradł! — zrywając się ze szkapy i podskakując ku Pomocnikowi, zarzekał, nie mogąc się pohamować
1075 stary Bartosz. Ja? od kiedyżto Bartosz Młyński złodziejem się zrobił?

Pomocnik wskoczył w bryczkę jak do twierdzy jednym susem i tu czując się bezpieczniejszym, krzyknął:

— Wiązać.

1080 — Tak! — kończył, zbliżając się stary ze wzrastającą coraz zapalczywością — tak! konie są kradzione, ale nie przezemnie.

— Wiązać! — powtarzał pomocnik,

1085 żyd je wczoraj przyprowadził i postawił u mnie, żyd Bramko, mam na to świadków.

— Tak! tak! wytłumaczysz się. Ja was znam i wasze świadki cygańskie. Wiązać!

— Prowadziłem te konie, żeby je wam oddać.

1090 — Teraz ci to do głowy przyszło! Widzę, masz ty mnie za gołowąsą, hultaju jakiś! Nu! śledztwo okaże. Wiązać go i prowadzić do miasteczka.

Co się działo ze starcem, na którym przez długie lata nigdy obelżywy wyraz, wzdardliwe nawet spojrzenie nie spoczęło, bo do nich uniał nie dać powodów, i nie
1095 dopuścił nikomu nad sobą się znęcać, tego opisać nie można. Gniew, wściekłość, rozpacz, boleść niewysłowio-

na miotały nim naprzemiany; łzy nawet wytrysnęły mu z pod zakrwawionych powiek, a usta próżno już wysilając się na słowo, którego znaleźć nie mogły, zamknęły się nareszcie, zdrętwiały; wzrok zatoczył obłąkany, zachwiały nogi i gdyby nie ludzie, co go już pochwycili i wiązać zaczęli, byłby upadł.

Pomocnik kazał zawrócić bryczkę i prowadzić za sobą Bartosza i konie.

VIII.

1105 Tymczasem Maciej szedł sobie powolnie, gapiąc się po drzewach, poświstując nieforemne piosnki, ziewając szeroko ze znakiem krzyża, szybko szatanowi drogę do żołądka tamującym. Ziewał najwięcej i żegnał tyleż razy, miał bowiem zwyczaj zawsze być niewyspanym, choć 1110 by siedem dni i nocy spał z rządu.

Pawłowa, szczególnych wiadomości przyczyn i skutków pełna, przypisywała to usposobienie Macieja temu, że się urodził w nocy, a żaden kur nie zapał, gdy na świat przychodził. Przyczyna dość była wyrozumowana, 1115 jak na panią Pawłową.

Szedł tedy Maciej to zawadzając o korzenie sosen, których nigdy nie widział pod nogami, to łapiąc się po niewczasie za twarz, gdy mu ją już gałąź przecięła, to 1120 zmierzając z fuzji do suchego pnia, tak sobie, dla dochocenia i fantazyi. Czasem huknął na całe gardło, żeby innych hukających dalej pobałamucić, to pięścią zdusił wyłazący biały grzyb z ziemi, to zaszczekał psim głosem, to zawył, a wszystko dla niewinnej zabawki.

Wcale mu nie było pilno; wiedział, że w Sumaczej go 1125 nakarmią i napoją, że czy co zabije czy nie, ojciec mu słowa nie powie, że do domu wróci wczas zawsze na chudą i krótką wieczerzę pani Pawłowej, z którą już i kłócić się o swój żołądek od niejakiego czasu zaprzestał. Pocięszał się myślą, że jak da Pan Bóg grzyby, 1130 rydze, syroiżki i maślaki, zje licha czarownica, żebym jej jednego przyniósł, wszystkie sam sobie zjem. A będę chorował, to będę chorował, a taki żadnego nie przyniosę.

Maciej tę tylko cnotę wziął po ojcu, że był kozim sposobem uparty.

1135 Ktoby zdaleka patrzył na Macieja, wziąłby go za pijanego lub ślepego; tak szedł zataczając się, błakając i na pozór nie przytomny. Wszakże odgłos tokujących cietrzewi obudził go z tego rannego oczmocenia; stanął, 1140 posłuchał, czapki poprawił, ze strzelby kłak wyrzucił, podsypał na panewce i przeżegnawszy się, sunął borem bez ścieżki.

Burek doskonale wiedząc, jakie są jego obowiązki w takim razie, pozostał w tyle i włókł się noga za nogą. 1145 Tokowisko dobrze znane było, otaczały je stare sosny i młoda choina, pozwalająca przybliżyć się nieznacznie; podsunał się w to miejsce Maciej, potem prawie pełzając przypadł pod nawieszoną gałęzią wysokiej barci. Burek położył mu się w nogach. Cietrzewie 1150 ko co toki rozpoczynały, ale związały się jeszcze dalej niż na strzał od Macieja; przyległszy więc na mokrej trawie, wytrzeszczywszy oczy, oczekiwał, palec na cynglu trzymając.

Dobra ćwierć godziny upłynęła, nim strzał nareszcie 1155 dał się słyszeć i wielki stary cietrzew zwałił się na ziemię, trzepocąc skrzydłami. Więcej nie żądał Maciej; wstał, poszedł go zabrać, wpakował do ogromnej torby, w milczeniu strzelbę oczyścił, nabił, na plecy zarzucił i poszedł dalej równie powolnie, równie rozespany jak 1160 wprzód, ku dworowi. Cietrzewie tymczasem tokowały dalej.

Pijany, zamyślony czy drzemiący Maciej szedł dalej a dalej; przecież trafił bez ścieżki wprost do małej karczemki, stojącej nad drogą, która już niepodał była od dworu podkomorzycy. Tu najczęściej służba pańska hu- 1165 lanki sobie na wzór pańskich urządziła, pijąc, grając i szalejąc noce całe.

Rudo-brody żyd stał w ganku swojej gospody w pluderkach tylko i pantoflach, używając świeżego powietrza, bo widocznie tylko co był podniósł się z betów. Pierze 1170 miał jeszcze konstellujące włosy, oczy nawpół przymknięte i ziewał co chwila, a skrobał się i bokami poruszał, wyciągając to jedną rękę, to drugą, to obie razem, aż w stawach trzeszczało.

- Wieśniak czy budnik, mieszczanin czy szlachcic za-
 1175 grodowy, nigdy karczemki minąć nie mogą; byłoby to
 przeciwko odwiecznym zwyczajom. Gwałtowne przytem
 potrzeby zmuszają odwiedzić każdą. Jeśli gorąco, trze-
 ba się ochłodzić wodą; jeśli zimno, ogrzać u komina;
 jeśli wietrzno, wytchnąć pod dachem; jeśli błotnisto,
 1180 osuszyć; jeśli głodno, podjeść; jeśli czczo, wódką po-
 krzepić, lub fajkę zapalić, lub drogi dowiedzieć; sło-
 wem, że zawsze dla czegoś wstąpić nieuchronnie do
 karczmy potrzeba. W najpilniejszym razie nigdy wieś-
 niak, budnik, szlachcic i mieszczanin, zwłaszcza piesi,
 1185 nie miną żyda, choćby tylko nogą na próg i zaraz na-
 zad a dalej w drogę. Jestto jakby obowiązkiem podróz-
 nych, pokłonić się tej pokusie naddrożnej. Jezdny cza-
 sem minie jedną, gdy gęsto stoją; pieszy żadnej. Żyd,
 któryby zobaczył podróznego, przechodzącego obojętnie
 1190 koło karczmy, miałby go w podejrzeniu i nie bez przyczyny.
 Domyślicie się, że Maciej, ściśle zachowujący zwy-
 czaje starodawne, nie mógł Jankiela osobiście mu zna-
 nego ominąć. Jakoż brał za klamkę, gdy gospodarz wy-
 ciągający się jeszcze, zobaczył go dopiero i przywitał:
 1195 — He? Maciej, he! a! dzień dobry!
 — A! dobry dzień asanu.
 — Skąd?
 — Juścić z domu.
 — Może zwierzyna jest? Słyszałem ktoś strzelił nie-
 1200 dawno.
 — Jaka tam zwierzyna — cietrzewisko i to dla siebie.
 — A sprzedać?
 — Nie mogę, dla tatula — rzekł lakonicznie Maciej.—
 Dajcie kieliszek.
 1205 — Za wiele?
 — Za dwa.
 — A macie pieniądze?
 — To ja oddam.
 — Nie mogę — rzekł równie sucho i krótko żyd.
 1210 — A cóż będzie?
 Żyd ramionami ruszył.
 — Chodźmyno do izby, rozmówim się.
 Jankiel dał się nakłonić i weszli.

Po chwili Maciej wyszedł sam, bez cietrzewia na-
 1215 wet, ale widocznie weselszy, rumiany, czapka zwieszona
 na bakier, jedna ręka w bok. Gwizdał niesłychanym spo-
 sobem fałszywie i przeraźliwie, a corazto podbiegłszy ku
 nieszczęśliwemu Burkowi, kopnął go nogą dla facecji.
 Burek, którego nie pierwszy widać raz ten dobry humor
 1220 prześladował, podtuliwszy ogona, umykał przodem, co
 miał siły, nie śmiejąc się i obejrząc.

Maciej całkiem szedł inaczej teraz: prosto, żwawo,
 usta mu się uśmiechały, oczy wesoło grały, i tylko kie-
 dyniekiedy potykał się na leżących po drodze faszy-
 1225 nach, podskakując potem kilka razy do góry i klaskając
 palcami. Śpiewał przytem za każdą razą piosenkę, któ-
 rej jedyne wyrazy powtarzały się w różnych modula-
 cyach: Hop — sztyk! Fry — dryk! hop — sztyk! i t. d.

Kiedy się już dwór ukazał bliżej, Maciej poprawił
 1230 torby, obciągnął siermiężki, palcami włosy bezładnie na-
 jeżone przegarnął i starał się poważną minę ułożyć, ale
 to mu się nie udało. Korciło go niesłychanie Burka
 kopnąć nogą, czego dokazawszy, zaczynał śmiać się do
 rozpuku. Potem jakby przypomniawszy sobie, że śmie-
 1235 je się nie wiedzieć z czego, nagle tupał nogą, stawał,
 dawał sobie kuksańca w bok, czapkę na oczy napuszczał
 i szedł, póki się nie potknął.

Potknąwszy się, i t e r u m wyskakiwał do góry, śpie-
 wał: Hop — sztyk! dopędzał psa z poczęstowaniem
 1240 zwykłym i śmiał się. Po śmiechu następował znów kuksa-
 niec w bok. Nie wiem, wiele ich sobie dał i wieleby ich
 był mógł dać, bo nie znając rachunku prawdopodobień-
 stwa, nie śmiem zapuszczać się w niebezpieczne obli-
 czanie; ale to wiem, że szczęściem dla boków Macieja,
 1245 mnóstwo przedmiotów odrywało go co chwila od wybry-
 ków wesołości.

Tam zagapił się na skowronka, który kołował w po-
 wietrzu, i patrzył, patrzył, patrzył, póki mu z oczów
 nie zniknął; dalej zajęły go dwie zielone muchy, które
 1250 śledził, aż się gdzieś skryły w rowie; to liczyć zaczy-
 nał stado dzikich gołębi unoszące się na roli, myśląc
 się i poprawiając bez końca i t. p. Pracowity umysł
 jego szukał we wszystkim zajęcia; w ostatku na gro-

belce począł w kałuży czystej dosyć robić sobie miny
 1255 najdziwniejsze i zabierał się do długiej autoskopii,
 gdy przerwały mu zajmujące to badanie nadciągające
 z hałasem furmanki. Przy nich konno jechał gumienny,
 niemal tak cięty jak Maciej, ale w dodatku kurzący
 1260 sobie w nos fajką, która dla niego wszystkie tak roz-
 maite zabawy Macieja zastępowała.

— A pan Kasper? — rzekł z uśmiechem niewysto-
 wionej grzeczności Maciej, i brnąc po kolana przez ka-
 lużę, poszedł zdejmując czapkę pocałować go w brodę.
 Przyjaciele poślinili się serdecznie.

1265 — A dokądto, panie Kasprze?

— Do miasteczka! ekonomska hreczka! cha! cha!

Pan Kasper, który był w parafialnej szkółce, chorował
 na rymy, tak że często i przed panem się niemi dławił.

— Cha! cha! rzekł Maciej — eczka! eczka! bodaj
 1270 aspana. Całuję nóżki! — i znowu pocałowali się na
 obie strony.

— Bywaj mi zdrów! nie wpadnij w rów! — rzekł
 żegnając gumienny.

Maciej odwrócił się i począł powtarzając to, tak się
 1275 śmiać, że nareszcie sam sobie zmuszony został surowo
 się karząc, dać w bok szturchańca. Ale to nie pomogło,
 powtarzał pożegnanie i śmiał się, aż mu to przecie po-
 woli odeszło.

Gumienny jechał, oglądał się i śmiał tak, że aż padał.
 1280 Nareszcie stara cegielnia zakryła przed sobą dwóch
 przyjaciół, a zbliżanie ku dworowi upamiętało budnika,
 który obciągnął poły, poprawił czapkę i nadał policzki.

O kilkadziesiąt kroków od niego, stały znowu dwa
 ogromne wozy żydowskie ładowne skórąmi, wełną
 1285 i Bóg wie jakim towarem, widocznie świeżo i pośpieszne
 we dworze napakowanym. Żydzi krzątając się przy wo-
 zach, silnie o coś się spierali z sobą.

Maciej kwadrans słuchał ich szwargotania, nic nie
 mogąc zrozumieć, i śmiał się, powtarzając — oto ga-
 1290 dają! oto!

Na wzgórzu niewielkiem, lecz płaskiem, panującym
 w okolicy, stał dwór pana Jana, dokoła topolami sta-
 remi, olszyną i lipami osadzony. Na lewo bielala ofi-
 cyna i kaplica w stronie, którą zajmowała częścią ogro-

1295 du matka młodego dziedzica; w prawo wznosiła się porządna murowana gorzelnia i folwark. Między dworem a nim, długie żółte stajnie i psiarnie pańskie szeroką zajmowały przestrzeń.

IX.

- Wesoło doprawdy było we dworze! bardzo wesoło!
- 1300 i pani Pawłowa nie darmo tak nad tutejszem unosiła się życiem. Na folwarku hulanka poczyniała się od białego dnia, a gospodarstwa doglądał sam gumienny lub wyręczał się polowym, jeśli polowy nie uprosił na swoje miejsce przysiężnego, a przysiężny nie posłał w zastępstwie chłopca od owczarni. Różnie bywało! Tylko przy wysyłkach produktów na sprzedaż, znajdowali się wszyscy a wszyscy razem, lub z kolei. Pani ekonomowa, rodem z Warszawy i stamtąd niedawno wywieziona przez podkomorzycę, z ulubienicy pańskiej, dostawszy
- 1310 posag przywoity, przeszła na żonę pana Bizunkiewicza. Zaczynała niewiasta, nie wdając się wcale w babskie gospodarstwo, cała była oddana ubraniu, muzyce (grała na hiszpańskiej gitarze) i towarzystwu (niezmiernie lubiła oficerów od piechoty).
- 1315 Na dole u pisarza prowentowego, często i teraz właśnie, paroch miejscowy, sekretarz asesora, dwóch szlachty i pisarz z miasteczka, grali w elbika, polewając to suche dosyć zatrudnienie wiśniówką i ponczykiem.
- U klucznicy było także na śniadaniu mnóstwo do-
- 1320 stojnych gości: dwie ekonomowe, jakaś obywatelka tłusta na kanapie przezydująca, z synem w mundurzyku szkolnym, ale z czarnymi już wąsikami; siostrzenica pana ekonomy i dwie pokojówki podkomorzyniej. A śmiech! a gwar! a uciecha! daj go katu!
- 1325 W gorzelnicy pijane dziewczęta tańczyły z parobkami, pisarz prowentowy, wirtuoz wielki, grał na skrzypcach.
- W stodole młocki spali, świnie żyto jadły. W magazynie gospodarowali żydzi i żydówki.
- 1330 We dworze czy się jeszcze spać nie kładli, czy już powstawali, ale życie też było wielkie. Przed dom wy-

prowadzono konie, klaskano z batów, prezentowano
 źrebce, próbowano wierzchowców. W ganku stała cze-
 reda przyjaciół, w kurtkach, surdutach, szlafrokach,
 1335 płaszczach, z cygarami w ustach, fajkami w zębach,
 kartami w rękach, niedopitym ponczem u gęby.

Wśród nich, słuszny, piękny, młody człowiek, bar-
 czysty, ogromny, zdrow jak koń, silny jak niedźwiedź,
 wesół jak ryba, śmiały jak lew, zbudowany jak olbrzym,
 1340 głośno krzyczał i dowodził wszystkimi. Był to biedny
 Jaś, poczciwy Jaś, syn pani podkomorzyniej.

Nie wiem, czy miał lat dwadzieścia kilka, tak mło-
 do mu z oczu patrzyło, tak życiem pierś buchała, taki
 w słowach był ogień; a obok, jakie w tychże oczach
 1345 znużenie, w tej piersi czczość i tęsknota niczem niezaga-
 łużona, w wyrazach ust zgrzybiałe szyderstwo!

Jaś durzył się, nie bawił, szalał, nie żył, upajał a
 nie weselił. Z szału w szal, z pijaństwa w pijaństwo wpa-
 dając, z odurzenia w odurzenie, biegł szybko drogą ży-
 1350 cia, nie śmiejąc ni za siebie się obejrzeć, ni przed siebie
 rzucić okiem. Ludzie mówili — szczęśliwy; on przecież
 ciężko wdychał przez sen, zasepiał się nawet po pija-
 nemu, chmurzył brwi, skoro sam jeden pozostał. I po-
 trzebna mu była ta szuja, co go otaczała, co mu szu-
 1355 miała w uszy, migąła przed oczyma, co mu śpiewała,
 brzęczała, pochlebiała, płaszczyła się przed nim i rękę
 wyciągała bezwstydną; bo sam sobie zostawiony, nie
 wiedział co z sobą począć. Sam jeden zostawszy, mu-
 siał kłaść się spać lub wlec się do ekonomowej, słuchać
 1360 rozbitej gitary i piszczącego jej śmieszku; a w ostatku
 łąjał, bił i pędzał, począwszy od psów pokojowych aż
 do ludzi.

Był to właśnie chwila szału i upojenia. Noc zbiegła
 na kartach, na śpiewaniu, na skokach, przy butelkach
 1365 i dziewczętach; ranek powitał rozmarzonych, rozkołysa-
 nych, szczęśliwych!! — jeśli się to nawet u nich szczę-
 ściem nazywało! Teraz probowano koni, szachrowano
 psami, mieniano się na najtyczanki, frymarczono strzel-
 bami, i zapijano każdy handel, każdy zakład, każdą wy-
 1370 graną i przegraną.

Jaś rzucił się oklep na konia, ścisnął go silnemi
 nogami, wywinął nim na dziedzińcu, zakrwawił mu

pysk mundsztukiem, w chwili okrył go potem i pianą, zasapał; a dowiódłszy odwagi, siły i zręczności, z odkrytą piersią, odkrytą głową i palcami dłoni, skoczył na ziemię w biegu, rzucając wierzchowcowi na łeb cugle, i wracając z pewną dumą rozkoszną na ganek, między towarzyszy.

— Niechże kto z was tego nam dokaże!

1380 — Brawo! — rozlegało się w sieniach.

— Wielka sztuka — zaburczał ktoś na ławce.

— Sztuka! żadna sztuka! Hej! podajcie tu panu wierzchowca, prosimy spróbować.

— O wa! no to cóż! spróbuję! — I mały, blady, 1385 suchy Kazio, który się zgrał w nocy i kwaśny był jak ocet, podbiegł zapalczywie ku karemu. Skoczył raźnie, ale gdy siadł na niego, oczy mu na łeb wyparło, usta się ścięły, dęba się spał kość pod nim, potem dał szczupaka i — Kazio na murawie.

1390 — Brawo! brawo! majster! — jeszcze głośniejszy krzyczą panowie — Wiwat leżący! zdrowie leżącego!

Podniesiono go z ziemi, oblano dla otrzeźwienia rumem, napojono szampanem i znowu wesoło.

— Teraz już i mama wstała, pójdziemy strzelać 1395 do celu.

— Dobrze! dobrze! do celu — wołają wszyscy.

— Ot i na mszę dzwonią.

Wistocie, w ogrodzie na lewo, gdzie oficyna i kapliczka, odezwał się srebrny głosek dzwonka, który cały 1400 dwór żeński i faworytów starej pani zwoływał co dzień na nieszczerą może, ale pozornie gorącą modlitwę. Wiedzą dworacy, że okazanie się na mszy zyskuje łaski pani, a pani wiele jeszcze może i ma do dania. Jaki taki więc śpieszy od elbika, od szklanki, od czulej 1405 rozmowy z towarzyszeniem gitary, do kaplicy, gdzie mu więcej chodzi o to, by go stara pani podkomorzyna widziała, niż żeby mu Bóg modlitwę policzył.

Biegają więc dworacy, oficjaliści, dziewczęta co tchu do kaplicy; nawet ekonom, nawet żona jego porzuciwszy 1410 oficerów, i pisarz prowentowy, choć się zgrał z pańskiego śpichlerza (bo grali na wódkę) i lokaje pana Jana.

Ścieżką od oficyn poważnym krokiem postępują pani podkomorzyna powoli, oparta na rękę ulubienicy

swojej, panny Tekli Trawskiej, pocichu z nią rozma-
 1415 wiając. Twarz jej pełna łagodności i anielskiego spokoju, oczy niebieskie, lecz zbladłe, postawa szlachetna, uśmiech dobroci niewymownej, ubranie wdowie i skromne. Dość spojrzeć, by ją szanować. Każde jej słowo, każdy ruch objawia serce dziecinnej dobroci, słodycz
 1420 charakteru nieporównaną; i taki spokój na czole, w uśmiechu, w duszy, gdy tuż obok, taka wrzawa, hałas i szaleństwo. Gdy widzieć, gdyby zrozumieć mogła, ile powodów do zgryzoty i łez! Wszystko, co ją otacza, kłamie, począwszy od syna do ostatniego sługi; wszystko
 1425 ją oszukuje; wszystko potajemnie kochając ją nawet, z jej słabości, z jej nieprzerwanej ekstazy, co świat zasłania, naigrawa się i szydzi.

— Jakże, moja Teklusi, powiadasz — pyta, idąc drogą, panny Trawskiej — Jasisko moje zdrowe?

1430 — O! proszę pani, jak rybka, dzięki Bogu, zdrowiuteńki.

— Widziałaś-że go ty dzisisz?

— A jakże. Biegałam oddać dzień dobry od JW. pani; chciał zaraz pośpieszyć sam, ale to za tymi
 1435 gośćmi...

— O! już to powiem ci szczerze, kochana Tekluniu, ci goście mnie męczą. Ledwie mogę zobaczyć Jasia. Zbieram mu się nawet kiedyś powiedzieć, że nadto do siebie figur przypuszcza, i Bóg tam wie wreszcie jakich!
 1440 Ale to serce złote! przez dobroć to robi. Jakże, moja Teklusi, spał dobrze?

— Dobrze, kochana pani!

— A ten kaszelek?

— Zupełnie ustał po ślizie!

1445 — A nosiż na piersiach watowaną załóżkę?

— Nosi, proszę pani.

— Cóż oni tam robią?

— Nie wiem prawdziwie, ale mają podobno jechać na polowanie.

1450 — O! już to straszny myśliwy, jak nieboszczyk stryj. I to polska natura; aby się tylko nie przeziębił, albo nóg nie zamoczył. Czy mówiłaś, kochanie drogie, żeby włożył lisiurkę?

— A jakże, i przyrzekł.

- 1455 — Bo to teraz ranki chłodne, moja Tekluniu. Ale, jakże się tam ma ta pocziwa ekonomowa?
- Lepiej, proszę pani. Koniecznie dziś być chciała na mszy świętej na intencją JW. pani, z podziękowaniem za łaski, których doznaje.
- 1460 — Pocziwe serce! nieoszaczowana kobieta!
- A jaka przywiązana do męża, to JW. pani nie uwierzy.
- Jużto, moja Tekluniu, ja się tego zawsze spodziewałam, że takie pocziwe kobiecisko musi się prędzej
- 1465 później do niego przywiązać. On, to także pocziwy z kośćcami.
- Prawda pani, że to rzadko takiego sługi.
- A pisarz ze swoją fluksją?
- Już zdrów, dziękuje JW. pani za materacyk, ale
- 1470 biedak w wielkim kłopotcie.
- No! cóżto mu takiego?
- Coś mu tam podobno braknie kilkadziesiąt garncy wódki, która się podobno uschła, a że strasznie ma wielki punkt honoru, doprawdy boję się, żeby sobie
- 1475 go złego nie zrobił.
- A widzisz, Teklusi, jak to źle — zawołała grożąc staruszka — że ty mnie tego dawniej nie mówiłaś. Widzisz, to trzeba radzić. Widać biedaczysko z tego musiał i fluksyi dostać. Bywa to ze martwienia. A wie-
- 1480 leż mu to tam potrzeba?
- Ja myślę ze sto złotych.
- Dajże mu z moich pod sekretem, ale niech nie gada.
- Dziękuję za niego! — Teklusia pocałowała staruszkę w rękę, a ona ją w głowę.
- 1485 — Pocziwa Teklunia, zawsze to tylko o drugich myśli, a nigdy o sobie. Weź-że, kochanie moje, tę czarną atłasową suknię, która mnie wdowie na nic się nie zdała, weź ją sobie za to, żeś mi pomogła do dobrego uczynku.
- Panna Trawska przyklekła na ścieżce i pocałowała
- 1490 podkomorzynę w kolano, ta ją znowu w głowę.
- Kiedy już pani mi tyle pozwala i taka łaskawa, to i reszty nie utaję — dorzuciła wstając z westchnieniem.
- No! no? cóż takiego?
- Wszakto i słabość ekonomowej nie bez przyczyny;
- 1495 ona się biedaczka zmartwiła i zląkała o męża.

- A mężowiż co ?
 — Pani wie, że on jednodworzec ?
 — I cóż ?
 — Koniecznie go chcą stawić w rekruty.
- 1500 — Mój ty Boże ! i powiadasz, że jego żonatego mogliby wziąć ?
 — O ! czemuż nie, nawet kolej na niego. Trzeba około stu rubli, a ja nie mam pieniędzy ! Co my tu pocniemy ? Chybabym gdzie pożyczyla.
- 1505 — Niechno się po mszy naradzim, jakoś to załatwim. Biedne człeczysko ! Prawda, że i żona w niemałym być musi strachu ? Proszę ! proszę ! Muszę ją pocieszyć zaraz.
 — A ! niech się JW. pani zmiłuje, nic jej o tem nie wspomina ; mąż stara się przed nią udawać, że to o-
 1510 myłka, że to fałsz.
 — No, to nic jej nie powiem. A odesłałaś, serce, do miasteczka kwartałowe do szpitala ?
 — Wczoraj.
 — I dla żydów ?
- 1515 — Także.
 — A moje wdowy ?
 — Modlą się za swoją dobrodziejkę.
- Gdy tych słów domawiały, były już na wschodach kaplicy, gdzie cały dwór szeregiem stojący, schylał się
 1520 przed panią, która uśmiechem słodczy pełnym, słowy lub skinieniem głowy witała starszych, pieściła dzieci, rozpytywała kobiety.
- Że Bóg wysłuchał pobożnej niewiasty, nie wątpię, lecz szatan cieszył się jej dworem.

X.

- 1525 My wrómy do Macieja, który powolił i poważnie kroczy do dworu. Zagapił się najprzód przed gorzelnią na tańczących parobków, wybijając takt nogą, potem przed folwarkiem, gdzie stały trzy bryczki oficerów i innych gości, które miał sobie za obowiązek sumien-
 1530 nie obejrzeć ; potem w dziedzińcu stanął porachować szczekające psy i wierzgające konie, aż trafił, gdzie panowie do celu strzelali.

Ciekawy a głupi, wparł się pomimo odpychania pod

1535 sam prawie bok strzelającym. Mina jego zuchowato-głupia wyzywała do żartów i wystawiała go na pośmiewisko niechybne.

Jaś strzelił o czterdzieści kroków kulą z gwintówki i chybił; budnik ramionami ruszył i rozśmiał się głośno, a potem pomiarkowawszy czapkę zdjął i pokłonił się. 1540 Panicze to postrzegli.

— A ty czego śmiejesz się, niedźwiedziu?

— He? — odezwał się Maciej głupawo — niedźwiedź nie, ale budnik.

— To wszystko jedno, czego się śmiejesz?

1545 — Że kiepsko strzelacie.

— Patrzaj go, o czterdzieści kroków kulą.

— A o sześćdziesiąt? — spytał Maciej.

— O sześćdziesiąt?

— Fanfaron! spróbujże! — zawołał Jaś.

1550 — Jasny pan żartuje.

— Nie! nie! — ile razy trafisz, dam ci za strzał po dukacie, i to tylko o czterdzieści.

— Jakto dukacie? — spytał budnik.

— Otóż bałwan! nie znasz dukata?

1555 — Za cóż do kata? Jak chybię to do kata, a póki...

Wszyscy się śmiali.

— Ktoś ty taki, nieoszacowany brusie?

— Budnik, JW. panie.

— Skąd?

1560 — Z Ósikowego Ługu.

— A! z moich lasów.

— Syn Bartosza, JW. panie, rodzony. JW. pan zna Pawłową? Otóż Pawłowy synowiec, a Julusi JW. panie brat, a to Burek mój pies, proszę JW. pana.

1565 Wszyscy polegali od śmiechu, bo od wyrazów śmieszniejszą daleko była rozradowana i promieniejąca twarz Macieja.

— No! strzelajże, kiedyś z nas żartował, a jak chybisz, bez pardonu stęplami.

1570 — O! tego nie! JW. panie.

— Nie chcesz?

— Jak chybię, to wolę w pysk wziąć.

— No, zaraz widać, kto ma rozum, pewny jesteś, że ci nie dam. Strzelaj.

- 1575 Budnik położył czapkę na ziemi, wziął strzelbę pańską podaną mu, pokiwał głową i oddał ją nazad.
 — To śliczne strzelbisko, ale dyabeł jego wie, gdzie u niej co jest; ja z tego instrumentu nie potrafię.
 — A może ze swojej? tem lepiej.
- 1580 Wśród nieprzerwanych śmiechów wyrwano Maciejowi z rąk jego strzelbę, powiazaną sznurkami, zardzewiałą od wilgoci, a w niektórych miejscach wyslizganą od noszenia; niepozorną, długą, ciężką jak szyna żelazna, z zamkiem klapiącym jak stare pantofle. Panicze
- 1585 dobrze się z niej przymierzając i celując naśmiali, gdy budnik tymczasem, nie słysząc i nie widząc, szukał w głębokiej torbie kul, bez których nigdy nie chodził, i nie patrząc na nikogo, zabierał się do nabijania.
 — Place! place! Komedję będziemy mieli — za-
- 1590 wołał Jaś. — Widzisz cel?
 — Nie widzę.
 — Jakto? koło, a w kole czarną plamę?
 — Plamę to widzę, ale bardzo ogromną.
 — Jakto! duża ci jeszcze?
- 1595 Maciej głową kiwnął. Posłano służącego, który kredą w środku celu biały znak położył.
 — A teraz?
 — Poprobujem.
 — Stoim o czterdzieści kroków, nie zmieniam słowa,
- 1600 za każdy raz dukat. No! śmiało!
 Zawczasu zabierano się już szydzić, gdy krótko urwany strzał dał się słyszeć i kula w samym znaku białym uwięzła. Maciej ani zważając na podziwienie i oklaski powszechnie, już po raz drugi nabijał, po raz
- 1605 drugi trafił.
 — Co chcesz za lufę?
 — To nie na sprzedaj.
 — Dam ci, co zechcesz! — ozwał się jeden.
 — Jakto co zechcesz? a jak zechcę...
- 1610 Tu myśl nie przyszła, czegoby mógł zażądać, i do-
 dał z uśmiechem: — A na co lufa?
 — Juściż to wiesz, spodziewam się.
 — Bo z pozwoleniem pana, pan myśli, że to lufa strzela?
 — A cóż?

1615 — To najprzód, panie, że ja mam taki sposób na kule, a do tego, panie, że to trzeba umieć.

Znowu śmiechy i budnika poczęto poić, rozgrzewając go i wódką i rozmową. Pan Maciej wszystkie zęby miał na wierzchu, tak w doskonałym był humorze.

1620 Strzelił raz trzeci i czwarty z równem szczęściem.

Kazio porwał strzelbę budnika i chciał tej samej sztuki spróbować; Maciej spoglądał z flegmą, gdy mierzył i plunął, gdy chybił.

— Cóżto u dyabła! mógłżem chybić?

1625 — Najniezawodniej — rzekł Jaś, rzucając dziesięć dukatów — kwituję z reszty; idź, najedz się, do kredensu i bywaj mi zdrów.

Budnik ucałował rękę pańską i pozostał długo w podziwieniu nad złotem, które pierwszy raz w życiu posiadał, nie wiedząc, czy za nie kupić wioskę, miasteczko, czy kilka mil lasu.

Starannie wreszcie skarb ten zawiązawszy w węzełek, w którym już znajdowały się dwa trzygroszniaki poważne, wyczyściwszy strzelbę i nabawiwszy ją loftkami

1635 na wszelki przypadek, posunął się naprzód do kredensu, potem na folwark.

Tu potrzeba mu było uzyskać za kwitem należną mąkę, którą kum Bartosza, kowal dworski, obiecał odwieźć do Osikowego Ługu. Ale dajże sobie rady w takim dworze, nawet z rozumem Macieja! Najprzód nie było ekonoma, potem nie było pisarza, nareszcie nie było gumienego, który wiedział o przysiężnym; a gdy przysiężny przyszedł, nie miał kluczy, gdy się klucze znalazły, pokazało się w ostatku, że niema mąki. A zatem kowal pożyczył skarbowi, za co skarb z lichwą

1645 miał mu oddać; dość, że szczęśliwy Maciej siadłszy na wóz, już miał wyruszyć z workami i kowalem, gdy zaufany pana Jana sługa, który raczej na podpanka niż na służącego wyglądał, wstrzymał go kiwając nań ręką

1650 zdaleka.

— Wasan jesteś syn Bartosza? — spytał od niechceńia, spoglądając razem na Macieja i na wyjęty z kieszeni cylinder.

— Tak, syn rodzony Bartosza, nazwiskiem Młyński.

1655 — Hm, a cóż tam u was bieda?

- O! sroga biedzisko.
- Poco bo się tam w tej budzie kwasicie? he? Wszak masz siostrę?
- A jeszcze jaką słiczną!
- 1660 — Stara pani nasza obiecuje ją wziąć do garderoby, i tybyś może znalazł służbę we dworze, naprzykład na strzelca.
- Zapewne, co ja na strzelca i rodziłem się; a co do Julusi, to się pana ojca patrzy, nie mnie. Albo ja
- 1665 wiem, czemu jej nie oddaje? niechajby oddał.
- Powiedz tam ojcu, niech ją przyśle.
- Alboto oni mnie posłuchają? — ruszył Maciej ramionami. — A potem też pojechali do miasteczka.
- Kamerdyner uśmiechnął się. — No, to jak powróci.
- 1670 — A do czegożto, mówiliście, mieli wziąć Julusie?
- Do garderoby.
- Maciej długo milczał, rozważając, cobyto miało zna-
czyć, nareszcie odpowiedział:
- Pewnie tatulo nie zechce.
- 1675 — Zechce, nie zechce, a ty powiedz swoje — dodał gładząc bokobrody służący — jeśli rychło jej nie oddadzą, to potem i miejsca nie będzie.
- Zawrócił się, kiwnąwszy głową, i odszedł.
- Wistocie — mówił sam do siebie — nieszpetyny
- 1680 dziewczak się robi, a w nędzy to to sparszywieje. Paniczowi raz wraz na myśli ta dziewczyna, a tu już we dworze same tylko łupinki. Nudzi się biedaczysko. Tylko że to sprawa ze starym Bartoszem. Bodaj żeby nie było ciężko. Ale takiż nas nie pozabija.
- 1685 Ruszył ramionami i ziewnął.
- Trzeba pośpieszyć rozporządzić się wedle śniadania, bo to ta szuja wiecznie głodna, żre, żre, a nigdy się naćkać nie może. A za karty gałgany szachrują i nie płacą. Szerepetki! tfu! Za całą noc wszystkiego piętnaście rubli; trudno się nie pogniewać. Skapcy! bodajto nasz! A! tylko że go drą na wszystkie strony niemiłosiernie. No! jest bo co i drzeć. Kiedy pan, to pan! Pieniądzy zawsze huk, a kiedy da, to garścią.
- Ziewnął znowu.
- 1695 — Nieszpetyny dziewczak, i kurczę to jeszcze młode, możebyśmy przy niej dłużej powisieli; a tu nam nie

nastarczyć, coraz co nowego: dalej i na cztery mile wkoło nie dostanie.

I tak pomrukiwał wedle swego zwyczaju, idąc ku
 1700 dworowi, gdy Maciej tymczasem na furze z kowalem
 powoli ciągnął się do budy. Nim się naprzód wybrał
 i jeden i drugi, nim się pod las po grobelce dobili,
 dobry był już zmierzch, ale mimo ciemnej nocy, na któ-
 1705 rą się zabierało, nie obawiali się wcale zabłądzić. Zna-
 li oba doskonale drogi i drożyny, nawet te, któremi
 w bór po drwa jeżdżą, nie prowadzące nigdzie krom
 porębów dalszych za błotami. Maciej, poczęstowany
 kilkakrotnie, czuł usposobienie do snu i kiwał się na
 workach; kowal fajkę palił i dumał. Niekiedy zamru-
 1710 czał coś pod nosem budnik, Burek jakby dając znać
 o sobie, że niedaleko ubiegł, zaszczekał, wóz zapiszczał,
 gałęzie zaszumiały i jechali dalej.

Smutny las w nocy, zwłaszcza gdy go jeszcze nie okry-
 wały liście. Te sterczące na mglistem niebie kościotru-
 1715 py drzew suche, ten szum łamliwy i szorstki gałęzi,
 wcale różny od wesołego liści gadania; krakanie wron,
 które w najobrzydliwszą porę najbardziej rade się od-
 zywają, i hukanie sów, i wycie wichru, najweselszego
 jakiemiś przepowiedniami zniszczenia zasmucić muszą.

1720 Podróżni nasi zatrzymali się u karczemki Jankiela,
 przed którą stały dwa wozy i dwa konie wierzchowe;
 kowalowi bowiem fajka zgasła, a Maciej chciał się na-
 pić choćby wody. Zleźli więc oba z wozu i zarzuciwszy
 trochę siana koniętom, a bardziej jeszcze kozom ży-
 1725 dowskim i krowie, która z powagą wybierała między
 podróżnych zapasami najświeższą paszę, weszli do oświe-
 conej izby.

Gwar był wielki i ludzi dosyć. Koło komina kupa
 wieśniaków z fajeczkami, przy stole z waszecia coś
 1730 i z żołnierska się zwijało; w komorze pan gumieny
 głąskał pod brodę Sórkę, popijając wiszniak. Jankiel
 stał na przypiecku, rozgarnawszy poły, i nogi wyjęte
 z pantofli z kolei to jedną, to drugą ogrzewał przy
 1735 i Maciej, i splunął.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

Dwóch odstawnych żołnierzy stojących przy stole obejrżeli się. Jeden z nich natychmiast rzucił się żywo,
1740 porwał za ramię Macieja i zawołał :

— Ot i on!

— Co za on?

— Ot! on jest! ot jest! — powtórzyli żołnierze oba.

— Nu! to szczęście — i nim jeszcze Maciej zagłupio-
1745 ny i nie mogący pojąć, co to znaczy, przyszedł do siebie, odebrali mu strzelbę, pochwycili od niego torbę, skrepowali w tył ręce.

Budnik osłupiałym wzrokiem toczył wkoło, wszyscy kupili się koło niego.

1750 — Co? Co to? — pytali ludzie — za co?

— A te gałdany budniki, to konie kradli. Dziś pan Pomocnik złapał ojca, co prowadził je, a oto synalek, za którym nas posłali; sam w ręce wpadł.

— Nu! ruszajmy do miasteczka! ruszajmy! Noc się
1755 robi.

I nie czekając chwili, śpiesząc się tak, że nawet zapomnieli z wódkę zapłacić, wynieśli się co najrychlej z karczmy. Kował sam pozostawszy, rozmyślił się z mąką jechać choć po nocy do budy w Osikowym Łu-
1760 gu, dać znać Pawłowej i Julusi, że ojciec i syn pobrani zostali. Byłoto poświęceniem z jego strony, ale też to był pobożny i poczciwy człowiek; panów kochać i służyć im umiał. Panowie, Bogiem a prawdą, tyle się jemu i rodzinie dali we znaki, że porachowawszy ściśle, co
1765 doznał i co czuł, nienawiść jego trzeba mu było przebaczyć.

Dwóch dworskich, przytomnych wzięciu Macieja, powróciwszy wieczorem do Sumaczej, wypowiedzieli o tym wypadku w oficynie. Dowiedział się i służący pa-
1770 na Jana i panna Tekla, która o wszystkim wiedzieć była zwykła, i pan Jan, bo mu zaraz o tem zauszniczy znać dali.

Wywołany do sypialnego pokoju pan Jan, wysłuchawszy doniesienia służącego, wzgarliwie piękne usta
1775 skrzywił i rzekł :

— Jednakże to łajdaki! Patrzcie, konie kradli. A wszyscyście mi mówili o tym starym Bartoszu, że poczciwy, dumny i ciężki człowiek. Widzicie, jak nie znacie ludzi!

- 1780 — Terazby pora wziąć dziewczynę do dworu?
 — Jak uważasz, rób tam sobie, co chcesz z panną Teklą. Niechaj ona po nią pośle, mnie nie uchodzi; już i tak gadają. A potem zobaczymy.

IX.

- 1785 Wieczorem już późnym weszła panna Tekla z zafraśowaną minką do pokoju, w którym stara podkomorzyna robiła pończochę i odmawiała koronkę. Po twarzy swej ulubienicy poznała zaraz zacna staruszka, że ma coś, coby powiedzieć chciała, a raczej czegooby chciała, żeby się od niej dopytano.
- 1790 — Cóż tam, moja Teklusię?
 — Wiatr i śnieżek prószy.
 — A! to bieda! A tu bydełku paszy potrzeba. Ale coś ty, moja droga, masz minkę skłopotaną.
 — O! nie! nie! — odpowiedziała panna, siadając do
- 1795 roboty przed świecą.
 — Ale kiedy ja bo już widzę. To znowu sobie jakiś kłopot cudzy za swój twoje dobre serce przyjęło.
 — Doprawdy pani, że nie.
 — Ale kiedy ja cię zawsze poznam, moja kochanko.
- 1800 — Ale nie, droga pani. To nic, to tak, doprawdy.
 — Powiedzże mi, proszę cię. Ja do razu poznałam, że coś ci jest, kiedyś wchodziła; ty nic ukryć w sobie nie umiesz.
 — Ale bo, droga pani...
- 1805 — Każę ci, mów, proszę bardzo, mów mi zaraz, panno, Teklo, bo się gniewać będę. Słyszałaś, że mówiłam ci, każę?
 — Nie chciałam pani mówić, bo doprawdy... To znów o tych nieszczęśliwych budnikach, o których już razy
- 1810 kilka wspominałam pani.
 — Cóż im tam?
 — Nieszczęście, prawdziwe nieszczęście. Wszakto pokazuje się, że ojciec a podobno i syn należeli do szajki złodziejskiej.
- 1815 — Jezu Marya! czy to być może?
 — Teraz pobrali ich do miasteczka, a ta nieszczęśliwa Pawłowa wdowa (coto JW. Pani dawała jej maść do nogi) i córka Bartosza Julusia, same jedne i bez kawałka chleba zostały.

- 1820 — To potrzebaby je zabrać do dworu.
 — A! doprawdy, toby był prawdziwie miłosierny uczynek. Ta młoda nadewszystko, to bardzo dobre dziecko, a tak opuszczona zwałać się może.
 — Ale moje serce, nuż jakie nie dobrego?
- 1825 — Gdzie tam JWPani, to ledwie może ma rok piętnasty!
 — I jak to wygląda? bo ty się cudownie znasz na fizyognomii. Nigdy nie zapomnę, jakieś odrazu poznała tego Piotra, który mi potem tak swemi głupimi oskarżeniami na wszystkich dokuczył, i Dorotę, co wiesz?
- 1830 — Śliczne dziecko i zdaje się, dobrze jej z oczów patrzy; tylko, Bóg to jeden wie, co jeszcze z niej być może.
 — Tak! Bóg to wie i Bóg jeden, moje serce, nawet
 1835 już zepsutego łaską swoją nawrócić i na drogę dobrą wprowadzić może; nasz obowiązek wyciągnąć rękę, potrzebującemu pomocy. Zadysonujże, moja droga, konie po nich jutro. Niech mój Paweł jedzie wielkim wozem i sprowadzi tu to biedactwo. A za to, żeś mnie napro-
 1840 wadziła do dobrego uczynku... (podkomorzyna zdjęła z palca pierścioneł i oddała go pannie Tekli, która całując kolana i płacząc niby, przyjęła go).
 — Co to za serce! co to za serce złote! — powtarzała staruszka.
- 1845 Jak świt nazajutrz wysłano karecianymi końmi pana Pawła po Pawłową i Julusię.

XII.

My go uprzedźmy do budniczej chaty.

- Cały dzień przeszły, siedziały kobiety same jedne, oczekując Bartosza, a potem Macieja. Ostatniego wszakże
 1850 znając z gapiowatej ciekawości, rychlej jak późnym wieczorem nie spodziewały się.

- Długie próżne oczekiwanie na starego Bartosza napełniało je niepokojem; nigdy bowiem wyjechawszy z domu za interesem i bez strzelby, tak długo się nie ba-
 1855 wił; owszem, zwykł był rychlej, niż się go spodziewano, powracać.

Z ludźmi swojego stanu, Bartosz nie gardząc nimi, nie unikając od nich, przestawał jednak niebardzo chętnie

- nie, zbywał milczeniem; czując się i rozumem i czu-
 1860 ciem daleko od nich wyższym. Wyżsi nie umieli go ocenić, bo sukmana zakrywała im człowieka; żydów stary cierpieć nie mógł, pijawkami ich pospolicie nazywając; wódki prawie nie pił: jedno, co mu mogło czas ubiegający skrócić, to las, samotność w nim i cisza.
- 1865 Zrodzony wśród lasów, od dzieciństwa do nich przywykły, tęsknił po borach i obejść się bez przechadzki codziennej nie potrafił. Nie było dnia szarugi, zawieci, śnieżnicy, deszczu czy burzy, by przynajmniej godzin kilka pod gołym niebem nie strawił. Ze strzelbą na ramieniu, nie miał równego sobie myśliwca, łowcem był niezmordowanym i niepokonanym; bez niej chętnie zadumywał się wśród szumu borów, a nie cierpiąc próżnowania, które śmiercią nazywał, zawsze z czemś użytecznym powracał do domu. W porze grzybów zbierał grzyby, to jagody, to zioła lekarskie, to korę lub naczynko jakiego wystrugane, sprzącik, sidła na ptaki i tym podobnie.

Zdawało się, że przy pracy zapominał jakiejś wielkiej boleści, którą starannie taił, chociaż ona mu ciężka była widocznie. Okoliczni budnicy szanowali go jak patryarchę, radzili się go jak ojca, bali jak swojego naczelnika, chociaż słowy tylko był srog.

1880 Często na pniu przed chatą, na wywróconym ulu w polance usiadłszy, otoczony swoją bracią budnikami, 1885 gdy z upartego milczenia ożywiwszy się wyszedł i usta otworzył, opowiadał im dawne dzieje, stare podania, które najlepiej pamiętał. Nazywał im po imionach i przewiskach pradziadów ich i dziadów dawno pomarłych, z ich życia dotykając to tylko, czem się wnukowie pochlubić i nauczyć mogli. To znowu sądził sprawy i go-
 1890 dził waśni sąsiedzkie.

— Myśmy, mawiał, garścią tu obcych wygnańców, powinniśmy być tem pocziwsi, pracowitsi i lepsi od drugich, bo my tu cudzy, a z nas sądzić będzie lud tutejszy
 1895 o ojcach naszych i krwi całej, i ziemi rodzonej, z której nas czarna dola spędziła. Ubodzyśmy, to i Chrystus był ubogi i Józef cieśla się nie wstydył nazywać; pracujmy; biedniśmy, cierpmy a nie skarżmy jak baby, bo i na nic się nie zdało i ludziom tylko śmiech.

1900 W krótkich słowach często im wielkie dawał nauki; potem gdy widział, że między sobą wzięwszy na rozum rozbierać poczynali, rzucał ich, i smutny a milczący, chwyciwszy strzelbę, szedł w las dumać i wytchnąć tam z sobą. Umiejętność leczenia ziołami, zwłaszcza ran

1905 i wścieklizny, nie ma do niego ludu sprowadzała dawniej; teraz zabroniono mu tego i ukradkiem chyba kto się przywłókł.

Maciej nie miał biedaczysko serca u ludzi, a śmielsi nawet szydzi z niego, najżyczliwsi zaś kończyli o nim

1910 mówiąc: nie wdał się w ojca.

— Ale co to jest, że Bartosz nie wracają? — mówiła Pawłowa wyglądając coraz oknem.

— Może w lesie — odpowiedziała Julusia — a wy wiecie, że w lesie gotowi się zapomnieć i do nocy.

1915 — W lesie, po nocku, bez strzelby? A kazałby tam robili! I Maciej bo głupi, jakby nie wiedział, że chleba niema, a mąka nam bardzo potrzeba! Ot oślisko i po wszystkim.

— Kochana pani Pawłowa, alboto my wiemy, cze-

1920 go to on się tak opóźnił? Może...

— Jużto taki, w tem nie chybi, jest jakieś лихо — szeptała stara — niedarmo się zrana sól wyróciła. Pamiętam, kiedy mój nieboszczyk szedł w tę nieszczęśliwą godzinę, co się miał pobić z tym krzywonosym a potem tak zmarnieć, to i wówczas także sól mi się z drewnianką wyróciła. I także na prawą stronę. A tu mierzchnie, dalibóg że mierzchnie!

Zapalono łuczywo w bundurze, i dwie kobiety zaczęły praść w milczeniu, przerywanem tylko niekiedy przy-

1930 słuchiwaniem się zwodliwemu szumowi wiatru, który zdawał się to chodem ludzi, to turkotem wozu. Już się i dobrze ściemniło.

— No, jużto taki nie bez kozery — mówiła Pawłowa pokaszlując — gardło dam, że tu dyabelska jakaś

1935 sztuczka jest. Stary nigdy się tak bez strzelby nie zabawia; a Maciej, choć taki Boże odpuść głupi, ale też i tchórz po nocy, i w lesie włóczyć się po zmierzchu nie lubi.

— A jak kowal konia nie dał?

1940 — To nie może być, kum. A zresztą kto go wie;

może, może! Ja taki zawsze mówiłam, że to chytra sztuka; wiele obiecuje, jak przyjdzie do rzeczy zwłaszcza taki mnie, to na obwieńnię palca nie zrobi nic. Zawsze mówi: daj mi asani pokój. Chłopisko! O jużto z chamem to i w kumy zadać się nie warto; taki cham chamem!

— Ej! ciotuniu! a przeszłego roku na przednowku kto nas ratował?

— Wielka mi rzecz! taki bogacz, sam nie wie o swoich skarbach; kapnął tam, co mu z nosa spadło; nie warto o tem i gadać.

Julusia nic na to nie odpowiedziała. Słuchały znowu, nikt nie przybywał.

— Dziw to dziw — odezwała się znowu Pawłowa po chwili, niecierpliwie kręcąc głową — od ilu lat tu jestem, nigdy tego nie bywało.

— O! byle tylko nie jaki przypadek — mówiła ze łzami Julusia. — Te konie cudze, z którymi ojciec pojechał, młode, boję się, żeby go nie uniosły, nie rozbiły. Stara poskrobała się w głowę i mruczała: nie darmo sól się przewróciła, a gdy wychodzili z chaty, to wrony jak najęte krzyczały.

Wtem wóz kowała zdaleka turkotać począł.

— Ot i Maciej jedzie! — zawołała Julusia — a ojca ani słyhu. Chwalić Boga, że choć brat jest, wysłemy go zaraz za ojcem do miasteczka.

Wóz zatrzymał się przed chatą i Julusia boso wybiegła z łuczyną aż na podwórze. — Macieju! Macieju! — krzyczała — nie wiecie co o ojcu, nie widzieliście go? Wszak do tej pory niema.

— Niech będzie pochwalony! Dobry wieczór.

— A to wy, kumie, gdzież Maciej?

— Maciej — rzekł skłopotany kowal — Maciej...

— Jakto i Macieja niema! Cóż to się stało? To ojcowi jakiś przypadek się zdarzył. A! mój Boże!

I rzucając łuczynę z krzykiem załamała ręce.

Pawłowa narzuciwszy kożuszyne, bo kaszlała, wyszła także do sieni. — Gadajcież kumie, gadajcie!

Kowal szukał w głowie, co miał powiedzieć, i z trudem dnością zebrał się na kilka wyrazów.

— Bóg z wami! nie truście. Niema nic tak złego.

Wy musicie lepiej wiedzieć odemnie, co to za głupia sprawa zatrzymała i ojca i Macieja w miasteczku. To o jakieś tam konie, dla świadectwa ich obu zatrzymał Pomocnik.

1985 Stara Pawłowa pokiwała głową, Julusia zaczęła gorzko płakać i ledwie odpowiedziała ze łzami:

— Ale to nie może być, żeby oni byli co winni; my wam zaraz rozpowiemy, jak to było.

— Niechżeno ja wprzódę makę zniosę — odparł ko-
1990 wal, i dźwignął jeden worek.

Cały wieczór potem trwało rozprowadanie obszerne wczorajszego przybycia żydów, które Pawłowa dziwnymi pomysłami ozdabiała. Nareszcie dobrze po północy kobiety ustąpiły do alkierza, a kowal układał się w pierwszej
1995 izbie na ławie.

Szarzało, kiedy powstawali, Julusia całą noc we łzach spędziła. Nim się kum wybrał napowrót, i konie też przysłane przez podkomorzynę nadeszły. Wielkie było podziwienie naprzód, potem radość niezmierna Pawłowej, która wszakże pokryła ją udanym frasunkiem, starając się przekonać Julusię, że nie gardząc łaską pańską, jechać należało.

2000

Dziewczyna, sama nie wiedząc czego, płakała; kowal pocieszał ją opowiadaniem o dobroci starej pani. Chate, bez obawy szkody, boć tam w niej nic nie było, powierzone na straż sąsiadowi Marcinowi, budnikowi, a krowę i kozy kowal zabrać z sobą przyrzekł. Wyjazd postanowiony został i obie kobiety już się około niedługiego wyboru krzątały.

XIII.

2010 My opuścmy Julusię odjeżdżającą we łzach do dworu, i Pawłową, która łzy udaje, pociąga nosem, oczy wyciera, spluwa, charka, w sercu się radując próżnowaniem i dostatkiem przyszłym; powrócmy do miasteczka, gdzie stary Bartosz i Maciej uwięzieni siedzą.

2015 Na starcu, przekonanym o swej niewinności, niemożącym pojąć, aby go jakimkolwiek, bodaj najmniejszą sposobem uplatać miano w sidła, stan nowy zupełnie dla niego czynił w początku wrażenie lekkiej rany, która, nie będąc śmiertelną, srodze wszakże bolała. Lecz gdy po pierwszym i drugim dniu z początków
2020

śledztwa przekonał się, jak misternie żyd uplątał się na jego zgubę, ponura rozpacz opanowała starca, któremu nie tak kara, jak hańba występku była straszną. Jemu, co się nigdy nie zmazał niczem, na starość po-
2035 sadzonym być za złodziejstwo, uwięzionym ze złodziejami! karanym jak złodziej! W pierwszych chwilach o mało nie oszalał, potem przetrwawszy je, upadł na słomę i począł gorąco się modlić, nareszcie zachorzał. Zwolna i zdrowie staremu potrosze wracało, ale smutek
2030 i rozpacz zostały.

Maciej tymczasem przywołany do śledztwa, obwiniony o uczestnictwo, trzęsiony po więzieniu i znaleziony zbyt na budnika bogatym, bo miał dziesięć dukatów; zmieszał się jak winowajca, usiłował wytłumaczyć, jękał,
2035 bakał, ale im dłużej mówił, tem mocniej plątał. W sprawie ojca jął odpowiadać tak, jakby go chciał umyślnie potępić. Było to tylko głupstwo. Pomocnik poddawał mu odpowiedzi, on je za nim powtarzał, a za jego słowy pisano zeznania, które Maciej wielkim znakiem krzy-
2040 ża na końcu utwierdzał.

Gdy staremu odczytano zeznanie syna, popatrzał ponuro i zamilkł. Odtąd postanowił nie odpowiadać i słowa na żadne pytania, nie tłumaczyć się i nie uniewiniac wcale. Zdał sprawę swoją na Boga, a w dumie swej
2045 i cnocie wziął się na stoickie milczenie i wytrwałość.

Maciej na pierwsze zapytanie: czy widział, kto konie przyprowadził, odpowiedział, że Bramko, który gdy krzyknął mu głośno, że łże, poprawił, że był tam jakiś żyd nieznamy.

2050 Napisano więc nieznanego tylko żyda. Bramko, że sam pierwszy doniósł, gdzie się konie ukradzione znajdowały, uprzedził, że pewnie na niego przez zemstę potwarz rzucać będą.

Potem spytany, czy konie za pozwoleniem ojca zostawiono u niego, odpowiedział, że nie. I znowu na lepszą drogę naprowadzony argumentem bardzo silnym, poprawił się, że żyd coś szeptał, że on nic nie słyszał, że o niczem nie wie, że może była jaka umowa.

2060 Spytano, dokąd prowadzono konie; zaklął się naprzód, że ojciec jemu kazał je do miasteczka do Pomocnika odprowadzić, ale zakrzyczany znowu, dodał natychmiast,

że ojciec sam zaraz siadł je wieźć, a on nie wie, dokąd i po co.

W ostatku dobadywano jeszcze, czy żydzi często
 2065 tam bywali, nagadał, ile razy ich gdzie w lesie widział i zeznał, że u Jakóba Paciorkiewicza, budnika, często konie podejrzane widywano. Słowem, popłółł Maciej niestworzone rzeczy, prawdę i fałsze i takie półsłowa, które spisujący kancelista mógł powywracać, jak chciał;
 2070 czego nie omieszkał też uczynić i skierować je na najpewniejsze potępienie budników.

Bramko swoje doniesienie i zeznanie ułożył bardzo zręcznie i to zabójczem było dla starca. Nie było komu ani się za niego ująć, ani posmarować, ani chodzić
 2075 i prosić. Córka, której kłamano, że ojciec co chwila ma powrócić, nie wiedziała całkiem o położeniu jego i niebezpieczeństwie; bracia budnicy siedzący w lesie, nim się rozsluchali, nim naradzili, nim namyślili pójść, nim to skutecznili, wiele a wiele upłynęło czasu nie-
 2080 nagrodzonego.

Już i liście na drzewach zapachem napełniały powietrze, a starzec jeszcze siedział w dusznym, zamkniętem, miejskiem tak zwanem więzieniu. Lecz jak zmieniony, jak zestarzały, jak znędzniały! jak strapiony
 2085 i własnem położeniem i niedołężnością syna i niepokojem o córkę, o którą się lękał, i spodleniem, które go spotkało! Ciężko było poznać!

Duma i powaga, które tę piękną twarz niedawno jeszcze tak charakterystyczną czyniły, zmieniły się te-
 2090 raz w rozpacz niemą i głęboką, milczącą boleść; przywalony zdawał się o kilka lat starszym, na skroni jego ciemny włos nagle poczynał się srebrzyć i bieleć. Dokoła oczów zapadła skóra i porysowały się marszczki, a usta zacięte silnie, z trudnością nawet na westchnie-
 2095 nie otwierały się; tak je wola starca rozkazem milczenia zamknęła potężnie.

Maciej, ogłupiony bardziej jeszcze, nie wiedząc, co się z nim dzieje, najspokojniej znosił uwięzienie i godził się ze swym losem. Mawiał tylko czasami, że boi się,
 2100 jak ich uwolnią, aby go tatulo nie połajali. Nie chcąc czasu tracić, uczył się fajkę palić.

XIV.

Gdy się to dzieje w miasteczku, druga scena tego biednego dramatu odegrywa się we dworze.

Pawłowa z Julusią przybywszy do Sumaczej, osadzone zostały jedna w garderobie podkomorzynnej, druga na folwarku jako pomocnica klucznicy. Każdy tu niezmiernie pomocnika potrzebował, bo nikt nic nie robił i rad był zwalić ciężar na drugiego, nie czując się wcale do obowiązków. Tak nierozważna dobroć psuje ludzi.

Tymczasem korzystając z uwięzienia starego Bartosza, którego dworacy, znając lepiej od pana, obawiali się, zastawiono sidła na jego córkę. Podkomorzyna przez litość, pomocnicy pana Jana przez rachubę, obdarzyli ją wykwintnym ubiorem i wszystkim, czego dotąd brakło ubogiemu dziecku lasów, przywykłemu stroić się w kwiatki tylko; — wszystkim, czego nie znało nawet, a do czego nie znając jako kobieta wdychało. Sukienki, koszulki, fartuszki, bursztyny i korale na szyję, chusteczki kwieciste na głowę, trzewiczki foremne ze świecącej skórki, pończoszki białe i wstążki ponętne a wabiące oczy; wszystko to zleciało się do kufereczka Julusi, która choć smutna i strwożona, choć tęskniła za ojcem, nie miała siły, żeby te dary niebezpieczne odrzucać od siebie. W zwierciadélku tak jej z tem było pięknie, gdy się w niedzielę przystroiła do kaplicy!

Często, często rozpytywała się o ojca, ale jej odpowiadano coraz nowemi kłamstwami lub nowemi nadziejami, uspokajając niebogę. Szczególniej Pawłowa, której wierzyła Julusia, a która Boga w sercu nie miała, prawiała jej to, to owo; od dnia do dnia powrót Bartosza odwołując, obiecując, oznajmując, donosząc jej fałszywe słowa, któremi ją niby pozdrowiał. Drżała wprawdzie na myśl jego powrotu, ale zdawało się jej potem, (i tem się uspokajała), że ciężko obwiniony nigdy już na swobodę nie wyjdzie.

Z długiej nędzy, z niedostatku, chłodu i głodu, z ciężkiej pracy, kiedy się młodość, pragnąca życia, wyrwie na światło, pogodę, do dobrego bytu i swobody; jakże naówczas zamaszysto a szeroko bije serce, jak myśl ulata potężnie! A wśród tego żywota nowego, ilekroć

chmurka ma je zaćmić, jak sami kłamiemy sobie, że to nie chmura burzy, ale obłoczek deszczowy, co tylko ziemię spragnioną orzeźwi. Lękamy się utracić chwili
2145 drogiej, wprzód niespodziewanej nawet, teraz warunkiem już życia będącej.

Przeszłe życie Julusi wśród głuchego lasu, wśród ciężkich znojów, często w niedostatku, którego wyobrażenia mieć nie możemy, tłumaczyło ten zapał i pragnienie
2150 nie wesołej, słonecznej chwili. Wspomniawszy na te dni długiego milczenia, nieprzebyte, nieskończone, oblane łzami i potem, snem głodnych marzeń zamknięte, i samotność niczem nieprzerwaną; dziewczyna dostawała dreszczu i w głowie jej się kręciło.

Tu rówiennice, przyjaciółki, piosnki, i zabawy wesołe i przechadzki swobodne i tańce niedzielne i słówka pochlebne i jakiś raj w przyszłości świecący; czarna i okropną robiły przeszłość. Zwykłej do pracy, do milczenia, do połajają, łagodne i pieszczone obejście, wygody życia, stroje zalotne, uśmiechające się twarze, dni
2160 spoczynku po dniach zabawy, dni zabawy po dniach spoczynku, błogiem czyniły życie; nie wiedziała, czy można było jeszcze życzyć czego, pragnąć więcej, chyba ojca przy sobie, wolnym i szczęśliwym, jak ona była.

Węża, co pełzał pod tym wieńcem kwiatów, nie widziało dziewczę jeszcze. A pan Jan często i nadto często począł się przechadzać do oficyn, i panna Tekla z Julusią, którą w szczególną wzięła opiekę, nierzadko też robiła wycieczki ku dworowi, tak że się prawie
2170 zawsze w lipowej ulicy spotykano z paniczem. Julusia dzika jak leśna koza, kraśniała, płonęła, mieszała się spoglądała z pod oka; podobał jej się ładny chłopiec, ale zrozumieć jeszcze nie mogła, jaki jej los gotowano. Czasem błyskawicą prześliznęła się myśl po głowie:
2175 a nuż panicz pokocha? I westchnęła i dumiała i śmiała się jak z marzenia.

Julusia nie była już nieświadomem dziecięciem, bo nędza i cierpienie dojrzewają rychło i uczą wszystkiego: złego i dobrego, a nad ich oddech niema straszniej
2180 trującego wyziewu; ale nauki ojca i własna myśl nie dozwalały jej pomyśleć nawet, żeby chwili upodobania i szału miała siebie poświęcić; ile razy pan Jan myśla-

mi gorącemi zajął jej młodą głowę, śniła, że ją poko-
cha i jak w bajce — z nią się ożeni.

2185 Zdaawało się jej to naturalnem bardzo, a w zwier-
ciadełku twarzyczka mówiła: — to być może!

Tymczasem co dnia, co godziny, oswoiwszy ją, po-
woli ścieśniano zastawione sidła. Ale środki, użyte na
biedne leśne dziewczę, złe były właśnie dlatego, że nie
2190 dotykały ani jej głowy, ani serca; zamierzając zgubić
ją w sposób gwałtowny, zwierzęcy, przemocą i siłą.

Przemocy pojąć, przypuścić nie mogła; a dumnym
ciemnych oczu wejrzeniem odtrącała zuchwałych daleko,
nie pozwalając nawet przybliżyć, nawet się dotknąć do
2195 siebie. Za serce, za głowę, nikt jej ująć nie umiał;
panicz choć ją lubił, kochania grać, ani okazać nie my-
ślał, a gdyby je czuł nawet, kto wie? możeby się wahał
prostej dziewczynie objawić. Zdawało mu się, że się
wszystko kupuje i za wszystko płaci.

2200 Wreszcie gdy opór niespodziany a dumny i wzgar-
dliwy niecierpliwie poczynał, a Julusia, zastanowiwszy się
nad sobą, tak uparcie zamykała się w garderobie, że
z niej krokiem ruszyć nie chciała; gdy wszelka nadzie-
ja dla panicza upadła a sidła zostały próżne i daleko,
2205 potrzeba było o zmianie ich pomyśleć.

Po długiej naradzie z pokojowcem ulubionym i pa-
nią Pawłową, postanowiono, że sto razy lepiej, dogod-
niej i bezpieczniej będzie odwieźć dziewczynę z starą
ciotką do budy w lesie i tam tylko opatrzyć je we wszyst-
2210 ko, by zdaleka od oczu, w głuchej ustroni odwiedzać,
gdy się podoba. Postanowiono wporządzić i rozszerzyć
budę, nie szczędzić podarków, działać przez namowy
Pawłowej, która się podejmowała być szatanem kusicie-
lem, nasyłać na Julusią dziewczęta garderobowe pod-
2215 komorzynej, muzykę, dworaków: słowem nie oglądając
się na nic, szybko i wszelkimi środkami dążyć do celu!
We dworze, między innymi niedogodnościami, lękano się
i tego, by wiecznie ślepa pani podkomorzyna nie do-
patrzyła, co się dzieje, a dziewczyna nie wygadała się
2220 z czem przed nią dzieciennie.

Pannie Tekli, wmieszanej do haniebnego spisku,
łatwo było wytłumaczyć przed starą, że Julusia
nadmierzają tęskni za swoją chatą i lasami, że do nich

przywykła bardzo, a dniem i nocą tajemnie płacze, nie
 2225 śmiejąc mówić. Ulitowało się dobre serce staruszki,
 i z dodaną Pawłową i stróżem ze dworu, wyprawiono
 obie nazad obdarzone, zbogaczone nieledwie, postaraw-
 szy się wprzód o powiększenie chaty, zaopatrzenie spi-
 żarni, a na miejsce chudej krowy i dzikich kóz, piękne
 2230 bydełko postawiono w obórce.

Lecz godziź się szczegółowo malować tę część na-
 szego obrazka, tak znajomą, tak pospolitą? Godziź się
 po setny raz rozwijać przed wami historią uwiedzenia,
 które im łatwiejsze, tem sroższej może warte jest chło-
 2235 sty! Potrzebaż opisywać i wieczorne odwiedziny w pu-
 szczy pana Jana, i zdradliwe namowy Pawłowej i upór
 Julusi i szal, który nareszcie młodą zakreślił głową,
 i wszystkie sposoby bezecne, jakich namiętność użyć
 nie wahała się? O! zwierzę nie może być obrzydliwszem
 2240 od spodłonego człowieka.

Cienie lasu pokryły zbrodnię, popełnioną bez serca,
 w imię serca, z zimnym namysłem i rachubą, z lekko-
 myślnością występna, z uśmiechem potępieńca. Jedna
 Pawłowa a z nią szatan uśmiechnęli się tej chwili, któ-
 2245 rą wiele łez gorzkich obmyć miało.

Julusia została ulubienicą pana Jana, ale wkrótce
 wstręt, pogarda, rozpacz, zachwiały słabą jej głowę. —
 Przechodziła z szalonego śmiechu do łez nieutulonych,
 2250 tłukła głową o ściany, rwała piękne czarne włosy, ł-
 mała ręce i latała jak obłąkana po łące i po lesie, po-
 wtarzając: Ojczy! Ojczy!

Wkrótce gdy Jan przybył z postawą pewną siebie
 i zwycięską, odtrąciła go silnie, nachmurzywszy brwi,
 przystąpić mu nawet do siebie nie dała. Ten dziki
 2255 opór rozjątrzył napastnika, i gdyby był rachubą, ko-
 rzystniejszym dla Julusi byłoby nie mógł. Opór ten
 i wgarda, przywijały panicza do biednej dziewczyny.

Wyrzuty, obojętność, smutek i rozpacz ciągnęły go
 silniej może do chaty budnika, niżeli miłość, prośby,
 2260 łzy i zakłęcia.

Pawłowa tymczasem mocno się zadumywała i nie-
 pokoila, poglądając na Julusie.

— A to szatan dziewczka! — mówiła na przypiecku
 siedząc i głaszcząc ulubionego burego kota. — Licho

2265 wie, co to tam w tej głowie; gdzie i ojcowiska krew.
Dumne, głupie a niepokonane! Co ubogiemu tak się
z sobą drożyć! Oj! gdybyto Pan Bóg dał drugi raz
młodość, wiedziałabym ja co z nią zrobić! A tymcza-
sem żeby tylko lichu starego nie przyniosło, bo gotowa
2270 guza oberwać albo i gorzej.

Jednego ranku nareszcie Julusia przepłakawszy noc
całą, znikła nagle z chaty. Pawłowa sądziła, że ją upro-
wadzono do dworu, ale Jan nadjechał wedle zwyczaju
i przestraszył ją zapewnieniem, że dziewczyny nie było
2275 we dworze. Rozbiegli się tedy jej szukać, i wieczo-
rem dopiero znaleziono biedną w głębokim lesie, na-
wpół obnażoną, z rozpuszczonymi włosy, siedzącą na
pniu z oczyma osłupiałemi, z usty skrzywionemi uśmie-
chem, obłąkaną zupełnie.

2280 Wielki był przestrah pani Pawłowej, i pierwszy
raz Jan uczuł dreszcz jakiś, przebiegający od ciała do
duszy, ściskające się serce, oczy krwią zabiegające.
Niecałkiem jeszcze zepsuty, pojął nareszcie swą zbro-
dnię. Odtąd codziennie przybywał do obłąkanej i tu
2285 dni całe pod pozorem polowania trawił.

Dziwne było obłąkanie Julusi. Niekiedy, ale rzadko
w szał i wściekłość prawie przechodząc, uspokajało się
rychłym strumieniem łez, a potem zlewało się w słod-
kie jakieś marzenie, jakby senne widzenie, pełne cza-
2290 rownego wdzięku, a przerażające dla świadków, bo za-
niem stała straszna rzeczywistość.

W szaleństwie rzucała się na Pawłową i innych
przytomnych, z czem miała; często nożem krwawiła
sobie piersi, chcąc się zabić, leciała do wody, żeby się
2295 utopić, szukała sznura starając powiesić! W każdym
izby kącie widziała czarne oczy ojca, pogładające na
nią z boleścią i wyrzutem. Zakrywała się od nich chu-
stą i widziała wejrzenie ojca przez nią, narzucała na
siebie wszystkie suknie swoje, kryła w najciemniejsze
2300 kątki i wszędzie i zawsze wzrok ten starego ojca prze-
szywał ją wyrzutem zabójczym.

Potem osłabła opadała, osuwała się i poczyniała
płakać rzewnie, zdawała usypiać powolnie, aż znów
otwierały się jasne jej oczy, uśmiechały usta, rozpro-

2305 mieniała twarz, i jeśli Jaś był przy niej, wysnuwało marzenie, które wyrazy poznać dawały.

— Nieprawdaż — mówiła — chociaż pan jesteś bogaty, ale ty się ze mną ożenisz, tak jak w bajce, którą mi mówiła Pawłowa, księżę ożenił się z pastuszką.
2310 I poprowadzisz mnie do swej matki, a ona pobłogosławi nas. Dasz mi sukienki szyte w słońca, księżycy i gwiazdy, włożysz na głowę moją koronę, na szyję perły, na nogi złote obuwie i poprowadzisz mnie do ołtarza. Potem, potem... Mówże mi, co potem będzie?

2315 Jan zachmurzony milczał.

— Wszak prawda, że się ze mną ożenisz? — dopytywała się Julusia, chwytając go za szyję — wszak prawda? Ludzie nie wierzą, śmieją się, ale ja wierzę. Ja jestem biedna dziewczyna, ale szlachcianka. O! nie
2320 chłopka, nie! Ty mnie kochasz, matka pozwoli. Wszak mówiłeś mi wczoraj, że mnie kochasz? Pamiętasz?.. tam pod drzewami, na zielonej murawie, księżycy kapał się w strumieniu, ptaszki śpiewały na gałęziach, a mój ojciec patrzył na nas...

2325 Tu na wspomnienie ojca znowu zakrywała sobie oczy, narzucała na siebie suknie, chustki, pościel swoją, usuwała się pod sprząty, aż przestkach, który nią wstrząsał do głębi, przeszedł powolnie, rozplynał się łzami, a po nim rozświtało znów rozkoszne marzenie.

2330 — Patrzcie — mówiła — dokoła panowie, panie, księżęta, królowie, a wszyscy kłaniają mi się. Jasieńko mnie prowadzi, prowadzi i posadził na bogatym tronie. Matka siwowłosa błogosławi nam. Ot! i dzieciątko maleńkie to nasze! Jakie śliczne! co za włoski złote,
2335 jakie usteczka różowe, jakie oczki ma niebieskie!

Często dni całe ciągnęły się te rozmowy samej z sobą, z urywanych wyrazów składane, których Pawłowa słuchała z przestkach, Jan pogrążony w głębokiem zadumaniu i smutku.

2340 Jan bowiem od niejakiego czasu odmienił się bardzo. Ludzie włąsni zrozumieć nie mogli, co mu się stało; bo nikt nie przypuszczał, żeby obłąkanie biednej dziewczyny przyczyną zmiany tej być mogło. Tak przecież było. Zerwał nagle zabawy ze zgrają towarzyszków,
2345 odepchnął od siebie dawne ulubienice; chmurny, za-

myślony, smutny, albo sam jeden siedział zamknięty, albo milczący przebywał przy matce, albo latał jak szalony na koniu, lub dni całe trawił w chacie budnika o chlebie i wodzie.

2350 Nie uszło to oka pani podkomorzynnej, która o zdrowie Jasiénka frasować się poczęła i wysłała czempredzej po doktora.

Ale co lekarzom do chorób duszy i zgryzot sumienia? tego ani hidropatya, ani allopatya nie uleczy.

2355 Pokiwali głowami lekarze, zapisali coś na papierku i odjechali, upewniając, że choroba pochodzi z zamulenia trzewiów, lub oni nic nie rozumieją.

We dworze na wieczorynkach, zabawach, rannych schadzkach dworu, o niczem innem nie mówiono, tylko 2360 o chorobie panicza i obłąkaniu Julusi; wrócono, wnoszono, domyślano się, jak też się to skończyć może.

Najpowszechniej zdziwaczenie i przywiązanie się pana Jana przypisywano rzuconym urokom i zadaniu Pawłowej, która uchodziła za czarownicę.

XV.

2365 Stary Bartosz siedział dotąd w miasteczku; ale rzeczy powoli zmieniać się w jego sprawie poczynaly. Pomocnik niespodzianie poróżnił się z żydem Bramkiem.

Zatem śledztwo wskutek nowych jakichś zeznań i wziętych poszlaków tajemnie przerabiał się poczęło. 2370 Zwołany znowu Maciej, który gotów był pod groźbą i fukiem powiedzieć, co się komu podobało, na samego nawet pana Boga, zeznał, że konie nieochybnie przeprowadził Bramko, że ojciec je chciał oddać Pomocnikowi, gdy na drodze został schwytyany, że żydzisko 2375 wreszcie przez zemstę tylko (bo stary Bartosz kradzieży jego przechować nie chciał) sam pierwszy zrobił fałszywe doniesienie.

Prawda łatwo się bardzo popiera; tysiące więc dowodów na wzmocnienie tego zeznania znajdować poczęto. 2380 Jeden stary Bartosz tak się uparł w swoim dumnym i pogardliwym milczeniu, że trudno mu było nawet łagodnością usta otworzyć.

— Dlaczegoż? — odezwał się starzec poważnie — wprzódys pan tak nie postąpił, oszczędzając mojej sta-

2385 rości wstydu, cierpienia, które mi życie skróciło, a sobie zgryzoty na duszy?

Pomocnik zaczął się wymawiać, zaczął coś przewracając papiery paplać, gryźć cybuch w gębie, pluć, kręcić się, popijać gorzałkę, zakąsywać śledziem, i na tem się skończyło.

2390 Bartosz odpowiedział nareszcie całą historją. Sprawa więc na tem stała, że ojca i syna miano wypuścić na porękę, gdyby się tylko świadectwa ich uczciwości przeszłej znalazły.

2395 Właśnie też wszystko teraz składać się poczynało jak najlepiej.

Od wzięcia Bartosza, w lasach, które zamieszkiwali Mazurzy, dawał się czuć brak tego naczelnika, który nie mając żadnej władzy nad bracią, największy przecież na nich wpływ wywierał. W początku może wszyscy radzi byli, że surowe oko i usta surowe, co ich nieraz karmiły, na czas się od nich oddalają; ale wkrótce poczuli dotkliwie, jak im starego Bartosza brakło: ni kogo się poradzić, ni komu poskarżyć, ni leczyć i pocieszać

2400 nie było. W niedzielę zejść się, jak się schodzono do jego chaty na posłuchanie o starych czasach, nie było gdzie. Kilku młodzieży wybierało się na flis, a tu umowy z żydami zrobić i kontraktu dopilnować nie było komu; inni chcieli pójść belki w sąsiedni las ciosać,

2410 ale zabrakło także Bartosza, coby za wszystkich o warunki się z żydem rozmówił. Jeden i drugi zaczęli mówić:
— O! źle nam bez starego! Taki co źle to źle.
— I taki nie godzi się, żebyśmy go w biedzie opuścili; wszak on nas każdego i nieraz ratował.

2415 — A jakbyśmy pomyśleli?

— Cóż my wymyślim?

— Czyżto już niewinnego poratować nie można?

— A gdybyśmy się złożyli? — dorzucił jeden pocichu.

— Tak! jakbyto było z czego!

2420 — Porzućcież! znajdzie się, aby wola tylko. Tu skórka lisia, tam kilka zajęczych, gdzieś może i łosia; u tego trochę masła, u drugiego niepotrzebne ciele. Żebyśmy chcieli, znalazłoby się posprzedawawszy z czego złożyć jaki grosz.

2425 Wielu wprawdzie niebardzo na to przystać chciało,

ale gdy się starsi na to zgodzili, drugim już było wstyd, i niejeden odwiązał z brudnego węzełka zachowany groszyk, z westchnieniem składając go do kupki.

2430 W chacie pana Marcina, niedaleko Bartoszowej budy położonej, zeszli się wszyscy w sobotę, i tam przy kieliszku (bo Marcinowi na to stało, kawał bowiem pola obrabiał, a syna miał, co mu służąc dworsko dopomagał potroszce) poczęli się naradzać, komu pójść do Pomocnika.

2435 I trzech starszych, a wymowniejszych i śmielszych, ofiarowało się do tej ciężkiej posługi.

— Wszystko dobrze — rzekł jeden po naradzie — ale jak starego da Bóg uwolnią a do domu wróci, da libóg nie wiem, co będzie.

2440 — A co ma być? — mruknął inny.

— Albo go nie znacie? O córce nie wie, a jak się dowie, nie zniesie tego lekko.

— Ba! albożto on pierwszy?

2445 — Nie chciałabym też być na miejscu Pawłowej! — mruknęła gospodyni.

— O! bieda jej będzie!

— At! wylazłszy z gorszego kłopotu...

2450 — Coto wy gorszem nazywacie? Pan Bóg wie, co gorsze! Niewinnemu nigdzie się nic nie stanie, a i tu sam Bóg nie poradzi na takie nieszczęście.

— Oj! prawda, pani Marcinowa! Ależ taki, gdyby stary powrócił, toby coś pomyślał.

— Córka oszalała; dwór pomaga, ale to nie na długo: potem przyjdzie golizna i nędza. — A!

2455 Zamilkli. Marcin pokiwał głową i węża pokręcił.

— Wszystko taki — rzekł — lepiej, żeby gospodarz był w domu.

— Tylko mu na razie nie mówcie o tem.

— Musi już wiedzieć.

2460 — Nie! nie! Któżby się zaś odważył z tem do niego przystąpić!

2465 Długo tak jeszcze gwarzyli budnicy, aż gdy wódki i zakąski nie stało, pobrawszy z kąta strzelby, bez których ruszyć się nie mogą, pocałowawszy się z gospodarzem, a żonę jego z kolei wszyscy w rękę, rozeszli się

umawiając, kto do miasteczka z Marcinem miał iść, o miejsce i godzinę.

2470 Nazajutrz rankiem, w borsuczych torbach, nowych łapciach i białych koszulach, ale bez strzelb, trzej wyślanicy śpieszyli do pana Pomocnika.

Na kraju lasu przyłączył się do nich przypadkowo idący czwarty (byłato niedziela), i tak gwarząc powoli pociągnęli ku mieścinie, której szary kościółek, białą cerkiew i czarne domostwa zdaleka widać było.

2475 Niełatwo to w dzień targowy dostać się do tak wysokiego urzędnika, jakim jest w miasteczku pan Pomocnik. Tysiąc interesowanych drzwi jego oblegają; i teraz właśnie tak było. Żydzi, szlachta, obywatele pomniejsi, wieśniacy ze skargami i pobojem, parochowie z pozdrowieniem: wszystko to napępniało dom, podwórze
2480 dworku, na którego czole wisząca tablica oznajmowała mieszkanie pana Pomocnika. Na baryerach, na ziemi, pod płotami, pełno było czekających ludzi, na ławach w ganku izraelici, u drzwi kupa żołnierzy odstawnych.

2485 Pomocnik tymczasem weselił się w gronie dobrych przyjaciół i szanownej połowicy, jak on równie wesołej w towarzystwie i lubiącej tę wesołość czerpać nie tak w sercu, które często bywa próżne, jak w butelce, która zawsze pełną być może, zwłaszcza gdy tylko o na-
2490 pełnienie jej okowitą chodzi.

Na kanapie odartej, wysiedzianej i kulawych krzesłkach, zasiadali dostojni goście, w których gronie pierwsze miejsce zajmował w nowiuteńkiej węgierce z kapszukiem u pętlicy, ekonom pana Jana. Rozmawia-
2495 no o różnych zajmujących przedmiotach, o umarłym nagle żołdacie, o zabitym żydzie, o skradzionych koniach. Wódeczka krążyła po raz trzeci czy czwarty przed kiełbasą, którą nareszcie, zadość czyniąc powszechnemu oczekiwaniu, wniósł na obitym półmisku służący
2500 w nowiusieńkich łapciach. Było pokojowiec gospodarza. Posiłkowała go w posłudze, rozdając szczupłą ilość krzywych widelców między gości, kucharka dziwnie brudna i utłuszczonej, której nogi nie w obuwiu narodowem, ale w podartych trzewikach pani, na boso włożonych,
2505 po podłodze szelepały. Goście rzucili się do kiełbasy, której pożarcie poprzedzone było jeszcze raz wódeczką.

Gospodarz bez ceremonii pierwszy sobieabrał na talerz, a potem ręką wskazał półmisek żonie i gościom. W ostatku żywili się sosem z cebulą i chlebem maczanym pisarz i kancelarya, składająca się z kosookiego, 2510 kulawego i łysiego mieszczańczuka.

Po śniadaniu i rozjechaniu się gości, których prosić na obiad zwyczajnie nie było, przystąpił usiadłszy na ławie w ganku Pomocnik z fajką do posłuchania przy- 2515 byłych z prośbami, skargami i t. d.

Przyszła wreszcie kolej na budników, którzy z nieśmiałością przystąpili do ławki, zajętej przez wysokiego urzędnika.

— No! a czego chcecie?

2520 — My tu panie przyszli za Bartoszem Młyńskim.

— Czego?

— Prosić za nim.

— Hm! a gdzież prośba? — I popatrzał na ręce.

Marcin wysunął się naprzód i całując w rękaw Pomocnika, wsunął mu prośbę. Ten ją z flegmą obejrzał, 2525 pokiwał głową i spytał dość łagodnie:

— A czegoż chcecie dla Bartosza?

— Ażeby Jasny Pan uwolnił go. On nic nie winien, zaświadcza wszyscy, że uczciwszego, chowaj Boże, 2530 człowieka u nas niema. Cały wiek nigdy go nawet o nic nie posądzono.

— Hm! hm! Ja to i sam wiem, że on może nie winien, ale co chcecie? Prawo grunt! Był oskarżony.

No! co ja temu winiem! Ja za wszystko odpowiadam.

2535 To niemałe dzieło. To dzieło! No, ale gadajcież, co byście chcieli?

— Niech Jasny Pan uwolni starego.

— Tak! uwolni! Tu prawo grunt! Uwolni! ba! Ja odpowiadam za niego przed gubernatorem! Wam się 2540 zdaje, że ja tu pan sam sobą, i że mogę, co chcę.

— A tak, JW Panie!

— A właśnie, że choć wiele mogę, bardzo wiele mogę, i prawie wszystko mogę, a jednak są takie rzeczy...

2545 Bo widzicie, wy tego ciemni ludzie nie rozumiecie, że tu zakon to dzieło!

Budnicy pokłonili się w milczeniu.

— I mógłbym uwolnić zresztą, jeśli zechcę, ale kto za niego ręczy?

— My wszyscy.

2550 — No! no! poczekajcież! namyślę się, namyślę. Pójdziecie do kancelaryi i pomówcie tam z moim sekretarzem...

Do wieczora przeciągnęły się starania; zmierzchem nareszcie wydany został rozkaz uwolnienia dwóch bu-
2555 dników, z tem jednak, żeby się na zapotrzebowanie stawali. Strzelbę Bartosza, zabraną w budzie, na ręce Marcina wydano.

XVI.

Pośpieszyli więc do więzienia budnicy, weseli i swobodni, że przecież raz skończyli to, co się im już nieskończonością wydawać poczynało. Bartosz jak zwykle
2560 leżał na słomie podparty na łokciu, gdy trzej wysłańcy przyszedli mu oznajmić uwolnienie jego.

— No, panie Bartłomieju — rzekł Marcin wesoło wchodząc — dzięki Bogu, jesteście wolni.

2565 Podniósł głowę.

— Ha? — spytał nie dowierając.

— Wstawajcie i chodźmy stąd; jesteście wolni.

— Doprawdy? — Zerwał się na nogi. — A! Bóg wam zapłać! — I wyciągnął rękę ku pierwszemu z brzegu.
2570 — Ha! ależ mi się zdaje, jakbym dziesiątek lat tu siedział. A Maciej?

— I Macieja uwolnili.

— Chwała Bogu!

W tej chwili wszedł i syn nieśmiało do izby,
2575 z krótką fajeczką w rękę, bo ta go już nie opuszczała ani na chwilę. Ojciec popatrzał na niego, łzy mu się zakręciły w oczach i cicho szepnął:

— Ciężka boża kara, ale sprawiedliwa! Dziej się wola Jego. — I silniejszym już głosem, odezwał się,
2580 nakładając torbę: — No! chodźmy.

— A Julusia? a Pawłowa? — spytał na progu. — Co to jest, że żadna z nich nie dowiadywała się o mnie? Julusia zwłaszcza, moje ulubione dziecko. Nigdy się strapienia od niej nie spodziewał.

2585 Budnicy zamilkli; w ich oczach wyczytał już stary łatwo jakiś przestрах i niepokój.

— Co się z niemi dzieje? spytał znowu.

— A co! poczekajcie! Ot pójdziemy się ogrzać do Icka nad most, to tam wam wszystko rozpowiemy.
2590 Jużciż nic tam, nic, nie frasujcie się.

To „nie frasujcie się“ zachmurzyło czoło Bartosza, poszedł milczący, i ani słowa nie odezwał się już, idąc przez miasteczko. W ulicy pociągnął całą piersią powietrza, spojrzął na niebo, na którym połyskiwać za-
2595 czynąły gwiazdy, otrząsał się i szerokim krokiem dognał wyprzedzających go towarzyszków.

W karczmie, na kraju miasteczka leżącej, w izdebce oddzielnej, bo pierwsza, wspólna wszystkim, zajęta była
2600 mnóstwem popitych wieśniaków, przysiedli na ławach budnicy. Kazano przynieść wódki, ale rozmowy nikt począć nie śmiał. Stary Bartosz ust nie otwierał; ci zaczęć go nie śmieli. Milcząc trącono w kieliszki z życzeniem: — Daj nam Boże dobre zdrowie. — Powoli, powoli, trunek w głowach zaszumiał, usta się otwie-
2605 rać poczęły.

— A co — rzekł Marcin — nie frasujcie-bo się, panie Bartoszu. Ba! czyto mnie was uczyć i napominać! Wy to lepiej znacie, jak sobie począć kiedy i jak biedę klepać. A ot, chwała Bogu, że jesteście wolni, to zresztą
2610 także rady sobie dacie.

Bartosz milczał, tylko czarne jego oczy spoczęły przez chwilę na Marcinie, jakby z niego prawdę, o którą pytać nie śmiał, dobyć chciały.

— Mów! — odezwał się sucho — no, mów! Nie
2615 obwijajcie mi, ja czuję już coś złego.

— Chodzi to po ludziach. Tak, musieliście już co i słyszeć?

— Mów! — silniej powtórzył Bartosz, chwytając go za rękę, którą jak żelazem uściskał. — Nie męcz mnie,
2620 Mów! Cóż? Umarła Julusia?

— Ale nie! ale nie! Tak tylko... widzicie chora trochę... chora, ale...

— Chora tylko! a! dzięki Bogu! — rzekł wolniej oddychając. — Tylko chora! no, to jeszcze nic! Tylko

2625 chora. .

Marcin, niezmiernie zakłopotany, nie wiedział już co mówić.

— Dawnoż chora? — spytał starzec.

— Ona chora, widzicie, i nie takto ona chora, bo...

2630 — Ależ mówcie mi wszystko! Jak dawno?

— A jak ze dworu wróciła, tak potem...

Starzec zerwał się z ławy.

— A! więc była i we dworze! poco? poco?

2635 — Albo ja wiem? Widzicie, to stara pani nasza zli-
towała się i wzięła ją była do garderoby; ale potem
że tęskniła, więc ją znowu z Pawłową do budy odesła-
li, i na budkach już jakoś zachorowała.

Bartosz wpatrywał się ciągle w oczy Marciniowi,
który je spuszczał jak winowajca i dłużał coś około
2640 torby, dławiał się i krztusił.

— Kłamiesz! — rzekł po chwili stary, znowu go
porywając za rękę. — Mów, na rany Chrystusa!

2645 — No! co mam cędzić po kropelce przez zęby! No
co? ot wiesz, to wiesz, a pocóż się pytasz? Ot bywał
panicz, bywał, i... i — zwaryowała.

Ale jeszcze tych słów dokończyć nie pośpieszył, gdy
Bartosz rzuciwszy rękę jego, popchnąwszy go tak sil-
nie, że Marcin aż się zatoczył, pochwycił z kąta strzel-
bę, uderzył całym sobą we drzwi i jak strzała wyrwał
2650 się z izby i karczmy.

Wszyscy wybiegli za nim, ale w pomroce nocnej
zniknął im zaraz z oczów. Marcin, Maciej i dwaj inni
budnicy, co najrychlej najawszy wóz u wieśniaka, po-
śpieszyli do chaty Bartosza, chcąc go jeśli można uprze-
2655 dzić, i upatrując, azali go gdzie nie spotkają po drodze.

Mnóstwo wieśniaków powracało z targu, pełen ich
był las, droga, grobla, i wśród tłumu ani podobna ro-
zeznać starca. Najpodobniej też do prawdy, wprost
przez lasy, bez drogi pójść musiał. W największej nie-
2660 spokojności dobili się już późno do Osikowego Ługu.

XVII.

Stara chata Bartosza, którą on własnymi niegdyś
sklecił rękoma, zmieniła się teraz bardzo, skutkiem czę-
stego w niej pobytu Jana i troskliwości jego i podko-
morzynej, która o niczem nie wiedząc, przez miłosierdzie

- 2665 tylko, starała się opisać jej nędzne schronienie podnieść, czyniąc o ile można wygodniejszym i schludniejszym. Przez nią przysłani cieśle dobudowali tu ganeczek do drzwi, drugą izbę z boku, część ścian otynkowano, wewnątrz oporzędzono, pobielono, dano podłogi,
- 2670 przywieziono sprzęty. Chwiejący się stół i ławy usuniono do alkierza, gdyż na ich miejsce dane były wcale porządne, wzięte z oficyn stoliki i krzesła; u okien nawet czerwone okiennice i białe firanki zawieszono przez Pawłową, były podziwem braci budników. Pawłowa dostała także we dworze jakichś doniczek, które ubrała okna, starając się może tymi dowodami dostatku i dobrego bytu, na przypadek powrotu Bartosza, trochę go rozbroić.

- Ale ona nie знаła go wcale; starzec uczciwą nędzę
- 2680 miał za najpiękniejszy żywot w świecie, którego by za żadną ozłoconą i przybraną misternie podłość nie mienił. Dla niego cierpienie było czemś podnoszącem człowieka; bo je nie inaczej pojmował, jak dopustem bożym dla dobra i poprawy ludzkiej. Nieraz dawniej,
- 2685 gdy Pawłowa narzekała nieustannie i kwiliła, odpowiadał jej surowo i spokojnie: — Dajcie pokój! widać tak nam sądzono!

- Nie wiem, czy kto zastanowił się nad głębokim znaczeniem tego pospolitego wyrażenia, Słowianom tylko właściwego: sądzono. Nie los więc ślepy, nie traf nierozumny, ale sąd sprawiedliwy ludziom wydziela, na co kto zasłużył. Jestto dowodem, że my nie wierzymy w przeznaczenie, ale w rozumny kierunek rzeczy ludzkich, że nie wierzymy w los, ale w Boga.

- 2695 Cicho było w chacie Bartosza, gdy Maciej, Marcin i dwaj inni budnicy, podjechali pod nią, nie śmiejąc już nawet wejść do dworku, którego powierzchowność coś nad mieszkanie budnika oznajmowała. Maciej pierwszy wygapił oczy na ganek i przybudówkę nową, wołając:
- 2700 — A to co? a to nie nasza chata! Zdaje się, ma być nasza, a jakby nie nasza. A ot i pieniek podle płotu, o którego bywało zawsze się zawadzę. A cóż tu ten dworek robi?

— Cyt! cyt! to to panowie wam pobudowali.

- 2705 — Za co?

- Budnicy zamilkli. We dworku było cicho, a w oknach jasno; tylko głos urywany, srebrzysty, dźwięczny, w przestankach mileczenia się odzywał, jakby pomieszany z płaczem. U płotu stał koń wierzchowy, kopiąc ziemię nogą.
- 2710 Budnicy zajrzeli przez szyby; ale tu osłonki nic im dopatrzeć nie dozwoliły. Weszli więc do sieni, zapukawszy wprzód do drzwi. Wewnątrz, na przypiecku siedziała Pawłowa paradnie strojna i drzemała u kądzieli. Dalej, od ogniska oświecona, pustą zdawała się
- 2715 izba, aż w samym dopiero kącie na ziemi leżała Julusia z rozpuszczonymi czarnymi włosami, które dokoła jak płaszcz spływały; wśród nich biała, blada jak marmur twarz jej i oczy płonące ogniem dzikim świeciły. Ręce miała załamane, a nogi podkurczone. Jak dziecię
- 2720 senne wahała się na wszystkie strony, milcząca, z chmurnem czołem, zwisała wargą, rozpiętą suknią i potarzanym włosiem; obok niej siedział Jan, podparty na rękę. Nie było już żwawy hulaka, jakimeśmy go widzieli niedawno: zbladły, smutny, gniewny, zdawał się bliżki
- 2725 tego szaleństwa, które z ust Julusi płynąc, sączyło się w mózg jego i serce. Ona mówiła pocichu przerywanym głosem:
- Jutro wesele, jutro! Wszystko gotowe we dworze, i jam gotowa. Tak, nic mi nie brakuje tylko wianeczka.
- 2730 A bez wianka ksiądz błogosławić nie zechce, pani matka wasza mnie odepchnie i ludzie śmiać się będą. Wianek powinien być koniecznie związany wstążką białą i kraśną. Biała wstążka to niewinność moja, a kraśna, to miłość, a zielone kwiatki, to moje nadzieje. Chodźmy, Jasień-
- 2735 ku, wiązać wianuszek na wesele; chodź, chodź!
- I schyliła się ku podłodze, jakby kwiaty brała.
- O dziu! dziwowisko! Co tu kwiecia! co tu kraśnego kwiecia! a co się po nie schylę, to mi od rąk ucieka. Pomóżbo mi. Ty stoisz jak trup! Aleś ty żywy. Daj
- 2740 mi rękę. O! ciepła jeszcze! Nie, nie, ty jeszcze żywy. Na te słowa weszli budnicy, a Jan zerwał się zawstydzony z ławy. Julusia odwróciła oczy ku drzwiom i szepnęła:
- Nie to! to swaty!
- 2745 Uśmiechnęła się, ale w tej chwili zobaczyła Macieja, który jej rzeczywistość przypomniał. Zerwała się, pod-

biegła szybko ku niemu i zaczęła krzyżeć w obłąkaniu, usiłując ukryć:

— Ratuście! ojciec! A! on mnie zabije!

2750 — Dalibóg, wszak ona oszalała! — zawołał Maciej, biorąc się za włosy. — Aj! aj! ze wszystkim się skręcili. Otóż tobie masz! Będą się tatulo tego gniewali!

Pawłowa przebudzona, nagle także obaczywszy Macieja, rzuciła się ku niemu niespokojna. — A co? za-
2755 wołała — puścili was?

— A! całuję rączki! puścili.

— A ojciec?

— Ojciec także wolny.

— Gdzież jest? idzie?

2760 — Musi-ć poszli na polowanie czy co, bo ze strzelbą — rzekł Maciej głupowato.

Wtem zbliżyli się i inni budnicy i zaczęli opowiadać, jak się to stało, że ich Bartosz porzucił nagle w miasteczku i uciekł, nie wiedząc dokąd. Pawłowa pobladała,
2765 obejrzała się po oknach, zachwiała, potarła ręką po czole i usiąść musiała, a raczej padła na przypiecek. Maciej tymczasem chodził po izbach i wszystko z ciekawością głupca oglądał, to siostrze obłąkanej, to sprzętom nowym się przypatrując. I corazto czego nowego
2770 dojrzawszy, uśmiechał się, weselił; naostatku wziął w rękę franki i spytał:

— Pani Pawłowa, z pozwoleniem, do czego te spodniczki? suszycie, czy co?

Ale nic mu nie odpowiedziano. Jan był uciekł
2775 w pierwszej chwili tylnymi drzwiami, a Julusia upadła w kącie, nagarniając na siebie włosy, suknie, stoły, ławy i co pochwycić mogła.

Pawłowa słabła ze strachu wielkiego.

— To on tu niechybnie przyjdzie w nocy i ze szczę-
2780 tem nas powybijają jak pszczoły! — rzekła łamiąc ręce. — A świadcę się wami, co ja temu winna? Ja głupiej dziewczynie ciągle mówiłam: — Ej, dajcie pokój, bo to się źle skończy. A cóż, kiedy mnie nie słuchali. Teraz, ja wien, wszystko spadnie na mnie. Tak to kiedy
2785 nieboszczyk mój potłukł się w tej nieszczęsnej karczmie, albo myślicie, ja tam byłam? A t a k i zawsze mnie ostatnia

bieda. Żeby tu było kogo zostawić, jabym do was poszła, panie Marcinie, póki pierwszy ogień minie.

Marcin nic nie odpowiedział.

2790 — Albo do was, panie Ignacy.

Ignacy milczał.

— Albo do was, panie Piotrze.

Piotr odwrócił się żwawo.

— Oj! żeby nie noc, uciekłabym choć do dworu.

2795 — Ale tu nie o was idzie, moja matko — rzekł Marcin — ale o córkę, z którą źle być może, jeśli Bartosz bardzo do serca weźmie.

— A co on waryatce zrobi?— zawoła stara.— Jej to lichu nie weźmie. A ja, jak Boga kocham, że ja nie-
2800 winna, pieniędzy nie brałam, zawsze ją przestrzegałam. A co ja mogłam poradzić? Jak sobie posłali, tak niech się wyśpią. Ja ją raz-wraz przestrzegałam: — Ej, ostrożnie, ej! będzie źle. — Ale to młode, a panicz taki i gwałtownik straszny... i głowa się dziecku zawróciła, i zwaryowało to. Ale Bartosz i słuchać nie zechce, ja go znam. Ej! jeśli Boga kochacie, przytulcie mnie który, przytulcie!

Budnicy milczeli.

— Ale bójże się Boga, pani Pawłowa — rzekł jeden
2810 nareszcie — a jakże wam to nieszczęśliwe, i tego, z pozwoleniem nie mówiąc złego słowa, głupca Macieja zostawić tak samych. Toćto nie do kogo należy. Oniż tak zostać sami nie mogą.

— A! zmiłujcież się, przynajmniej sami nie odchodźcie
2815 pod noc. Jakbyście wy byli tu, nie tylebym się bała i o siebie i o nią. Ot! zostańcie.

-- Z temże to my tu i przyszli.

— A! niechże wam Bóg płaci stokrotnie. Siadajcie, a zaraz i wódeczka i przekąska i coś na ząb włożyć
2820 się znajdzie.

Julusia leżała znowu w kącie po gwałtownym przestraszu jakby odrętwiała i uśpiona. Głowa jej spadła na podłogę, czarne włosy tylko służyły za wezgłowie. Otwarte miała oczy i usta, ale zdawała się nie oddychać, nie widzieć, nie słyszeć. Maciej stał nad nią i patrzył się zdumiony.

— To jakaś kiepska bardzo choroba! — mówił do

siebie. — Co też to za chroba? Święty Walanty czy co?
 Musi-ć Walanty! Pani Pawłowa, zawołał, a możeby Ju-
 2830 lusię podnieść i na łóżko położyć?

— Nie ruszać jej, nie ruszać — krzyknęli drudzy,
 wpatrując się zdaleka — tylko czem czarnem nakryć,
 to się uspokoi.

Pawłowa pobiegła, niewiele na to zważając, do al-
 2835 kierzka i poczęła z niego wynosić, co jej się nawinęło:
 począwszy od faszki z wódką, aż do wędzonej kiełbasy;
 ustawiła to wszystko na stole i zaczęła zapraszać. Sa-
 ma usiadła znów przy piecu i litując się nad sobą, płakała.

Budnicy nie dali się długo prosić; lud umie jeść
 2840 w strapieniu, we łzach, przy pogrzebie i narodzinach,
 w rozpacz i radości zarówno. Nigdy uczucie nie odej-
 muje mu głodu. Maciej jednym okiem na siostrę z po-
 litowaniem spoglądając, drugim upatrując co najlepsze
 kąski, częstował się, jak należało.

Pawłowej wśród szlochów gęba się nie zamykała,
 2845 bo i w głowie myśli latały, jak czarownice w sabat.

— Licho mnie tu wniosło, jak Pana Boga Kocham!
 Nie było mnie lepiej pójść na służbę, albo do dworu,
 gdzie ubogich radzi przytulają. Bartosz to taki stary
 2850 waryat, gotów i zastrzelić i zabić. Wszak taki mówią,
 że ze strzelbą poszedł. No! a co ja temu winna; dzie-
 wczyny na pasku nie trzymać. Już kiedy to bieda! Ku-
 mie! kumie! — odezwała się do Marcina. Marcin pełną
 mając gębę kiełbasy, przybliżył się do niej leniwie.

2855 — Radźcie mnie co tu począć? a to on mnie zastrzeli!

— I! może taki nie zastrzeli! Kto wie! może nie!
 Zresztą co tu radzić? Rada nie pomoże.

— Oj! bo wy tak Bartosza nie znacie jak ja.

— Hm! całeż my to życie prawie przesiedzieli
 2860 podle siebie.

— Otóż bo nic nie wiecie; my byliśmy wprzód na
 innych lasach, jeszcze u nieboszczyka łowczego, kiedy
 potaż palili. Lat to już temu garstka. Otóż wówczas...

— Tak! ale rychło się Bartosz stamtąd wyniósł
 2865 i już tu osiedział.

— No! ale posłuchajcie; co to było z młodych lat, to
 ja tylko wiem. I dlatego tak się boję. Choleryk straszny.

— Czegoż się tak boicie?

— Gorący człowiek, powiadam, choleryk! Wy to nie
2870 nie wiecie, jemu jak się co zamarzy, gotów na wszystko.

— Aby nie na złe, temu to nie uwierzę.

-- Otóż i nie na dobre. Już ja t a k i co wiem, to wiem.

Dość, że to jemu nie pierwszyna awanturę zrobić.
A potem mu i nieraz ciężko było w życiu i wzdychał
2875 i kawęczał; ale zrobionego nie odrobić. Co się stało,
odstać się nie może.

-- Ale cóżby się stało? spytał Marcin trochę ciekawy.

— A nie powiecie nikomu?

— A mnie to na co?

2880 — Otóż zmiłujcie się, tylko nie powtarzajcie. Ja przed
wami jak ojcem rodzonym. Jeszcześmy wówczas byli
w lasach pana łowczego i stary Bartosz i mój nie-
boszczyk razem. Nie wiecie bo, coto za człowiek był
mój nieboszczyk! Jużto prawda, że czasami labił z ludźmi
2885 uczciwymi podhulać, ta i podpić, ale co chcecie, t a k i
człowiek człowiekiem. Ależ za to sprytny, a do wszyst-
kiego, do czego chcesz, a przewąchał bestya, co się gdzie
świeciło i przez dziesiątą ścianę. Jakoś Bartosz z moim
nieboszczykiem mało nie jednolatki byli, obaj nieżonaci,
2890 bo mój t a k i mnie jeszcze i nie zaznał. Aż tu matczyńsko
im stare umiera, jakoś w późną jesień przed Wszystki-
mi Świętymi, to i gospodyni w domu nie stało. Nu,
już t a k i jednemu trzeba się koniecznie ożenić. Mój był
młodszy, o! i tęgi chłopak, jak Boga mego kocham.
2895 Ludzie poczęli im swatać nieboszczkę Bartoszową, mło-
dą i śliczną dziewczkę; krew z mlekiem, jagódkę, ale,
już była we dworze u nieboszczyka łowczego. Bartosz
z początku nie zechciał, kiwał głową i nie smakowało
mu coś, że to ze dworu zwyczajnie. A no jak zaczęli
2900 go namawiać, że dobra gospodyni, że uczciwa, a liczko
t a k i gładkie było, tak się nareszcie odważył, ta i ożenił.

— Ale cóżto straszego, pani Pawłowa?

— A no poczekaścieno! To dopiero początek. Jużto
że Bartoszowa była piękna, to prawda; bo i na mnie
2905 swego czasu ludzie mówili, że była niczego, ale tamta
to jak pani wyglądała. Więc że we dworze bywała,
języka w gębie nie zapomniała, a i w głowie się trochę
przewróciło, i t a k i Boże odpuść, nie kochała Bartosza,
a tak sobie za mąż poszła, że ludzie namówili. Świętą

2910 prawdę mówię, nie dodaję, Bóg świadkiem. Po weselu tedy, aż tu Bartosz coś zmarkotniał, jakby go kosa pod-
 ciął, a żonie zrobił się przykry okrutnie. Ta także so-
 bie po nosie jeździć nie dała: co on jej jedno, ona je-
 mu dwoje, i taki osą w oczy. Aż i ze wszystkim po-
 2915 pstrykali się, ta i gadać do siebie przestali. Mój już
 się wówczas o mnie starał, a taki był sprytny, że za-
 raz dowąchał się, że to się źle skończy. I mówi bywało
 do mnie: Salusiu (bo taki Salomea mam imię) obaczysz,
 że tu z tego coś wyrośnie lichego. A ja na to nic,
 2920 a on wiedział co mówił. Posłuchajcieżno tylko. Jeden
 drugi poczynają bąkać, że ze dworu jakiś gaszek do
 Bartoszewej udaje się, i jak bywało, nasi przy potażu
 dzień i w noc, ona tam gościa przyjmuje, ta i dobrze.
 Doszło to do uszu Bartosza. Ale on jakbyto nic, aż
 2925 jednej nocy znikł. No, niema, niema, myślą sobie, po-
 szedł. A on nocą zakradł się i czyhał. Nadjeżdża przy-
 jaciel Bartoszewej, on jemu nic, puszcza go do domu,
 a sam w sieni zakrada się. Kiedy już sobie we dwójkę
 na łóeczko siedli, ten wymierzywszy ze strzelby, a wzięw-
 2930 szy ich na cel, jak rznie, tak gachowi rękę tylko chwa-
 ła Bogu przebił, a łaska boża, żonie się nic nie stało.
 Potem jak skoczy do nich, żona omdlała, ten uciekł
 okno wybiwszy. Jakoś się to potem pogodzili, ale nie-
 boraczka z przestracchu zachorowała i nędzniała jeszcze
 2935 długo, aż po Macieju i umarła. Onto sam czuje, że jej
 śmierć przyśpieszył, choć nie darmo, bo taki dworka
 była i to jej też ponoś nie pierwszyna kochanie. Ale
 taki wszystko, za te głupstwo człowieka ze świata gła-
 dzić nie warto. Otóż widzicie, że ja się niedarmo boję;
 2940 bo trzeba wam wiedzieć, że on córkę strasznie kocha,
 a nie bez myśli on ze strzelbą od was uciekł.

Marcin się zadumał.

— Jaktó — spytał — a za to przebicie ręki dwora-
 kowi nie było sprawy?

2945 — Coto chcecie! to insze czasy były! A szlachcie
 i czuł, że niedarmo dostał i panu Bogu dziękował, że
 się na tem skończyło. Bo taki nie umarł z tego, tylko
 skaleczał. Chodzi biedaczysko do dziś dnia za jałmużną;
 a pewnie go znacie: Jeremiasz.

2950 — Jakże nie!

Przerwał rozmowę śmiech dziki, z którym przebudziła się Julusia z odrętwienia, w jakim leżała i powoli powstawać poczęła. Maciej pośpieszył do niej. Pawłowa i Marcin przystąpili także, a podniósłszy ją
2955 osłabłą z ziemi, położyli w alkierzu na łóżku.

Budnicy podjadłszy i zapiwszy wodą, pokładli się spać na ziemi, Maciej poszedł na znajome wyżki, prowadząc z sobą nieodstępne Burka swojego; Pawłowa tylko częstując Marcina, którego prosiła, aby z nią
2960 stał, trzęsła się ze strachu i krokiem od pieca ruszyła się nie śmiała.

XVIII.

Koguty piały już po północy, a wszyscy w chacie spali lub drzemali; łuczywo ciemno się dopalając trzaśkało na kominie, gdy szybki chód dał się słyszeć
2965 ko drzwi i sieni najprzód, potem izba otwarła się z kolei.

Pawłowa, która się była z płaczu zdrzemnęła, chwyciła się równemi nogami, postrzegła wchodzącego Bartosza i padła jak nieżywa na ziemię, wołając na głos:

— Nie zabijaj! nie zabijaj!

2970 Budnicy rozespani popodnosili głowy z postania, nie wiedząc, co się to stało.

Starzec wszedł, popatrzał i popychając nogą Pawłową, leżącą na ziemi, z niejakiem obłąkaniem zawołał ponuro:

2975 — Precz gadzino! precz stąd! niech cię oczy moje nie widzą! niech tu noga twoja nie postanie! Precz! uciekaj, lub...

Oslabły ze strachu Marcin, wypchnął natychmiast Pawłową za drzwi, obawiając się, jak mówił później,
2980 aby Bartosz nieszcześcia jakiego nie zrobił.

Obejrzał się wkoło budnik, potoczył oczyma krwią zaszłemi, westchnął i powolnie poszedł ku alkierzowi, wziawszy w rękę łuczywo z pieca.

Gdy na progu ukazała się postać jego, uspiona jeszcze Julusia wstrzęsła się, krzyknęła przeraźliwie i tułac się pod kołdrę, zawołała: — Ojciec! ojciec!

— Tak! tak! to ja, dziecko moje! — ze łkaniem łagodnie odezwał się starzec — to ja! nie lękaj się, biedna! Nie przyszedłem cię sądzić, ale pocieszać.

2990 — A! zabijesz mnie! zabijesz!

— Julusiu! opamiętaj się, to ja!

Dziecię krzychało coraz mocniej, stary płakał wielkimi łzami, które mu grochem spadały na brodę. Rzucił ogień, załamał ręce i usiadł przy jej łóżku. Powol-

2995 nie przyciągnął ku sobie jej głowę rozpaloną i ręce ostygłe.

— Dziecię moje, Julusiu; nie obawiaj się. Wiem wszystko, tyś nic nie winna! ludzie Bogu odpowiedzą za ciebie, za mnie.

— O! jam niewinna! — powtórzyła dziewczyna.

3000 — To ja! ojciec z tobą, nie zbójcy i nie łotry, ja kimi cię tu otoczyli bezemnie. A! nie ujdzie im to! Bóg świadek! O! nie przebaczę! Ale ty, tyś niewinna!

— Ojciec, ojciec! — odezwała się cichszym i spokojniejszym głosem — wy mnie nie zabijecie, jakeście za-

3005 bili matkę!

Starzec krzyknął boleśnie i ukląkł przy łożu.

— Boże! — zawołał — sroga kara Twoja. Za brak miłosierdzia i przebaczenia, Tyś mnie i dziecku nie przebaczył, Tyś litości nie miał nad nami. Bądź wola Two-

3010 ja! — Julusiu, chodź ze mną, pojedziemy stąd daleko. Ja cię poprowadzę, a jeśli iść nie podołasz, poniosę, ale iść nam stąd potrzeba! To miejsce hańby.

Na te słowa, wyrzeczone prawie z czułością, z błaganiem i prośbą, dziewczyna powstała jakby ze snu, odgarnęła czarne swe włosy, i strumieniem dawno nieznanymi łzami, bo płakała suchymi dotąd oczyma, oblała powrót chwilowy do przytomności. Twarz swoją skryła w załamanych rękach.

3020 — Chodź! chodź! dach to nie nasz! ziemia obca, cały dom skalany ich obrzydłymi podarkami! wszystko zmienione, cudze. Ustroili nas na świadectwo naszej hańby. Nie! ani chwili tu dłużej, chodźmy!

Julusia powstała nagle i jakby oprzytomniona powtórzyła: — Chodźmy.

3025 Wychodząc chciała wziąć na siebie nowe odzienie, ale stary precz je odrzucił i nogami podeptał, a zdzierając z siebie sukmanę, okrył nią drżące dziecko.

— To moje, — rzekł — i czyste! Nic niema na tem prócz łez. Nic stąd nie weźmiem, prócz iskry z mojego

3030 ogniska — nic!

I wyszedł z nią na próg pierwszej izby, w której rozbudzony Maciej i budnicy stali przypatrując się, słuchając i niespełna, co się działo, rozumiejąc.

Dziewczyna ledwie się na nogach utrzymać mogąc,
3035 chwiała, słaniała, a szła za ojcem. Ten wziął głównię z ogniska i wyszedł milczący za próg. Wszyscy za nim na podwórze.

Tu opuścił na chwilę rękę córki i zatykając żar w słomianą strzechę świeżo poszytej szopki, co obok
3040 stała, rzekł do Julusi: — Czekaj, niech oczy napasę pożarem!

Wiatr wkrótce rozdał płomień na dach i posunął go na suche dranice domostwa.

W milczeniu zgrozy, podziwienia, przestachu, budnicy niezrozumiale coś między sobą szeptali, nie wiedząc co począć. Maciej tylko głośnawo mówił do siebie:

— Ale jakże się ślicznie pali! Ot! ot i chata! Taki się spali! Dalibóg się spali, a tam i kiełbasy są.

Na wzgórzu stojąc, oświecony ogniem pożaru, z długą
3050 gą brodą, w jednej szarej koszuli, ze strzelbą na ramieniu, starzec poglądał na płonące domostwo, ale suchem okiem. Julusia osłabiona zsunęła się na ziemię, a w jej wejrzeniu znać było błysk powracającej przytomności. Niekiedy wlepiła źrenice w ogień, to znów
3055 w ziemię wilgotną, na której spoczęła.

Rozdęty wichrem pożar, rozległ się na dachu i zaglądał wewnątrz; w oborze ryczało bydło i rwały się bcząc kozy, do których dym już zachodził. Czerwone blaski oświecały dolinę i las cały; ptastwo na gałęziach
3060 budziło się i świergotało.

Tymczasem i wczesny dzień letni blade zarysowywał się na wschodzie. Starzec, gdy pewien był, że domostwa ludzie uratować nie potrafią, bo całe płomienie objęły, pochwyił rękę córki i nie oglądając się nawet
3065 na syna, poszedł w las wielkim krokiem. Maciej poskrobał się tylko w głowę, ruszył ramionami i machinalnie pociągnął za ojcem; Burek za Maciejem.

Budnicy zostali milczący i osłupieni.

XIX.

We dworze było spokojnie. Jan powrócił nocą i rzu-
 3070 cił się na łóżko, odprawiając sługi. Ale sen odbiegł od
 niego daleko; rzucał się, kręcił, pił wodę i wino sto-
 jące przy łóżku — napróżno. Coraz go większa trawiła
 gorączka, większy nim miotał niepokój. Czego? nie wie-
 dział. Sto razy powtarzał sobie: Cóż mnie ta dziewczy-
 3075 na ma obchodzić? Albożto pierwsza? Albożto tak wielka
 zbrodnia? Dam im, co zechcą: nagrodzę, jobdarzę, zapłacę.

A w sercu czuł przecie, że zapłacić nie był w sta-
 nie, że nienagrodzonego nagrodzić nie mógł, a na du-
 szy wiecznie mu kamieniem występki ciężać będzie.

3080 — Głupstwo! — powtarzał — głupstwo!

A przecież ani usnąć, ani się uspokoić nie mógł. —
 Oszalała! małoż szalonych na świecie? Cóżem ja temu
 winien? Lekarz mówi, że miała usposobienie. Tak jest,
 jam nie winien, usposobienie winno. Albożem chciał
 3085 tego? A i to nawet przejdzie! to przejdzie!.. Mogłaż
 ona myśleć, że ją pokocham, tak, że się wreszcie
 ożenię? Cha! cha! szaleństwo! Ja z nią! — I śmiał
 się sucho, straszliwie błyskając oczyma.

— Co mi tam! co mi tam!

3090 Zaledwie się położył, ktoś do drzwi zapukał; wszedł
 służący.

— Panie!

— Czego chcesz i poco wchodzisz?

— Jakaś kobieta, Pawłowa.

3095 — Czego chce Pawłowa?

— Nie wiem, panie.

— Zawołaj ją tutaj.

Stara wpadła drżąca i zapłakana.

— Ach! nieszczęście! paniczu, nieszczęście!

3100 — Cóż się wam stało?

— Bartosz powrócił.

— I cóż z tego?

— A! i mnie wypędził i chatę zapalił, a sam z córką
 uszedł gdzieś w las.

3105 — Z córką? w las? — powtórzył nieprzytomnie
 Jan. — No to cóż? niech idą sobie z Bogiem!

— Gdzież ja się nieszczęśliwa podzieję!

- Dadzą ci ką! — skinął ręką.
 — Paniczu, bój się Boga! — zawołała wychodząc
 3110 Pawłowa — nie żartuj a strzeż się, on ci gotów co
 złego zrobić!
 — On? mnie!
 I Jan rozśmiał się, ruszając ramionami z dumą,
 pogardą i gniewem.
- 3115 W tydzień potem znowu zgraja była we dworze,
 znów hulanka u pana Jana i przyjaciół huk, bo ci na
 zawołanie, tylko świsnąć jak na psy. Znowu konie ska-
 cza, znów szczekają wyżyły i gończe, butelki strzelają,
 panowie się śmieją.
- 3120 Wśród tych gości wesołych, on chmurny, choć się
 żywo obraca, choć mile mówi, głośno się śmieje, zachę-
 ca do hulanki, podsuwa kieliszki i wyzywa opowiadania
 obnażone a bezwstydne. Często w pół żartu wyrwie mu
 się westchnienie, potoczy dokoła oczyma, jakby się cze-
 3125 go spodziewał albo lękał: zamilknie, siądzie i zamyśli się.
 — Coto u licha Jasiowi? — dopytują się przyjaciele.
 — A kat go wie! niezdrów może.
 — On? daj Boże, aby moje konie takie zdrowe jak
 on były.
- 3130 — To ta dziewczyna, o której mówią, że z miłości
 dla niego oszalała, niepokoić go musi. Wszak o niej
 wiecie; ja ją widziałem, śliczna!
 — Oszalała! Patrzcie! Ale boto on czasem zadaleko
 posuwa żarty. Wiecie, mnie raz poszczuł chartami.
- 3135 — Myślał, żeś lis i niewiele się omylił.
 — Ogona mu tylko braknie.
 — No! no! dość tego! Wyż mnie prześladujecie,
 o Arystydesy!
 — Co za erudycya!
- 3140 — Patrzcieno, jak Jan dziko spogląda, to nie jest
 wzrok jego zwykły.
 Jan się zbliżył, umilkli.
 — A co? na polowanie? — odezwali się niektórzy.
 — Checcie? jedźmy!
- 3145 — Jedźmy — rzekł Jan — każę wam konie posio-
 dłać, psy posmyczyć i z chartami.
 — Cóż? po zasiewach?

— Co wam do tego! znajdę obłogi, a pójdzie zając w żyto, no, to i my za nim.

3150 — Szalony!

— Co wam do tego!

Wydano natychmiast rozkazy, gdy służąca pani podkomorzynej, która już dowiedziała się o polowaniu, przyszła od swojej pani przypomnieć, że to było święto

3155 uroczyste.

— Ale dajże mi pokój, Nastusiu!

— Pani sama prosi pana!

Jan zamyślił się trochę, i gdy przyjaciele przyjmowali Nastusie, otaczając ją kółkiem, on pobiegł do matki.

3160 Naprzeciw nadchodzącego syna, który rzadkim był u niej gościem, podkomorzyna wyszła aż do sieni, i całując go w głowę: — Moje drogie dziecko, czy też to prawda, że macie jechać na polowanie? Wszakcito uroczyste u nas święto.

3165 — Kochana mamó, już po obiedzie.

— Jeśli chcecie koniecznie, czemużby nie jutro?

— Dla mnie dziś, jutro, to wszystko jedno, ale moi panowie gwałtem się dziś napierają.

3170 — No! to Bóg z nimi, niechaj sobie jada, daj im konie i psy, a sam zostań. Przyszedłbyś do matki, posiedzielibyśmy choć godzinkę razem, ja cię tak rzadko widuję!

— Moja mamó, ale toby było niegrzecznie.

Matka umilkła.

3175 — A przytem — dodała uśmiechając się panna Tekla — wszak dziś wedle łacińskiego kalendarza nie jest święto.

Podkomorzyna nic nie powiedziała.

— Kiedy tak koniecznie chcecie...

— O ja! nic a nic! przejadę się tylko, głowa mnie trochę boli.

3180 — A widzisz, moje biedne dziecię, możeby ci kolońskiej wódki, aloby ogrzanie pomogło.

— Nie! nie! świeże powietrze, ruch! Dziękuję mamie.

I pocałował ją w rękę, matka go w czoło i jak była zwykła, pobłogosławiła krzyżykiem. Jemu nie wie-
3185 dzieć czemu łyż się zakreśliły w oczach, uściśnął rękę drżącą staruszki i zniknął.

W dziedzińcu stały już konie, psy się rwały, a panicze ujeżdżali swe wierzchowce, kręcąc w kółko po murawie.

Jeden z nich krzyzącą Nastusię galopem obwodził
 3190 po podwórzu. Podano Jasiowi karego, on skoczył nań,
 zażył ostro, i po przedzie całej bandy wypuścił, co się
 stało, gdzie oczy poniosły.

Podkomorzyna stała w oknie, żegnała długo i po-
 wtarzała do panny Tekli: — Byleby się mojemu ro-
 3195 baczkowi co nie stało!

Wyprzedzając się, wrzeszcząc, zacinając konie, prze-
 skakując rowy i płoty, młodzież leciała w pola, a po-
 lami ku lasom, brzegiem których stanąć miano, dla
 rozpoczęcia polowania, zastępując uciekającej zwierzynię
 3200 od boru, do któregoby się schronić mogła.

Tylko co Jaś i towarzysze rozstawiać się poczęli,
 gdy Jan, który pozostał sam jeden, oczekując na opóź-
 nionych, usłyszał szelest w pobliskich krzakach.

O trzy kroki od niego, z zaognionemi oczyma stał
 3205 Bartosz i trzymał go na celu.

— Nie rusz się, bo śmierć przyspieszysz sobie — za-
 wołał szydersko. — No! przeżegnaj się i módl, daję
 ci chwilę, póki tamci nie nadjadą.

Jan pobladł, zatrząsł się, dreszcz przebiegł po nim;
 3210 domyślił się, kto stał przed nim. Nadto był dumny, że-
 by wobec śmierci nawet bojaźń pokazać; machinalnie
 szukał broni, ale jej nie miał.

— No! poleć duszę Bogu, jeśli ją masz, a śpiesz się.

— Czego chcesz?

3215 — Ja? twojej krwi!

— Za co?

— Nie wiesz! Na zmycie plamy, którą ponoszę, na
 nasycenie pragnienia, które mnie pali. Tyś mi odebrał
 córkę, ja tobie życie.

3220 — Córkę? jam ci jej nie odebrał!

— Tak! tylkoś mi ją zostawił zhańbioną.

— Ja nagrodzę.

— Ożeniłbyś się? — Stary się rozśmiał okropnie.

Jan milczał.

3225 — Co chcesz? — spytał.

— Twojej krwi! módl się, nie mam czasu! twoi
 nadjeżdżają! — W tej chwili strzał rozległ się głośny
 i blisko stojący już panicz zawołał:

— A to co za głupiec strzelił?

3230 Obejrzał się i zdrętwiał.

Obłoczek sinego dymu unosił się o kilkadziesiąt kroków od niego nad miejscem, gdzie stał Jan. Kary wierzchowiec swobodnie leciał zadarłszy ogona, wierzgając, po polu skacząc. Na roli leżał Jan z rozdartą
 3235 wystrzałem piersią, a krew buchała mu otwartymi ustami; obłąkane oczy niebieskie zataczał wkoło, a ręką bezsilną chwytął się coraz ku sercu.

W chwili wszyscy go otaczali.

— Co to jest? co to się stało? — pytali jeden drugiego.
 3240 Nikt odpowiedzieć nie umiał.

— Do domu! do matki! — słabym głosem rzekł postrzelony. — Nie szukajcie winnego, ja sam winienem, to przypadek.

— Ależ nie miałeś strzelby z sobą?

3245 — Owszem, miałem; nieście mnie prędzej! prędzej!

Wzięto natychmiast Jana na zielono z gałęzi nosze i powolnie szalony orszak, co dopiero ze śmiechem i swawolą przez wieś leciał, powracał ze spuszczoną głową i chmurnem czołem do domu, wiodąc za sobą śmierć.

3250 Podkomorzyna z panną Teklą nieszczęściem wyszły były na przechadzkę właśnie w tę stronę, z której Jan omdlały, krew lejąc po drodze, powracał.

Pierwsze oko matki ujrzało niepojęte w początku skupienie młodzieży, wracającej pieszo i tłumnie a tak
 3255 rychło do dworu.

Serce matki zabiło. Mimo wieku i osłabienia podbiegła żywo, i bez przygotowania niespodzianie trafiła na widok, który ją przytomności pozbawił. Padła omdlała, obejmując rękami nawpół tylko żywego syna.

3260 Nikt nie pytał, nikt nie tłumaczył, co się stało. Ludzie otrzeźwiwszy nieco mdlejącą bezustannie, ponieśli ją na rękach do domu. Wszyscy śludzy pośpieszyli po lekarzy do miasteczka, ale krew, obficie wylewająca się ustami postrzelonego, dla nieświadomych zdawała się niechybną blizkiej śmierci oznaką. Droga, którą
 3265 niesiono Jana, dziedziniec, łożo, pokój, młodą tą krwią, tak marnie przelaną, zbroczone były. Podkomorzyna leżała w gorączce i spazmach.

Większa część przyjaciół przestraszonych, lękając
 3270 się odpowiedzialności, zapytań, dochodzeń urzędowych,

natychmiast niby po lekarzy powynosiła się cichaczem. Dwóch tylko czy trzech odważniejszych pozostało.

Nocą dopiero nadjechał lekarz i ranę zaledwie wśród powszechnego popłochu obandażowaną opatrzył nanowo.
3275 Jan strzelony był o cal wyżej serca, a kula przeszła piersi na wylot i wyszła ponad lewą łopatką.

— Czy będzie żył? czy wyżyje? — pytali słudzy, dworacy, oficjaliści.

Lekarz choć głową pokręcał, ale nadziei nie tracił,
3280 nic ani tak, ani owak nie mówiąc. Co było koni, roz- zesłano po innych doktorów. Tymczasem ekonom, rządcą, pisarze i cała zgraja sług, o sobie pamiętając, na wszelki przypadek oczyszczała śpichlerze, magazyny, stodoły i wywoziła, ze dworu, co tylko dało się pochwycić
3285 wśród zamieszania.

— A coto ja mam być gorszy od drugich — mówił ulubiony sługa Jana, pakując co lepszego z pańskiej garderoby i przeglądając szkatułki. — Czemu to ja nie mam się pożywić, kiedy wszyscy biorą?

3290 Wśród powszechnego rabunku, ledwie kto pozostał, coby przy łożu pani i syna chciał siedzieć. Jak wszędzie, ubożsi tylko i biedniejsi wiernymi byli nieszczęściu.

Oslabiona, przerażona podkomorzyna w nocy znalazła siły, żeby się zwlec z łóżka do syna. Rozpytywała otaczających go, co było przyczyną tak strasznego wypadku; ale nikt odpowiedzieć nie chciał, i nikt też
3295 dokładnie nie wiedział. Jedni utrzymywali, że strzelba czy pistolet, który Jan zawieszony miał na sznurze, targnięty w pędzie wystrzelił, drudzy, że jakiś nieznamy człowiek z lasu wyszedłszy, stanął naprzeciw Jana,
3300 powiedział do niego słów kilka, jakby mu coś wyrzucił, zmierzył w piersi i wystrzelił.

Wyrazy wszakże Jana, który w pierwszej chwili wołał: „To przypadek, nikogo nie szukajcie!“ najmocniej
3305 dowodzić się zdawały, że baśń o owym człowieku była skleconą tylko.

— Któżby śmiał? ktoby mógł? — mówiła podkomorzyna — strzelić do tego anioła dobroci! Komu on zrobił co złego? mógłże mieć nieprzyjaciół?

3310 Matka, która ani rodzaju życia, ani nawet najpospo-

litszych codziennych czynności rozpieszczonego dziecka nie znała, pojąc takiej zemsty nad niem nie mogła.

Między ludźmi po cichu wieść się rozchodziła, że Bartosz, ojciec Julusi, strzelił do pana Jana. Dojeżdżacz, 3315 który stał nieopodal, zaklinał się, że go widział doskonale, słyszał nawet, że coś wprzód mówił, ale zrozumieć nie mógł. Matce nic o nim nie wspomniano. Rządca tylko natychmiast nakazał obławę w lasach i sam z kilkunastą ludźmi polecał ścigać budnika.

XX.

3320 Był wieczór późny, a po lesie rozlegały się hukania i rozświecały łuny zapalonych na pobrzeżu ognia. Bór dokoła opasywano strażami, które do dnia białego wartować miały. W dalekim ostępie, na zielonej łące, którą otaczały gąszcze nieprzebyte, wznosiło się 3325 wzgórze piaszczyste, porośnię suchą trawą, mchami srebrzystymi, posiane igłami otaczających kilku sosen. Gdzieniedzie żółta, biała lub różowa nieśmiertelniczka podnosiła główkę bez życia, na tej darni martwej jak ona.

3330 W podnóża wzgórzka, pod starą sosną palił się pień wyrabany, w który nagromadzono smolnego łuczywa, — kopcając więcej niż oświecając i grzejąc.

W zwieszonych ku ziemi gałęziach drzewa upleciony był szałas, przykryty poucinaną świeżo leszczyną, 3335 dębina, osiczyną i wonnymi warkoczami brzozy. U samego wniścia szałasu błyszczała trocha rozpalonego ognia. Opodal od niego siedział zadumany, z odkrytą głową, ze strzelbą nienabitą, obok na ziemi leżącą, Bartosz, budnik, wpatrując się w ogień temi oczyma, które skierowane na jeden przedmiot, nie chcą zniżyć z nie- 3340 go, bo już niczego na świecie nie szukają.

Przed nim, na gałęziach i rozesłanej świcie, biała martwe ciało umarłej Julusi, której twarz blada w czarnym warkoczach włosów wydawała się jakby chustą pokryta. Przymknięte miała powieki, zawarte usta sine, a o- 3345 statnim znakiem niedawno ubiegłego życia było kilka kwiatów uczepionych na skroni. Obłąkanie tylko mogło ją tak ustroić w godzinę śmierci.

Z drugiej strony umarłej, siedział Maciej, który

strugał nożykiem łuczywo i do ognia przyrzuczał. Z nie-
 3350 jakim strachem poglądał na martwe ciało siostry, to
 znów na zdrętwiałego ojca, który łyzy nie ronił i słowa
 nie rzekł.

Choć dosyć daleko stały zwołane obławy, huk ich
 aż tutaj dochodził, głosy aż tu dolatywały. Lecz prócz
 3355 Macieja nikt ich nie słyszał.

— Słyszycie, tatulu! — zcicha ośmielał się niekie-
 kiedy wybąknąć syn, a Burek też piszczał lub zaczy-
 nał wyć smutnie; ale jedno spojrzenie Bartosza zamy-
 kało usta synowi i pies, podtuliwszy ogona, uchodził
 3360 skryć się w kątek za gałęzie.

— Co to będzie! co to będzie! — mruczał Maciej. —
 Jeśli ja wiem, co to będzie, niech mnie kaduk porwie.
 Siostra umarła, ojciec gdyby słup nieprzymierzając, cha-
 ta spalona. Ciekawości! ciekawości!

3365 Wilcy zaczęli wyć w oddaleniu.

— Ot i to potrzebne — mruczał Maciej ruszając
 ramionami. — A ten Burek taki głupi swoim wyciem
 gotów ich nam tu naprowadzić. — I syknął na psa.

Stary tymczasem rzucił się na kolana i modlił się,
 3370 a modląc rozplakał i upadł na ziemię twarzą.

— Ot i tatulowi coś — rzekł Maciej. — Tylko ja,
 co się podobno zostaną; ta i Burek, jeśli nas wilcy
 nie pojedzą.

Bartosz nareszcie podniósł łysą głowę, zwalaną pia-
 3375 skiem i ziemią, i zawołał:

— Módl się! Czyż i u grobu siostry, ani ci co
 w sercu zabije, ani łyza nie przyjdzie? A, Boże!

Maciej posłuszny rzucił nóż, którym strugał łuczy-
 wo, i pokłakł, przeżegnał się bez omyłki i głośno jak
 3380 dziecko począł bez zająknięcia pacierze odmawiać, a
 skończywszy wszystkie, ile ich umiał, przeżegnał się
 znowu i wstał.

— Już! — rzekł do ojca.

Ten ściągnął się tylko z ziemi podpierając ręką.
 3385 — Do roboty! — rzekł. Widzisz, że leży bez trumny,
 zrobim jej trumnę choć z dranic, niech nie wala się
 biedne dziecko bez pogrzebu. Do siekiery!

Straszno było patrzeć na tego starca, który podwa-
 jając siły z rozpaczą i gorączkowym pośpiechem, ciał

3390 drzewo potężnie i odrzucał ogromne trzaski. Sam on miarę wziął na ciało córki, sam kierował robotą trumny, która w kilka godzin mizernie skleconą została. Ukłakł starzec, wyścielając ją mchem i nieśmiertelnikami, a potem napozór obojętny, postąpił ku ciału córki.
3395 Ale tu znowu boleść nim owładła niepokonana, padł na jej ciało i płakał.

— Dziecko moje! dziecko moje!. — mówił głosem przerywanym łkaniem — takiżto ja dzień w mej starej głowie marzyłem dla ciebie! Myślałemże kiedy, że ci
3400 zbójca w lesie z kradzonego drzewa trumienkę ciosać będzie i na nieświęconej ziemi, krwią zmazanemi rękoma, zwiędłą zawczasu i obłąkaną nawet w godzinę śmierci — pogrzebie! O mój Boże! jedno chowam, a drugie!
3405 dziecko drogie, przynajmniej cię teraz ręce cudze nie dotkną; ja sam złożę cię na wieczny spoczynek, jak ty ojca położył i powieki mu zasypać miałaś. Zadługo żyłem, zadługo!

I na silne wzięwszy ją ręce, podniósł z ziemi. Na-
3410 ówczas czarny jej warkocz ogromny rozsypał się aż na darń, i kwiatki z niego się posypały. Ojciec ukłakł i pozbiierał je do jednego. Maciej patrzył z otwartą gębą i trochę się krzywił; zdawało mu się, że zapłacze, ale na to zebrać się nie mógł.

3415 I znowu podniósł ją ojciec, a powolnie stąpając, złożył ostrożnie w ubogiej trumience. Tu jak matka do snu w kolebce układa dziecię, ułożył jej na krzyż ręce, głowę na czarnym warkoczku i pokrył, zrywając z siebie, czem tylko mógł, jakby ją od chłodu osłaniał jeszcze.
3420 Potem pocałował w czoło, i z ojca znów stał się grabarzem. Klęcząc zabił ćwieki drewniane trumienki, i szpary gęsto, starannie, suchym mchem pozaciskał.

Skończywszy, wyszukał drzewo, które obciosał nakształt rydła, i skinał na Macieja.

3425 Domyślił się i on przecie, że dół kopać było potrzeba. Przy słabym płomyku dogorywających łuczyw, starzec żywo jakby pośpieszał, oglądając się na wschodnią stronę nieba, odrzucał żółty piasek; obok syn czynił to samo, ale powoli i niezgrabnie. Burek siedział przy
3430 trumience i wył żałośnie.

Na dzień się zabierało, gdy grób był gotowy. I spuścili ją powolnie w nieznaną mogiłę, a ojciec pierwszy posypał senne oczy biednej dziewczyny garścią żółtego piasku.

3435 I sypali mogiłę, sypali, aż rozwidniało i rozedniało, a dzień był jasny na niebie i luk postępującej obławy zewsząd słyszeć się dawał, gdy Bartosz, wyciosawszy krzyżyk, wkopał go w głowach Julusi.

3440 Maciej upadł na ziemię zmęczony. Starzec pochylił się tylko na grób i nieruchomy pozostał.

A ptaki świergotały na drzewach i wiatr chłodny, orzeźwiający, powiewał i słońce podnosiło się jasne, rozpromienione, wesołe.

3445 W parę godzin obława schwytała starca i syna, leżących jeszcze u mogiły Julusi. Maciej był usnął.

3450 Bartosz dał się związać, zabrać i prowadzić w milczeniu; powiedział tylko kilka słów do rządcy, aby Macieja wypuścił, przyznając się od razu do całej winy. Jakoż nie wiązano nawet syna, którego znano z tchórzliwego charakteru i ograniczonej głowy. Ojciec odwrócił się parę razy za nim, sądząc, że pozostanie w lesie, ale instynktem jakimś Maciej razem z Burkiem, powłókł się krok w krok za prowadzonym Bartoszem.

XXI.

3455 We dworze kilku lekarzy otaczali łożę pana Jana i jego matki; ona także znów w gorączce i bezprzytomna leżała. Syn postrzelony, chociaż kula przeszła mu po nad sercem, nie był raniony śmiertelnie. Pomimo niebezpieczeństwa, mógł wyżyć i znieść ten postrzał, który o cal tylko niżej byłby go trupem położył.

3460 Ale napróżno pocieszano tem matkę, która zrozumieć nawet, co jej mówiono, nie mogła. Musiano wrzście przenieść ją w lektyce do syna, aby go sama siedzącego zobaczyła i żywego; dopiero tym środkiem zdolano powrócić jej przytomność i zdrowie. Wprzód bo-
3465 wiem wierzyć nie chciała, że żyje.

Ale wzruszenie wielkie wstrzęsło do reszty słabym umysłem i osłabiło ją nadzwyczajnie; zestarzała nagle i straszliwie, zgrzybiała w dni kilka. Najmniejszy szelst, śmiech, odgłos, uderzenie drzwiami, hałas w do-

3470 mu, przerażały ją i nabawiały milczącym strachem. Drżała przed każdą nieznaną twarzą, a choć dotąd nie wiedziała, kto do jej syna strzelił, jakiś instynkt macierzyński kazał się jej wszystkich obcych obawiać.

Jan także innym powstał z tej choroby człowiekiem; 3475 z krwią wylaną z młodej piersi, którą opłacił szaty młodości i występki swój, ubiegło zeń wiele złego. Pierwszem staraniem, gdy przyszedł do siebie, było uwolnić od wszelkiego prześladowania Bartosza. Z trudnością 3480 to wprawdzie przyszło, ale że Jan żył i sam się o to starał, dokazano, że budnik oswobodzony został, wymagano tylko, aby się z tych stron oddalił. Jan hojnie opatrzyć chciał potrzeby starca, ale ten ze wzgardą i gniewem ofiarę odepchnął. Rozsypane pieniądze po izbie zebrałi świadkowie, a stary wziął tylko swoją strzelbę 3485 z kąta, i wyszedł, słowa nie rzekłszy. Maciej i Burek pociągnęli za nim.

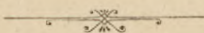
Nim liście z drzew opadły na mogiłę Julusi, znaleziono budnika skrzepłego na żółtym usypie, obok krzyżyka, który oznaczał grób córki.

3490 Maciej i Burek siedzieli poniżej, jeden plótł łapcie, drugi kawał suchego chleba ogryzał.

We dworze? — spytacie jeszcze.

Wiele się tam, choć powoli, zmieniło. Niema już hucznych jak przedtem zabaw, ani szalonej młodzieży, 3495 ani rozpasanych przyjaciół. Jan podstarzał i siedzi przy matce, której dwór oprócz panny Tekli zupełnie nowy. Macieja zrobiono leśniczym, a Burek dotąd się za nim włóczy, i często mógłby sprawiedliwie użalać się na niewdzięczność swego pana, gdyby psy nie były daleko 3500 pocziwsze od ludzi, a nadewszystko cierpliwsze!

Prawda, że też to psy tylko!



Objaśnienia.

- w. 33. Młynów, Torczyn — miejscowości na Wołyniu w pow. łuckim; pierwsza nad Ikwą, druga nad Stawgą.
- w. 36. „wydana próba“ — mowa tu o ogłoszonych przez Kraszewskiego w r. 1840 „Wspomieniach Wołynia, Polesia i Litwy“ (2 tomy). Za tym przykładem poszli: Aleksander hr. Przewdziecki (Wspomnienia Podola), ks. Ludwik Jucewicz (Wspomnienia Żmudzi), Edward hr. Raczyński (Wspomnienia Wielkopolski).
- w. 50. Polesiem wołyńskim nazywa się północna część gub. wołyńskiej, będąca równiną płaską, błotnistą, pokrytą lasami (głównie sosnowymi) lub też wysoką trzcina i sitowiem. Mnóstwo tu ptactwa i dzikiego zwierza (niedźwiedzie, wilki, łosie, dziki, borsuki itd).
- w. 67. „ruczaj“ — strumień, potok.
- w. 79. „klepki“ — deszczułki, z których się robią beczki, cebry i tym podobne sprzęty gospodarskie.
- w. 80. „potaż“ — węglan potasu otrzymywany przez wyługowanie wodą popiołów drzewnych, odparowanie ługu do suchości i wyżarzenie na powietrzu (skalcynowanie). Różne są jego odmiany; poniżej (w. 86) wspomniane potaże „korytne“ i „kotłowe“ — od naczyń, w których się wyługowywanie odbywa.
- w. 98. *wańczos* lub *wańszos* (z niemiec. *Wandschoss*) — odmiana klepki (głównie dębowej).
- w. 110. „murłatem“ — wie się podkładka drewniana, ciągnąca się wzdłuż muru budowli.
- w. 118. *wiszar* lub *szuwar*, *wiklina* — gatunek rośliny na błotach rosnącej; *bobownik*, także *przetacznik* (*Veronica beccabuga*), roślina niekiedy łokciowej wysokości z rzędu jednosłupkowych, w miejscach wilgotnych krzewiąca się.
- w. 121. *osoka* (*stratiotes*) — roślina wodna, z rzędu 12-pręcikowego.
- w. 122. *gnidnik* lub *gnidosz* (*pedicularis*), mianowicie błotny (*palustris*)

- łodygę ma półłokciową, koronę purpurową.
- w. 142. *łosa* — gatunek wierzby trzypręcikowej (*salix triandria*)—
trznielina (*evonymus*), krzew z rzędu jednosłupkowych, do
4 łokci wysoki, o gałęziach przeciwległych.
- w. 143. *sokor*, zwykle *sokora* = topola nadwiślańska cz. czarna.
- w. 148. *bagno* (*ledum*), roślina należąca do rodziny wrzosowatych. —
czernica = borówka (*vaccinium myrtillus*); — *kruszyna* 1.
Szakłak *kruszyna* (*rhamnus frangula*), krzew z rzędu jedno-
słupkowych, ma jagody cierpkiego smaku.
- w. 164. „rachityczny“ znaczy właściwie: mający kości zmiękzone
i skrzywione, chorujący na angielską chorobę; tu przenośnie jest
tylko odmianą imiesłów: wykoszlawiony, pokrzywiony.
- w. 172. *wyżary* — miejsca wypalone i wgłębione na gruncie bagni-
stym lub torfowym; na nich woda łatwo się gromadzi w cza-
sie wilgotnym.
- w. 176. „uciekłych chałup“ — niezwykły imiesłów i niezwykle jego
zastosowanie, znaczy tu poprostu: zniszczonych pożarem.
- w. 185. „barcie“ — wgłębienia w drzewach, w których pszczoły miód
składają; mogą być naturalne, albo umyślnie zrobione.
- w. 189. „mając sobie za równo“ = uważając za jedno.
- w. 194. „ostrowy“ = wyspy, kępy.
- w. 200. „zapust“, zagajnik, młode drzewka, gęsto obok siebie rosące.
- w. 212. „gniły ruczajek“ = strumyk pełen gnijących materij.
- w. 213. *łotoć* = kaczyniec błotny (*caltha palustris*).
- w. 224. *bierwiono* = belka, dyl.
- w. 228. *dranica* = gont, deszczułka z drzewa sosnowego.
- w. 231. *kluczyna* lub *kluczka* jest to gałąź, mająca u grubszego końca
odnogę z mniejszej gałązki, tak że nią można przytwierdzić
rozpierzchające się rzeczy, jak tutaj kupy wiszaru i słomy.
- w. 236. „płot“ znaczy tu plecionkę, zapewne z łozy.
- w. 241. „przyzba“ = siedzenie wzdłuż chaty zrobione z ubitej ziemi,
gliny i piasku. Znaczy także jak w wierszu 255 = zapiecek.
- w. 257. „bondur“ = rodzaj komina ze słomy, oblepionej gliną.
- w. 259. „ściel“ = posowa, pułap.
- w. 263. *rażka* — rodzaj szaflika, putnia.
- w. 264. „kociuba“ = narzędzie do wygartywania węgla; tajemniczą
nazywa ją Kraszewski dlatego, że jak na łopacie, tak i na
kociubie czarownicy wznosiły się w powietrze, wedle wyobrażeń
ludowych.
- w. 265. „napleczki“ = koromysło, rodzaj drażka ze sznurami, kła-
dzonego na plecy, żeby na nim można uwiesić wiadra.

- w. 267. Boremel nad Styrem na Wołyniu, w pow. łuckim. Obraz cudowny Pana Jezusa.
- w. 270. „rapcie“ = paski do przywieszenia szabli.
- w. 306. szczepa l. szczapa, szczypa = odszczepiony kawałek drzewa. *łuczyna*, zwykle się nazywa: *łuczyno*, jak to robi Kraszewski w tej samej powieści.
- w. 320. „kabacik“ = kaftanik.
- w. 342. „nierozwiniąta“ = imiesłów nieprawidłowo utworzony, zam. nierozwinięta.
- w. 363. „łapcie“ = chodaki uplecione z cienkiej kory drzewnej (łyka).
- w. 381. „złe“ znaczy tutaj dyabeł, licho.
- w. 396. „ciarki“ = dreszcz, mrowie.
- w. 406. „rwetes“ = hałas przy wielkiej krętaninie.
- w. 409. „szur“ jestto czwarta część sąnia; *łuczyno* ułożone w szur tworzyło stos równoległościenny, 6 stóp długi, trzy stopy szeroki i trzy stopy wysoki.
- w. 531. „bindiuha“ l. binduga, winduga jestto miejsce nad brzegiem rzek spławnych położone, gdzie się składa drzewo do spławienia — „towarny“ = towarowy.
- w. 565. „żydziuk“ — prowinc. forma zam. żydziak.
- w. 614. „przeciw pieca“ = *naprzeciw* pieca.
- w. 617. „skrzypty“ = skrzypnięty.
- w. 625. „zapał w fuzyi“ jestto mały otwór boczny do lufy prowadzący, którądy ogień wpuszczano, by nabój zatlić.
- w. 645. „naraić“ = doradzić, nastęrczyć.
- w. 705. „bodnia“ = beczką na mąkę.
- w. 716. „spędzone“ = zmęczone biegiem (wczorajszym).
- w. 719. „pomocnik“ — domyśla się: komisarza policji ziemskiej, t. zw. Stanowego Prystawa.
- w. 739. „nazad“ (prowincjonalizm) = napowrót.
- w. 758. „taki“ (prowincjonalizm) = przecież, wszakże.
- w. 763. „tryndać się“ = wałęsać się, kołatać się.
- w. 774-5. „ne wziawszy“ itd. — jeżeli się nie weźmie na duszę (jeżeli się nie zgrzeszy), to nie będzie się miało przy duszy (nie będzie się miało z czego żyć).
- w. 782. „porzuć!“ (prowincjonalizm) = daj pokój!
- w. 871. „poczytujać małem“ (prowincjonalizm) = p. za małe, uważając za drobnostkę.
- w. 895. szalena = szalone uniesienia, wybryki.
- w. 921. „za wieczór“ (prowincjonalizm) — w ciągu wieczora.
- w. 924. „zaciągniony“ = nieprawidłowy imiesłów zam. zaciągnięty
- w. 969. „na któryby nie zapracował lub wypłacić się nie mógł“ —

nieprawidłowo, zam. „na któryby nie zapracował lub za który wypłacić się nie mógł.

- w. 1000. „sierak“ = rodzaj kaftana, suknia do kolan sięgająca.
- w. 1003. „fałd“ zwykle używa się w r. żeńskim: fałda (niemiec. *Falte*).
- w. 1021. „trzebieże“ = wykarczowane przestrzenie.
- w. 1041. „nie nadmiesz“ (po ros. *nie nadujesz*) = nie oszukasz.
- w. 1042. „rakalia“ — łotr, rozbójnik. (W tekście wyraz ten opuszczono. Patrz Erratę).
- w. 1055. „tołkować“ (z rosyjsk.) = tłumaczyć, wyjaśniać.
- w. 1056. „stanowa kwatery“ — kancelarya policyjna.
- w. 1130. „syroizki“ l. syrojezki, syrojadki = nazwa grzybów z rodzaju bedłek (*rassula*) o kapeluszu różowym.
- w. 1139. „oczmoczenie“ l. oczmuczenie = oszołomienie, zamęt w głowie.
- w. 1148. „przypadł“ = przyległ, przycił się = „pod nawieszoną gałęzią“ = „pod zwieszoną, zwisającą gałęzią“.
- w. 1169. „bety“ (niemiec. *Beeten*) = pościel, mianowicie pierzyny.
- w. 1170. „konstellujące“ (ironicznie) niby jak gwiazdy układające się w pewne grona cz. konstellacye.
- w. 1218. „dla facecyi“ = z żartów, dla zabawy, dla rozrywki.
- w. 1224. „faszyna“ (z francus.) wiązki chróstu, gałęzi.
- w. 1230. „siermiężka“, odrobniały rzeczownik od siermięga = sukmana.
- w. 1232. „korceło go“ = coś go pobudzało, ciągnęło; bardzo mu się chciało.
- w. 1238. „iterum“ (łac.) = powtórnie, ponownie.
- w. 1241. „wiele“ = tu zam. *ile*.
- w. 1255. *autoskopia* (z greck.) = przypatrywanie się sobie samemu.
- w. 1266. „hreczka“ = gryka, tatarka. Tu użyte wyrażenie jest niby przysłowiowem w ustach lubiącego rymy gumiennego.
- w. 1304. „przysiężny“ (z rusk.) = przysięgły, chłop pod przysięgą zobowiązany do pilnowania gospodarstwa.
- w. 1315. „pisarz prowentowy“ zapisywał dochody gospodarskie, mianowicie z browaru, gorzelnii itp.
- w. 1316. „paroch“ = proboszcz obrządku grecko-unickiego, „Assesor“ urzędnik policyi ziemskiej, mający pod swym zarządem część powiatu.
- w. 1317. „elbuk“ = rodzaj gry w karty.
- w. 1326. „wirtuoz“ = człowiek biegły w jakiejś robocie, mianowicie w śpiewie w graniu.
- w. 1328. „młocki“ liczba mn. od „młoczek“ = człowiek młoczący zboże.
- w. 1347. „durzył się“ = odurzał się, oszołomiał.
- w. 1354. „szuja“ rzeczow. zwykle używany zbiorowo = hałastrą, zgrają nikiemna.
- w. 1368. „najtyczanka“ l. nejtyczanka (z niemiec.) = powóz podłużny, z tyłu nieco podniesiony, z wasągami wyplatany.

- w. 1426. „ekstaza“ = zachwyty, uniesienie religijne, uczuciowe.
- w. 1434. „za tymi gośćmi“ (prowincyon.) = przy tych gościach, z powodu tych gości.
- w. 1445. „założka“ (prowincjonalizm) = rodzaj materacka.
- w. 1497. „jednodworcami“ nazywano na Litwie i Rusi po zabranii ich przez Rosyę tę szlachtę niezamożną, która nie mogła się wylegitymować dokumentami ze swego szlacheckiego pochodzenia, lubo za taką w opinii ogółu szlachty legitymowanej była uważana. Szlachty w pierwszej połowie XIX. wieku nie brano w „rekruty“ tj. do wojska, ale jednodworcom ta ciężka wtedy 25-letnia służba wciąż groziła.
- w. 1537. „gwintówka“ = strzelba gwintowana.
- w. 1557. „brus“ jestto właściwie albo kamień do ostrzenia żelaznych narzędzi, albo belka ostro ociosana; przenośnie znaczy człowiek niezgrabnego, nieokrzesanego.
- w. 1569. „stępel“ (z niemiec.) znaczy tutaj kij do wpychania naboju w lufę strzelby.
- w. 1589. „*place, place*“ = (franc.) miejsca! miejsca! tj. ustąpmy się.
- w. 1607. „sprzedaj“ (staropolski i prowincyon.) = sprzedaż, sprzedaż.
- w. 1634. „loftki“ = małe kule do strzelby.
- w. 1653. „cylinder“ znaczy tu zegarek z dobrym mechanizmem.
- w. 1688. „naćkać“ = najeść się do syta.
- w. 1689. „szerepetki“ = hołota, biédeusze.
- w. 1729. „z waszecia“ = coś podobnego do szlachcica.
- w. 1764. „co doznał“ = niepoprawnie; powinno być: „czego doznał“.
- w. 1801. „do razu“ (prowincyon.) = od razu.
- w. 1858. „nie unikając od nich“ (prowincyon.) = nie unikając ich.
- w. 1889. „dotykając to tylko“ = niepoprawnie, winno być: dotykając tego tylko.
- w. 1915. „po nocku“ (prowincyon.) = po nocy, po ciemku.
- w. 1920. „czego to on się opóźnił“ (prowincyon.) zam. „dlaczego to on się opóźnił“.
- w. 1981. „nie truście“ (prowincyon. rusiński) = nie lękajcie się.
- w. 2032. „znaleziony zbyt bogatym“ (galicyzm) = gdy poczytano go za zbyt bogatego, poczytany za zbyt bogatego.
- w. 2037. „głupstwo“ znaczy tu „głupota“, „nierozgarnięcie“.
- w. 2045. „stoickie milczenie“. Stoicy w starożytności głosili, że mędrzec powinien jednakowo przyjmować szczęście i nieszczęście, być zawsze wytrwałym i brzydzić się próżnym narzekaniem.
- w. 2074. „posmarować“ znaczy tu: dać łapówkę.
- w. 2311. „szyte w słońca“ = haftowane w słońca.

- w. 2354. „hidropatya“ = leczenie wodą; „alopatya“ nazywa się zwykłą medycyna w przeciwieństwie do „homeopatyi“, której zasadą jest leczyć chorobę środkami podobnymi do przyczyn, co chorobę spowodowały.
- w. 2357. „trzewiów“ (prowinc.) zam. trzew = kiszek, wnętrzności.
- w. 2369. „poszlaków“ = forma prowincjonalna od rzeczown. *poszlak*, który w ogólnopolskiej mowie używa się w r. żeńskim: *poszlaka* = ślad, trop, znak, dowód.
- w. 2375. „kradzieży jego przechować nie chciał“ = metonimicznie zam. *skradzionych* przezeń *koni* przechować nie chciał.
- w. 2393. „na porękę“ = za poręką, za poręczeniem.
- w. 2407. „na flis“ = na spławianie drzewa rzeką.
- w. 2409. „pójść w sąsiedni las“ = prowincyon. (ale zarazem i wyrażenie staropolskie) zam. dzisiejszego: „pójść do sąsiedniego lasu lub też zmieniając konstrukcyę: „pójść belki ciosać w sąsiednim lesie“.
- w. 2420. „porzućcież!“ = „prowincyon. zam. „no, no! dajcie pokój“.
- w. 2423. „żebyśmy chcieli“ = prowincyon. zam. „gdybyśmy chcieli“.
- w. 2433. „potrosze“ = niezwykła, lecz prawidłowa forma przysłówka zdrobniła od *potrosze*; częstsza jest mniej prawidłowa: *potroszku*.
- w. 2479. „wieśniacy ze skargami i pobojem“ = trzeba rozumieć, że przychodzą z śladami, znakami pobicia się, tj. ranami. Wyraz „pobój“ jest prowincyon. ale dobrze urobiony.
- w. 2493. „węgierka“ znaczy tu tyle co „czamarka“.
- w. 2494. „kapszuk“ prowinc. forma rzeczownika „kapciuch“ (tatarskiego pochodzenia) = woreczek na tytoń.
- w. 2496. „sółdat“ (niemiec. *Soldat*) z rosyjskiego = żołnierz.
- w. 2511. „mieszczaniczek“ = prowincyon. = sywał mieszczanski.
- w. 2535. „dzieło“ (z rosyjsk. *dielo*) = sprawa.
- w. 2545. „zakon“ (po staropolsku i po ros.) = prawo.
- w. 2555. „z tem jednak“ = upowszechniona forma z a s t r z e ż e n i a; ażeby wydała się prawidłową, trzeba się domyślić: z *tem zastrzeżeniem*, z tym warunkiem. — „Zapotrzebowanie“ — prowincyon. = zażądanie.
- w. 2599. „zajęta była mnóstwem popitych wieśniaków“ = wyrażenie nieprawidłowe, zam. „zajęta była przez mnóstwo spitych wieśniaków“.
- w. 2655. *azali* (staropols.) = czy.
- w. 2690. Rozumowanie Kraszewskiego, oparte na wyrazie: *sądzono*, o tyle można sprostować, że słowiańska *sud'ba* (= los,

przeznaczenie) słoworodowo (pod względem etymologicznym) odpowiada łacińskiemu *Fatum*, pochodzącemu od czasownika: *fari* = mówić, i oznacza: sąd, wyrok.

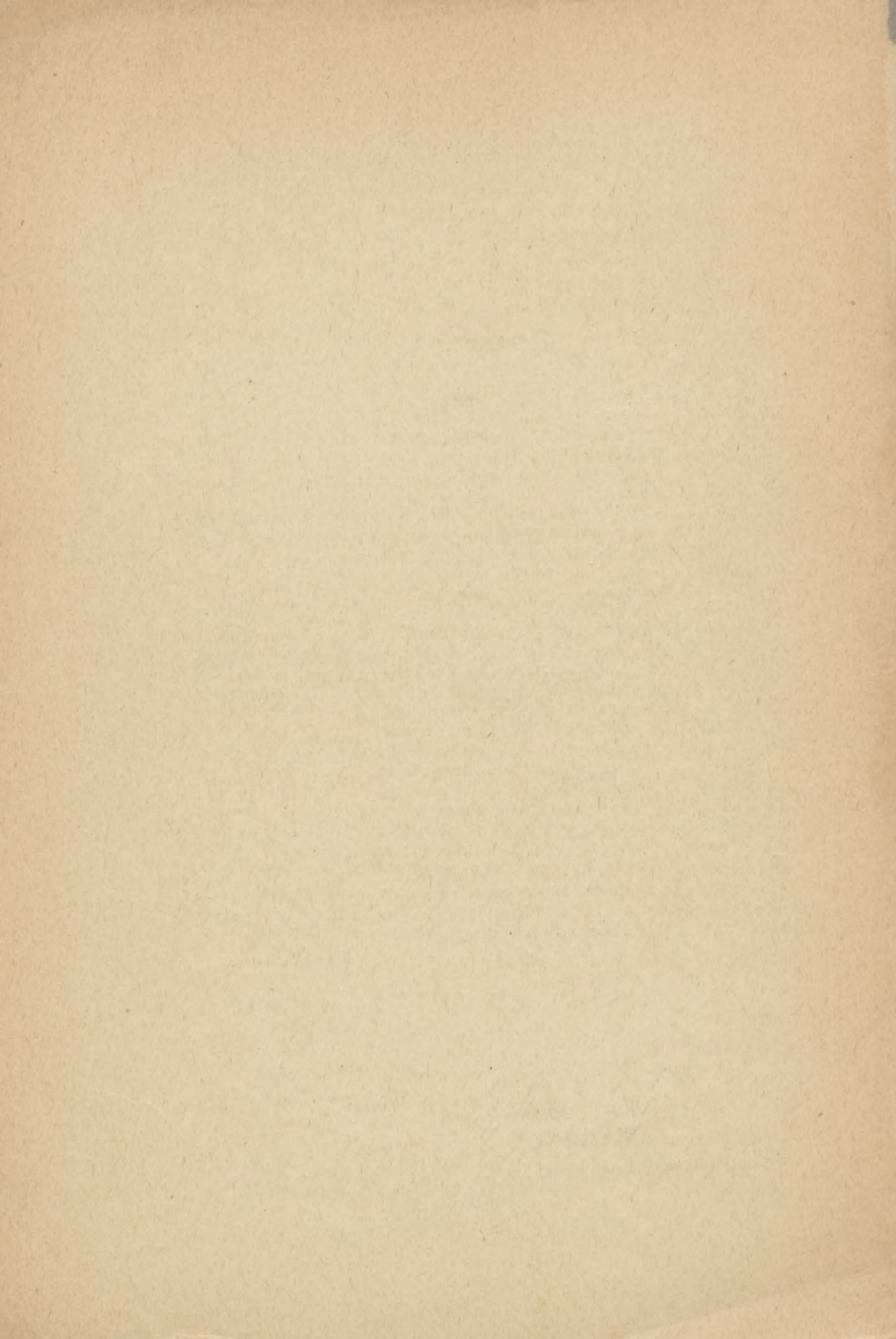
- w. 2721. „*potarzany włos*“ = nieprawidłowo, zam. *potargany włos*.
- w. 2751. „*ze wszystkim się skręcili*“ — prowincyon. = całkiem zmysły straciła.
- w. 2760. „*musi-ć*“ — prowincyon. = zapewne, chyba.
- w. 2828. „*święty Walenty*“ — prowincyon. = święty Walenty. Choroba ś. Walentego to padaczka, konwulsje.
- w. 2846. „*czarownice w sabat*“ — wedle mniemania ludowego czarownice zbierają się w sobotę w miejscach odludnych, w górach czy wśród zwalisk, by się oddawać wyuzdanym płasom i zabawom.
- w. 2848. „*nie było mnie lepiej* — pełna forma zaimka zam. skróconej (*mi*) w sposób prowincyon. użyta.
- w. 2873. „*nie pierwszyna*“ lub: „*nie pierwszyna*“ = nie po raz pierwszy zdarzająca się czy dokonywująca się czynność.
- w. 2885. „*ta i podpieć*“ — prowincyon. = a także, również, no i . . .
- w. 2911. „*zmarkotniał*“ = sposepniał.
- w. 2936. „*dworka*“ = służąca ze dworu, więc obrotna, sprytna, chytra. obłudna.
- w. 2948. „*skaleczał*“ = właściwie: okaleczał.
- w. 2955. „*alkierz*“ — mały pokoik przy większej izbie.
- w. 2957. „*wyżki*“ (prowincyon.) jest to rodzaj rusztowania z desek pod dachem w chatach włościańskich: na nich suszą np. len, one też w razie potrzeby służą za miejsce do spania.
- w. 2993. „*wielkimi łyzy*“ — narzędzie ten w rzeczown. rodzaju żeńskiego nieprawidłowy, już się jednak w XVII zaczął ukazywać, a XIX. wieku rozpowszechnił pomimo przestróg gramatyków.
- w. 3046. „*głośnawo*“ = na pół głośno.
- w. 3068. „*osłupieni*“ = jak w słup zmienieni; rzadko używany imiesłów zam. osłupiali.
- w. 3138. „*Arystydes*“ = głośny obywatel ateński, znany ze swej uczciwości i sprawiedliwości, dlatego stał się tych enót synonimem.
- w. 3148. „*obłogi*“ tj. miejsca w lesie, które otoczyć można dla napełnienia zwierza; znaczy też samo otoczenie, osaczenie.
- w. 3189. „*obwodził*“ oczywiście na koniu, a więc = obwoził.
- w. 3238. „*w chwili*“ = w jednej chwili, wnet.
- w. 3275. „*strzelony był*“ = niezbyt prawidłowo; ponieważ czasownik strzelać, strzelić niezmiernie rzadko używa się jako prze-

- chodni z biernikiem; dopiero w złożeniu z przyimkami zazwyczaj nabiera tej właściwości; postrzelić, przestrzelić kogo a wiec i na stronie biernej: postrzelony, przestrzelony.
- w. 3314. „dojeżdżacz“ = myśliwy, najeżdżający zwierzęta z lasu z pomocą psów, aby inni mogli do nich strzelać.
- w. 3319. „z kilkunastą ludźmi“ = dawna i prowincjonalna forma liczebników w narzędniku; zwykle dzisiaj mówi się „z kilkunastu ludźmi“.
- w. 3323. „ostęp“ obok kilku innych znaczeń ma i to, że nim się określa miejsce w lesie nie porośnięte drzewami, lub ich już przez wyrabianie pozbawione.
- w. 3335. „błyszczęła *trocha* rozpalonego ognia“. Rzeczownik *trocha* dziś już wyszedł zupełnie z użycia; posługujemy się nim przysłówkowo: *trochę, potrosze*.
- w. 3341. „świta“ = sukmana.
- w. 3365. „wilcy zaczęli wyć“ — (jak w w. 905: *krucy*) staropolska forma, dzisiaj prawie zupełnie zamarła; zwykle mówimy: wilki zaczęły wyć.
- w. 3403. „jedno chowam“ t. j. jedno dziecko grzebię.
- w. 3422. „szpary... *pozaciskał*“ — właściwie: szpary *pozatykał*.
- w. 3454. „kilku lekarzy otaczali“ — prowincyon. — w języku ogólnopolskim ustaliło się wyrażenie: kilku lekarzy *otaczało*.
- w. 3476. „zeń“ — nieprawidłowe skrócenie zam. z *niego*.

Errata.

str. 10	w. 6	zam. <i>piewnej</i>	czyt. <i>pcwnej</i>
" 13	" 12	" <i>zozdziały</i>	" <i>rozdziały</i>
" 14	" 34	" <i>wystowienie</i>	" <i>wystowieniu</i>
" "	" 35	" <i>zgodniu</i>	" <i>zgodnie</i>
" 18	" 28	" <i>cześci</i>	" <i>części</i>
" 28	" 227	" <i>sie</i>	" <i>się</i>
" 29	" 260	"	" 206 powinno być 260; ponieważ pomyłono się w rachubie wierszy o 5; więc w całym dalszym ciągu wstawiano cyfry niewłaściwe.
" 41	" 744	" <i>sie</i>	czyt. <i>się</i>
" 44	" 860	" <i>zbiegem</i>	" <i>zbiegiem</i>
" 48	" 1036	" <i>ludzie</i>	" <i>ludzi</i>
" "	" 1037	" <i>Batroszowi</i>	" <i>Bartoszewi</i>
" "	" 1041-42	"	powinny brzmieć: „A! udajesz ty mnie tu niewinnego! Nie nadmiesz (wyrażenie właściwe), nie! postój! Ja cię nauczę złodzieju jakiś, r a k a l i o! ja cię nauczę!“
" 58	" 1422	zam. <i>gdy widzieć</i>	czyt. <i>gdyby wiedzieć</i>
" 61	" 1537	" <i>czerdzieści</i>	" <i>czterdzieści</i>
" 66	" 1751	" <i>gałdany</i>	" <i>gałgany</i>
" "	" 1770	" <i>o wszystkim</i>	" <i>o wszystkiem.</i>
" 71	" 1943	" <i>obwienienie</i>	" <i>obwinienie</i>
" 77	" 2185	" <i>zdaawato</i>	" <i>zdaawato</i>
" 86	" 2551	" <i>pomówcie</i>	" <i>pomówicie</i>
" 92	" 2810	" <i>nieszczęliwie</i>	" <i>nieszczęśliwie.</i>
" 95	" 2938	" <i>za te głupstwo</i>	" <i>za to głupstwo</i>

Prócz tego w wielu miejscach przecinkowanie i przenoszenie części wyrazów z wiersza na wiersz nie jest prawidłowe. Niema też jednoznaczności czasownika tłumaczyć (tłómaczyć, tłumaczyć).



Arcydzieła polskich i obcych pisarzy

nakładem

KSIĘGARNI FELIKSA WESTA W BRODACH

dotychczas wydane zostały:

- Malezewski: MARYA, opracował prof. Wł. Dropiowski.
Mickiewicz: KONRAD WALLENROD, opracował prof. Jan Gawlikowski.
Słowacki: LILLA WENEDA, opr. Dr. Piotr Chmielowski.
Feliński: BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA, opracował prof. Wł. Dropiowski.
Mickiewicz: GRAŻYNA, opr. prof. Dr. Konst. Wojciechowski.
Kraśiński: NIEBOSKA KOMEDYA, opracował Dr. Piotr Chmielowski.
Kochanowski: TRENY, opracował prof. Zygmunt Paulisz.
Mickiewicz: PAN TADEUSZ, komentarz do tekstu poematu w wydaniu „Macierzy Polskiej“ opr. Dr. P. Chmielowski.
Słowacki: MAZEPA, oprac. prof. Kazimierz Zimmermann.
Mickiewicz: BALLADY i ROMANSE, opracował prof. Henryk Kopia.
Szekspir: HAMLET, opracował Dr. Piotr Chmielowski.
Kochanowski: ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH, oprac. prof. Kazimierz Zimmermann.
Sofokles: ANTYGONA, opracował Dr. Piotr Chmielowski.
Kraszewski: BUDNIK, opracował Dr. Piotr Chmielowski.

W przygotowaniu:

- Górnicki: DWORZANIN, opracował prof. Zygmunt Paulisz.
Molière: SKĄPIEC, opracował prof. Ignacy Meyer.
Mickiewicz; SONYTY i WIERSZE różne, opracował prof. Henryk Kopia.
Kraśiński: PRZEDŚWIT, oprac. prof. Franciszek Walczak.
Słowacki: BENIOWSKI, opr. prof. Kazimierz Zimmermann.
Schiller: MARYA STUART, oprac. Dr. Piotr Chmielowski.
Fredro: ŚLUBY PANIEŃSKIE, opr. prof. Wł. Dropiowski.
Słowacki: BALLADYNA, opracował prof. Jan Gawlikowski.
Fredro: ZEMSTA, opracował prof. Wł. Dropiowski.
Kraśiński: IRYDYON, opracował prof. Tadeusz Pini.

Ciąg dalszy na następnej stronie.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106310

Syrokomla: URODZONY JAN D
Henryk Kopia.

Pol: MOHORT, opracował prof.

Brodziński: O KLASYCZNOŚĆ
opracował Dr. Piotr Chmielowski.

Mickiewicz: DZIADY, oprac. prof. Dr. Konst. Woiciechowski.

Słowacki: KRÓL DUCH, oprac.

Skarga Piotr: KAZANIA SEJN

Sofokles: ELEKTRA, oprac. p

„SŁOWO o WYPRAWIE PU
prof. Kazimierz Zimmerma

Gogola: WYBÓR NOWEL, oprac. Dr. Piotr Chmielowski.

Słowacki: ANHELLI, oprac. prof. Dr. Wiktor Hahn.

Corneille: CID, opracował profesor Henryk Kopia.

Krasiński: PSALMY PRZYSZŁOŚCI, opracował Ignacy
Chrzanowski.

Byron: GUIAR, przekład Mickiewicza opracował Dr. Piotr
Chmielowski.

Biblioteka WSP Kielce



0149224

Cena za tomik pojedynczy 60 hal., podwójny 1 Kor.
Tomik kartonowany pojedynczy 80 hal., podwójny K. 1-40
Tomik pojedynczy oprawiony w płótno z wyciskiem złotym K. 1-60
„ podwójny „ „ „ „ „ „ „ 2-